

ŁUKASZ ŚMIGIEL



Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

SPIS TREŚCI

Spis treści	3
Bestseller	4
Dekathexis	19
Śmierć Prokris	35
I	36
II	44
III	51
Nigdy więcej	53
Opowieść chłopca	64
I	65
II	69
III	73
IV	77
V	Feil! Bokmerke er ikke defineret.
Imago	80
Przyjdzie i po ciebie	97
Bohater 1916	108
Pełna k_i_e_s_z_e_ń	122
Fotel	134
1	135
2	138
3	140
Klątwa z o.o.	146
Wesołych drzew	164

BESTSELLER

It's the book of my days
It's the book of my life
And It's cut like a fruit
On the blade of a knife...

Sting

Głupi skurwiel - wycedził Nelson, stojąc nad grobem Michaela Kushnera. Był redaktorem i agentem zmarłego pisarza w ogromnym wydawnictwie z tradycjami, które wypuszczało na rynek wszystko - od książek kucharskich poprzez poradniki mówiące o tym, jak powinno wyglądać udane życie seksualne, aż po thrillery, kryminał, romanse i fantastykę.

Kushner pisywał coś z pogranicza trzech ostatnich wymienionych gatunków. Był młody, cholernie zdolny i strasznie ambitny. Przyniósłby C&C fortunę. Teraz przyniesie najwyżej popularność, o którą postarają się czekający przy cmentarnej bramie dziennikarze, gotowi rzucić się za moment Nelsonowi do gardła.

Miał ochotę splunąć, ale nie było szans zrobić tego ukradkiem. Na cmentarnym placu zebrał się pokaźny tłumek. Żona Kushnera raz po raz wybuchała płaczem, rzucając się w stronę niezasypanego jeszcze dołu. Nelson miał ochotę podejść i rąbnąć ją w pysk. W umowie, którą C&C podpisało z Michaeliem, było wyraźnie powiedziane, że w przypadku nagłej śmierci Kushnera, prawa do wszystkich utworów: wydanych lub oczekujących na wydanie, a także napisanych, lecz nieprzedstawionych wydawnictwu oraz tych nieukończonych, słowem prawa do czegokolwiek, co spłodził Michael, przechodzą na wdowę. Gdyby zginęła Karen, prawa przejdą na ich dwoje dzieci, a do chwili uzyskania przez nie pełnoletności nie będzie można z czymkolwiek, co napisał Kushner, zrobić absolutnie nic.

O tak, Nelson doskonale pamiętał aneks do umowy. Sam pomógł go dopisać. Był przekonany, że nagła śmierć Kushnera jest tak samo prawdopodobna jak to, że w Area 51 trzymani są obcy. Młody autor w zamian za dodatkowy punkt w papierach zgadzał się na mniejszy procent, jeśli idzie o zysk z każdego sprzedanego egzemplarza. To oznaczało, że C&C i Nelson zarobią na nim jeszcze więcej, niż zakładano na początku. Kto mógł przewidzieć, że Michael strzeli sobie w pieprzony łeb? Oczywiście, takie rzeczy się zdarzały, jasne. Po śmierci tej wrzaskliwej małpy, Cobaina, przez cały kraj przetoczyła się fala samobójczych prób zwariowanych nastolatków. Naturalnie po broń sięgnęli Howard i Hemingway, ale na Boga - Kushner był młody, bogaty, przystojny, miał żonę, dwoje dzieci i kawał talentu! Gdyby się zastrzelił po czterdziestce, nie byłoby problemu. Skurwiel mógł trochę z tym poczekać. Ot tak, z przyzwoitości!

Nelson postawił kołnierz czarnego płaszcza, bo nagle zerwał się wiatr i w twarz uderzył go chłód pierwszych jesiennych dni. Miał ochotę solidnie się dziś nawalić... Od początku wiedział, że stracą na tej śmierci fortunę. Przez najbliższe miesiące wolał nawet nie namawiać Karen do tego, żeby odsprzedała im prawa do ekranizacji dwóch pierwszych powieści Kushnera. Jak się okazało, żona Michaela była nie tylko zakochana w nim samym, ale i w jego twórczości. To ona wyjęła maszynopis jego debiutanckiej powieści ze śmietnika, do którego wywalił ją niezadowolony z siebie Kushner i wysłała do C&C. Nelson pamiętał, jak czytał te pomięte, pożółkłe strony. W połowie maszynopisu wiedział już, że trzyma w ręce hit. Prędko chwycił za słuchawkę telefonu, aby zadzwonić do Kushnera i odmienić jego życie. Przy okazji naturalnie chciał zarobić kupę kasy dla C&C. Z gryzpiórkami trzeba było ostrożnie. Nelson lubił złapać ich na początku na haczyk kilku niewinnych pochlebstw. Ludzie z reguły cieszą się, słysząc, że mówi się o nich dobrze, a kiedy chwali się za to, co napisał literata, który jest zwierzęciem próżnym z natury, natychmiast zdobywa się jego serce. Teraz literat został oddany ziemi. Przynajmniej tak zaintonował pastor w swojej mowie. Grabarze zaczęli właśnie zasypywać trumnę. Poleciały dziesiątki wieńców. Ostatecznie Kushner dał na sobie zarobić jeszcze przedsięwzięciu pogrzebowemu.

- Kurwa - syknął Nelson.

Popatrzył na swoją asystentkę. Norma Sowowski - kiedy pierwszy raz ujrzał ją w drzwiach gabinetu, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że tuż przed jej wejściem zadzwonił do niego Tom z recepcji, mówiąc podniecony, że idzie do niego „ekstra dupa”. To było mało powiedziane. Wygrywała kiedyś konkursy piękności wśród nastolatek. Była to polskiego pochodzenia, szczupła, długonoga blondynka o niesamowicie jędrnym i zadbanym ciele.

Nelson odwzajemnił jej spojrzenie. Stała teraz nieco z boku. Włosy miała spięte w kite, która poruszała się na wietrze. Czarna sukienka do kolan odsłaniała cholernie zgrabne nogi, na które naciągnęła delikatne pończochy. Nelson miał nadzieję, że w torebce ma zapasowe, bo właśnie postanowił nieco odreagować. Pogrzeby zawsze go męczyły, ale pogrzeb trzydziestoletniej pensji i wielu premii dobijał go już zupełnie.

Rozejrzał się dookoła. Tłum wcale się nie rozchodził, to tylko ułatwiało sprawę. Mieli szansę wymknąć się niepostrzeżenie. Odwiedzając każde nowo napotkane miejsce, Nelson zawsze bawił się w grę, w której wybierał w myślach miejscówkę nadającą się na szybki, spontaniczny seks. Gdy szedł za konduktem pogrzebowym, w oczy natychmiast rzuciły mu się wielkie, kamienne, cygańskie grobowce, ustawione nieco na skraju cmentarza, osłonięte z jednej strony wysokim żywopłotem, a z drugiej rozłożystymi wierzbami. Gdyby tylko oparł

Norę o ścianę jednej z tych kamiennych budowli, w cieniu drzew, z dala od ludzi... Mogłoby być całkiem przyjemnie. Na wszelki wypadek będzie jej zatykał usta. Powinno się jej spodobać. W końcu dostała tę pieprzoną pracę zaraz jak tylko weszła do jego gabinetu i usiadła w głębokim fotelu naprzeciw niego, zakładając nogę na nogę. Do Sharon Stone trochę jej brakowało, ale z kolei cholerna Sharon nigdy nie będzie miała już tylu lat, co w czasie kręcenia „Nagiego Instynktu”. Część drugą Nelson uważał za gówno.

Obliznął wargi i dał Norze znak ręką. Przypatrzyła mu się uważnie, po czym zaczęła się powoli wycofywać. Po chwili szli już obok siebie w milczeniu, w stronę kiwających się na boki wierzb. Ich gałązki nieustannie szurały po ziemi.

- Zaczekaj - powiedział do Nory.

Przystanęli i Nelson udął, że pomaga poprawić jej żakiet. Tymczasem jedna z jego gładkich, zadbanych rąk wsunęła się pomiędzy guziki i sięgnęła piersi kobiety. Norę przeszedł dreszcz. - Chcę się kochać - wyszeptał jej do ucha, zaciskając palce na miękkości jej biustu.

- Panie O'Barr - powiedziała słabym głosem, ale on ujął ją za rękę i prowadził śmiałym krokiem w stronę kamiennych grobowców. Naraz obejrzał się za siebie i zdziwiony zauważył dwie idące za nimi sylwetki. Dwóch mężczyzn wyraźnie odłączyło się od grupy żałobników i zmierzało teraz w ich kierunku. Schodzili niespiesznie po obrośniętym pożółkłą trawą pagórku.

- Co za cholera? - warknął poirytowany. - Znasz tych dwóch?

Dziewczyna odwróciła się, patrząc z zaciekawieniem. Przez jej twarz przemknął wyraz ulgi.

- Nie, nigdy wcześniej ich nie widziałam - bąknęła.

Mężczyźni byli już blisko. Szli równym, sprężystym krokiem. Ręce trzymali w kieszeniach płaszczy. Te zaś, jak zauważył Nelson, nie należały do zbyt drogich. Przełknął nerwowo ślinę. Miał już dość nieszczęść jak na ten miesiąc. Szybko przebiegł w myślach po twarzach wszystkich ludzi, którym zwlekał z zapłatą za teksty, ale żaden nie wydał mu się wystarczająco groźny.

- Witam panie O'Barr - powiedział pierwszy mężczyzna.

Miał wyraźny akcent z południa. Jego kompan tylko machnął ręką na powitanie i wyjął z kieszeni pogniecionego papierosa, którego zaczął uważnie prostować. Posypał się tytoń.

- Witam - odparł Nelson.

Już nie trzymał Nory za rękę.

- W czym mogę pomóc, znamy się? Uprzedzam, że nie mam zbyt wiele czasu. Sami panowie widzą - wskazał wymownie na przemierzających się w oddali ludzi.

- Oczywiście, proszę pana - odpowiedział mężczyzna z akcentem.

Przesunął ręką kilka razy po rudawych włosach, jakby miał nerwowy tik.

- Widzi pan - kontynuował. - Ja i mój towarzysz jesteśmy z policji.

Nelson uniósł brwi w autentycznym zdziwieniu.

- I do czego jestem wam potrzebny? - zapytał nieśmiało.

- Chcieliśmy pana uprzedzić o pewnym fakcie - powiedział rudy, biorąc od kompana drugiego pociętego papierosa. - Otóż w sprawie śmierci Michaela Kushnera pojawiły się nowe poszlaki i wygląda na to, że nie mamy jednak do czynienia ze zwykłym samobójstwem.

- Jak to, do cholery? - Nelson rozdziawił usta ze zdziwienia.

- Trudno to wykazać, bo jeśli mamy rację, to jest to bardzo wyszukana robota, ale jednak. Prawie na stówę mamy tu do czynienia z morderstwem, proszę pana. - To mówiąc, mężczyzna splunął bez zażenowania. - Dlatego chcieliśmy pana o tym fakcie uprzedzić zawczasu. Zaraz złączą się rozmowy z dziennikarzami i tak dalej. Powinien pan wiedzieć. Lubię pana wydawnictwo, moja żona czytała tego całego Kushnera.

- A sprawa druga jest taka, że chcielibyśmy z panem zamienić w tygodniu kilka słów - dodał nagle drugi policjant. - Standardowa procedura, zanim podamy te informacje do publicznej wiadomości - dodał, uśmiechając się krzywo i przypalając swojego papierosa.

- Jestem o coś podejrzany? - zapytał z rozbawieniem Nelson. - O to, że zabiłem kaczkę znoszącą złote jajka?!

- Ależ panie O'Barr - wszedł mu w słowo rudy. - Nie jest pan absolutnie o nic podejrzany. To zwykła procedura. Proszę się nie denerwować - mrugnął do niego.

- Bez nerwów - dodał drugi. - Chociaż, trzeba powiedzieć, że po śmierci tego pisarzyny sprzedaż jego trzech książek pójdzie w górę, co? - papieros przesunął się z jednego kącika jego ust w drugi.

Nelson nie mógł uwierzyć własnym uszom. Zupełnie stracił ochotę na seks. Wyglądało jednak na to, że kolejny miesiąc pracy także okaże się nieźle pokrecony.

Policjanci dali mu wizytówkę i kazali czekać na telefon. Rudy zapytał jeszcze na odchodnym o możliwość otrzymania jakiejś książki Kushnera z autografem, dla żony... Nelson kazał mu w myślach iść do diabła. Pewnie on był teraz agentem Michaela.

Sprzedaż książek Kushnera rzeczywiście poszła w górę, a dziennikarze faktycznie zwietrzyli grubszą aferę. Dwa dni później wściekły Nelson osobiście wyrzucił jednego pismaka ze

swojego gabinetu i wezwał ochronę, aby ta odtransportowała go do holu wydawnictwa. Gnojek przyszedł na spotkanie cały okablowany podsłuchami. Zaraz po tym O'Barr został wezwany przez zastępcę korporacji wydawniczej C&C na dywanik. Nie mogli pozwolić sobie na żadne błędy, w tym miesiącu na rynek wchodziły ich dwa nowe tytuły prasowe. Nelson zwijał się jak wąż, odpowiadając na pytania dyrektora, ale wyszedł z rozmowy obronną ręką. Kiedy zamknęły się za nim drzwi gabinetu tamtego, był czerwony jak rozplątany tasakiem arbuz. Poluzował sobie krawat i z zamiarem zmiany koszuli na świeżą, ruszył do swojego biura. W przedpokoju Norma poinformowała go, że ma gościa. Odwiedził go kolejny młody, utalentowany pisarz, Casey Carver. Na widok swojej asystentki w czerwonym kostiumie, Nelsonowi wyraźnie poprawił się humor. Jednak rozmowa z kolejnym klientem była ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę. Sytuacja Carvera nie przedstawiała się zresztą najlepiej.

Mocno pchnął drzwi. W fotelu ustawionym nieopodal orzechowego biurka Nelsona siedział sobie nieduży człowieczek. Nelson chciał mu automatycznie powiedzieć, że dobrze wygląda, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Carver nie prezentował się najlepiej. Miał nieświeżą, bladą cerę obsypaną piegami, policzki zapadnięte, a skórę mocno naciągniętą na kości szczęki. Oczy podkreślały fioletowe półkola. W kącikach oczu, zamiast kurzych łapek, Casey miał ciemne kreski, które jednoznacznie dowodziły tego, że nie sypia zbyt dobrze.

Wychudzone dłonie zamknęły książkę. Nelson zauważył, że to ostatnia powieść Kushnera.

- Witam panie O'Barr - powiedział młodzieniec, unosząc się z fotela.

Patrząc na niego, Nelson poczuł dziwny ucisk w gardle.

- Cześć Casey - powiedział, zajmując swoje miejsce za szerokim biurkiem. - Daj spokój z tym panem, znamy się nie od dziś. - Mówiąc to, pchnął w stronę Carvera pudełko cygar, ale ten zdawał się zupełnie nie zwracać na nie uwagi.

O'Barr pamiętał, że poznali się przez telefon. Casey podesłał mu manuskrypt debiutanckiego zbioru opowiadań. Zwykle w C&C nie zajmowali się wydawaniem antologii tekstów zupełnie nieznanymi twórcami, ale historie Carvera były naprawdę dobre. Nelson miał do tego nosa. Nie chciał jednak, żeby młody zachłysnął się od razu swoim wielkim debiutem. Na początku rozmawiał z nim, zachowując spory dystans. Zaproponował stworzenie cyklu z jednym bohaterem. Chwalił, ale niczego nie obiecywał. Dopiero kiedy Carver zdecydował się napisać pierwszą powieść, Nelson zaczął z nim rozmawiać otwarcie. Książka okazała się być hitem. Opowiadała historię dwóch psychopatycznych morderców, którzy decydują się na współpracę, grają w kotka i myszkę z nowojorską policją, aż wreszcie jeden z nich zaczyna polować na drugiego.

Casey miał prawdziwy dar opowiadania. Jego postacie były z krwi i kości, a pomysły, które w pierwszej chwili wydawać się mogły sztampowymi, w ostatecznym rozrachunku okazywały się strzałem w dziesiątkę. Młody pisarz zdawał się doskonale rozumieć, jacy są ludzie. Wiedział, że odbiorcy lubią tak naprawdę czytać coś, co w pewien sposób już znają i dawał im dokładnie to, na co czekali, odnosząc sukces za sukcesem. Przy czwartej powieści C&C musiało jednak przystopować Carvera. Zasypywał ich nowymi maszynopisami, a prawda była taka, że trzeba go było ustawić w kolejce oczekujących na wydanie. Na pierwszy ogień szły obecnie wielkie nazwiska. Liczyły się ogromne stawki, dodatkowe umowy na ekranizacje filmowe i telewizyjne, gry komputerowe, gadzety, audiobooki... Casey musiał cierpliwie poczekać na swoją kolej. Taka była polityka wydawnictwa. No i czekał, już ponad rok. Nelson nie widział go od kilku miesięcy.

- Case, nie wyglądasz najlepiej - zaczął, rzucając krawat na stół. - Jesteś chory? Co cię do mnie sprowadza?

Chłopak utkwiał w nim nieruchome, pełne determinacji spojrzenie.

- Wie pan, po co przyszedłem. Chciałem się dowiedzieć, jak wyglądają terminy. Trochę się niepokoję - zaczął, jak zawsze nieśmiało. Głos mu się prawie łamał.

O'Barr uznał, że trzeba tę rozmowę rozegrać po ojcowsku. Tylko tego mu teraz brakowało. Kolejnego załamane go pisarza, po którym można się spodziewać Bóg jeden wie czego. Z tego co pamiętał, Carver nie posiadał żadnej rodziny, nie miał żony ani dzieci. Pisanie było dla niego wszystkim.

- Terminy przedstawiają się znakomicie - O'Barr spróbował zacząć optymistycznie.

W oczach chłopaka coś błysnęło.

- To znaczy? - zapytał śmiejąc. - Coś się wreszcie ruszyło? Mam mnóstwo pomysłów na projekt okładki, zrobiłem też nową korektę maszynopisu.

Nelson ugryzł się w język, nie chciał dopuścić do tego, aby wymknęło mu się przekleństwo.

- Wspaniale - skwitował. - Twoja nowa powieść powinna się pojawić zaraz po Bożym Narodzeniu. Poczekamy, aż ludzie pozbierają się finansowo po świątecznych kredytach. Wcześniej puścimy jeszcze tylko dwie antologie i jedną książkę Poolmana. Kushnera nie puścimy z wiadomych względów... A później, chłopie, lecimy z koksem i robimy z twojej książki absolutny bestseller - uśmiechnął się szeroko i klasnął w dłonie, podkreślając radosną nowinę.

Carver nie wyglądał na zbyt uradowanego. Jego oczy na moment złagodniały w niemej bezsilności. Zaciśnął szczęki. Nelson widział, jak na skroni pulsuje mu niewielka żyłka. Czuł,

że sam zaczyna się pocić. Chłopak go stresował, właściwie od czasu cholernego pogrzebu wszystko go stresowało. Nie działało na niego nawet to, jak Norma wchodzi pod jego biurko i dobiera mu się ustami do fiuta, cicho pojękując... Właściwie nic już na niego nie działało. Był bliski wyładowania swojej frustracji na Carverze, ale niezdrowy wygląd chłopaka powstrzymał go przed tym w ostatnim momencie.

- Czyli cała akcja ruszy dopiero za pięć miesięcy? - głos Casey'a delikatnie zadrżał przy wyższych rejestrach.

Trzeba było grać na zwłokę. Pozbyć się go z gabinetu - to przede wszystkim.

- Słuchaj, Case, potrwa to jeszcze te kilka miesięcy, ale teraz chciałem się z tobą podzielić bardzo dobrą wiadomością - powiedział ostrożnie Nelson. Starał się nie dać po sobie poznać, że wyczuwa całe to otaczające ich napięcie.

W końcu, o co ta cała walka? Młody dla nich pracował, wydawali ogromną kasę na jego promocję, na rozprawienie powieści. Do cholery, czasem Nelson miał ochotę wrzasnąć na któregoś pisarza i wytłumaczyć mu raz a dobrze, że od chwili podpisania umowy z C&C, jego dupa należy do firmy i powinien się cieszyć z tego, co firma mu daje! Nawet jeśli czasami jest tego doprawdy niewiele.

- Otóż chodzi o to, Case - kontynuował - chciałem, abys wiedział, że udało mi się pchnąć kilka twoich pojedynczych tekstów. Dwa pójdą do wyboru najlepszych opowiadań roku, w najbliższym podsumowaniu. Jedno nawet podobało się samemu Kingowi! - powiedział, czekając na reakcję, ale twarz Carvera stała się maską bez wyrazu. - No, a w przyszłym miesiącu - dodał szybko - twój starszy tekst pójdzie w naszym detektywistycznym piśmie. Tak więc, jak widzisz, dbamy o to, abys ani na chwilę nie znikł z rynku, OK? - uniósł brew.

Oczywiście tak naprawdę nie bardzo dbali o cokolwiek. Przynajmniej nie jeśli chodzi o Casey'a Carvera. Teraz były inne czasy, pracując w takim molochu, jak C&C, trzeba było zupełnie inaczej ustawiać się do życia. Internet sprawił, że poziom czytelnictwa w formie tradycyjnej znacznie spadł. Musieli zacząć szukać nowych dróg promocji autorów, robić trailery filmowe, które zapowiadały książki, organizować społeczności miłośników poszczególnych powieści, warsztaty pisarskie, a to kosztowało.

Na dodatek, ostatnimi czasy Nelson miał wrażenie, że większa część kraju niespodziewanie poczuła w sobie wielki talent literacki... Dostawali od przypadkowych ludzi tony maszynopisów, których nikt nie czytał. Robili dobrą minę do złej gry. To odbijało się na innych autorach. Nelson nie pamiętał już nawet, czy przeglądał ostatnio jakieś dzieło Carvera. Naturalnie nie śmiał mu w tej chwili o tym powiedzieć.

- Które z moich tekstów trafiły do antologii? - zapytał nagle pisarz.

O'Barr spał się w środku. Robiło się gorąco. Wyteżył pamięć, przeszukując w umyśle półkę z napisem Casey Carver, ale niewiele tam znalazł. Sięgnął lewą ręką pod biurko i nacisnął czerwony przycisk. Jak na zawołanie zadzwonił telefon. Nelson rozłożył ręce w geście obrony i odebrał. W słuchawce usłyszał głos Normy.

- Cześć kotku - wyszeptała - podoba ci się mój kostium?

- No, witam, witam! - ryknął Nelson. - Wspaniale, że dzwonicz! Nie, nie, nie przeszkadzasz, mam właśnie spotkanie ze wspaniałym zapowiadającym się młodym pisarzem... Tak... Casey Carver - mrugnął porozumiewawczo do Casey'a.

- To będziemy się dziś kochać, czy nie? - zapytała namiętnie Norma.

- No pewnie, że tak! Wiesz, te jego ostatnie opowiadania, które ci podesłałem. Tak, te do antologii „Najlepszych z najlepszych”, dokładnie tak.

- „Bohater 1916” oraz „Śledztwo” - powiedziała już normalnym głosem Norma, sprawdzając w bazie danych firmy.

- Pięknie, pięknie - ryknął znowu Nelson. - No kochany, tak, oddzwonię, miło z twojej strony, że zaczekasz. Uściski! - mówiąc to, cisnął słuchawkę na widełki i rozparł się ponownie w fotelu. - O czym mówiliśmy? - zapytał uśmiechnięty.

- Moje opowiadania, które z nich trafią do antologii? Które to teksty, panie O'Barr? - zapytał twardo Casey.

Nelson podał mu usłyszane przed momentem tytuły.

Czuł się naprawdę fatalnie. Otworzył usta, wystawiając język, aby obejrzeć go uważnie w zawieszonym w łazience lustrze. Zawsze kiedy się stresował, na języku wyskakiwały mu pryszcze. Kiedyś przez długi czas nie mógł uwierzyć w to, że jego organizm reaguje na napięcia właśnie w ten sposób, ale na jednym ze spotkań psychoanalityk pokazał mu swoje kciuki. Za każdym razem, kiedy żona robiła mu w domu piekło, on darł z nich skórę.

- Niech się pan tak bardzo temu nie dziwi, panie Nelson. Niektórym psom udaje się ze stresu odgryźć sobie nawet łapę - powiedział z uśmiechem pan doktor i zapisał mu do łykania jakieś żółte pigułki. Podobno sam je testował i miały stuprocentową skuteczność.

O'Barr ponownie przyjrzał się swemu językowi. Był mocno zaczerwieniony. To mogło oznaczać tylko jedno. Z rezygnacją sięgnął do łazienkowej szafeczki po fiolkę z pigułkami. Jeszcze wczoraj nie miał aż tak złego samopoczucia. Dobiła go cholerna rozmowa z detektywami, którzy prowadzili śledztwo w sprawie śmierci Kushnera. W kość dał mu szczególnie ten rudy dupek. Zarzucił go bezpodstawnymi oskarżeniami. Dopiero po dłuższej

chwili okazało się, że chłopak jego bratanicy pisuje różne rzeczy i fatalnie potraktowano go w wydawanej przez C&C kryminalnej gazecie literackiej. Podobno jej naczelny miał przykry zwyczaj niepłacenia za pierwszy nadesłany przez danego autora tekst. Nelson obiecał sobie w myślach, że jutro osobiście porozmawia z tym skurwielem. Jeszcze tego mu brakowało, żeby zbierać baty za jakiegoś imbecyla.

Wrzucił sobie do ust trzy pigułki i zapił je wodą z kranu. Smakowała okropnie. Nagle przysłała mu ochota na dobrze zmrożone piwo. Millery były na stałym wyposażeniu jego lodówki. Nie miał tylko pewności, czy żółte proszki można mieszać z alkoholem. Po namyśle uznał, że piwo także jest żółte i postanowił zaryzykować.

Wyszedł z łazienki zamyślony i dopiero po chwili dostrzegł pewną zmianę w otoczeniu. W salonie było jakby ciemniej. Zaintrygowany tym, czy aby nie przepaliła się żarówka w ozdobnym żyrandolu, który był jego pamiątką po matce, ruszył w tamtą stronę.

Minął skórzaną kanapę i stanął jak wryty. W pierwszej chwili nikogo nie zobaczył, ale nagle złapało go za gardło przecucie, wykrzykujące falsetem, że nie jest sam w pokoju. Ubrany w dres nie wyglądał na tyle groźnie, aby odstraszyć ewentualnego napastnika. Broń, którą trzymał w domu, schował w szafce pod telewizorem. Odruchowo zrobił krok do tyłu, ale wtedy zza fotela podniósł się człowiek. Nelson czuł, że krew uderza mu do głowy. Jej ciśnienia nie mogły powstrzymać żadne cholerne żółte pigułki. Nie teraz... Włamywacz oparł się o mebel. Było w nim coś dziwnie znajomego.

- Kimkolwiek jesteś, gnoju - ryknął Nelson - nie, ujdzie ci to na sucho! Wezwałem już gliny, a wszystkie pokoje są monitorowane! - zablefował.

Krzycząc, O'Barr zastanawiał się, ile czasu zajmie mu przebiegnięcie przez hol i kuchnię do drzwi wejściowych mieszkania.

Postać ruszyła w jego stronę. Szła ślamazarnie, przygarbiona przez jakiś niewidzialny ciężar.

- Nie zbliżaj się - wrzasnął Nelson, ale wtedy światło wpadające z korytarza ukazało twarz nieznajomego. To był Carver.

- Casey! - powiedział O'Barr. - Jak się tu dostałeś, do jasnej cholery...?! - zamilkł, widząc, że pisarz ściska w prawej dłoni pistolet.

O ile to możliwe, chłopak wyglądał jeszcze gorzej, niż wtedy, gdy widzieli się po raz ostatni. Przypominał ofiarę pobicia. Miał wyraźne siniaki pod oczyma, rozciętą wargę i nabrzmiały łuk brwiowy. Lewą rękę trzymał wykręconą w nienaturalny sposób.

- Czy to ważne, jak się tu dostałem? - zapytał łamiącym się głosem. - Pomogli mi. Muszę z panem porozmawiać - mówiąc to, potknął się o róg dywanu, zatoczył, ale ostatkiem sił złapał równowagę. Wycelował w Nelsona.

- Porozmawiać?! - O'Barr nie mógł się opanować. - Przestań we mnie, kurwa, mierzyć z tego pistoletu, to porozmawiamy, cholerny świrze! Włamanie, napaść z bronią w rękę, czyś ty zwariował?!

- Zzamknij się! - krzyknął Carver. Płakał. - Będziemy rozmawiać! Wreszcie mnie wysłuchasz! Wreszcie podasz mi termin! Chcę wiedzieć, kiedy wydacie moją nową powieść, nie mogę czekać przez pięć miesięcy, nie mogę... - słowa przeszły w niewyraźny szloch.

Nelson czuł, jak drżą mu kolana. - Nie masz nosa do dobrych pisarzy - myślał w panice. - Masz nosa do świrów, ot co!

- Carver! Odlóż broń, porozmawiamy, spokojnie, chłopie! Wszystko sobie wytłumaczymy... - A kiedy już odwiedzę cię w pace, własnoręcznie złamię ci nos, gnojku, dodał w myślach.

Pistolet opadł, a w chwilę potem powędrował w górę. Casey, wyjąc, włożył go sobie do ust. Nelson odruchowo rzucił się w jego kierunku. Zwalili się na dywan, rozwalając przy tym stolik na gazety i zrzucając z niego pilota do telewizora. O'Barr nie zdążył. Chłopak kilkakrotnie nacisnął spust. Nelson zacisnął zęby, czekając, aż lepka, ciepła maź zaleje mu twarz i ramiona, ale nic takiego się nie stało.

Zamiast tego gdzieś z boku rozległo się ciche klaskanie. O'Barr odturlał się na bok, ciężko sapiąc. Carver nadal leżał skulony pomiędzy resztkami stolika. Pistolet wypadł mu z ręki.

- Brawo, brawo - powiedział głos z ciemności. - Co za poświęcenie, panie wydawco, naprawdę nie spodziewaliśmy się tego po panu. Spodziewaliśmy się?

- Nie, absolutnie nie - dodał drugi głos.

Nelson uniósł głowę i zobaczył, jak z ciemności niedaleko drzwi balkonowych jego salonu wychodzi dwóch mężczyzn. Obaj byli ubrani na czarno. Jeden łysy, a drugi krótko ścięty, z włosami przyprószonymi siwizną. Oni także ściskali broń. Siwy najwyraźniej zauważył, że spojrzenie O'Barra powędrowało właśnie ku pistoletom.

- Tak, nasze naturalnie są nabite. Dobrze strzelamy, więc bez sztuczek, kochaniutki - powiedział.

Łysy podszedł w międzyczasie do Carvera, podniósł go z podłogi i pomógł mu przenieść się na kanapę.

- Jemu nie mogliśmy dać nabitej broni - dodał. - Jest nam potrzebny. W każdym razie, o wiele bardziej potrzebny, niż pan - uśmiechnął się do Nelsona, a ten wytrzeszczył na niego oczy. Mógłby przysiąc, że facet ma częściowo spiłowane na ostro zęby.

- Kim... Kim kurwa jesteście? - wybąkał, opierając się plecami o ścianę. - Czego ode mnie chcecie?!

- Jesteśmy agentami pana Carvera - powiedział siwy. - Chcieliśmy, żeby raz jeszcze omówił z panem termin wydania swojej nowej powieści, na którą jego wierni czytelnicy czekają już prawie dwa lata, ale jak widać na załączonym obrazku, rozmowy wzięły w łeb i musimy zająć się tym sami.

- Co do tego, kim jesteśmy - dodał łysy - proszę nam się uważnie przyjrzeć, panie O'Barr. Chyba wydajemy się choć odrobinę znajomi, prawda?

- Pamięta pan ten tatuaż? - siwy podciągnął rękaw czarnej bluzy, tak żeby Nelson mógł wyraźnie zobaczyć. - Ładny, prawda? - dodał. - Sądzę, że powinien pan pamiętać również, ile małych, wrednych suk udało mi się w życiu wysłać do piekła...

- Tak, to nawet ja pamiętam - roześmiał się łysy. - Dorzucimy do tego moje zamilowanie do bawienia się oczyma ludzi, których ja z kolei zabijam powoli i po kawałku...

Nelson wybuchł histerycznym śmiechem. Czuł, że aż poleciały mu łzy.

- Za kogo mnie uważacie? Za skończonego kretyna? - wrzasnął. - Mam uwierzyć w to, że jesteście mordercami z jego parszywych powieści? - roześmiał się histerycznie, a oni mu zawtórowali. Tylko Carver leżał na kanapie nieruchomo i w milczeniu.

- „Kraina chichów” była jedna, a Jonathan Carroll już wcale nie sprzedaje się tak dobrze, jak kiedyś - ryknął oszalały O'Barr.

- Nie mówimy panu, że ten mały gnojek nas wymyślił, panie wydawco. Chcemy tylko dać ci do zrozumienia, że postacie, które opisuje przemily Casey są, kurwa, prawdziwe! Wzorował się na nas, ty śmieciu... - warknął siwy.

- Oczywiście zmienił to i owo, żeby nikt się nie czepiał, ale sprawa jest prosta. W czasach młodości doskonale bawiliśmy się w mordowanie. Nigdy nas nie złapano. Aż pewnego dnia, kilka lat temu, spotkaliśmy w barze tego zapitego młokosa, który bredził o tym, że jest mu źle, że opuściła go wena. Wzięliśmy go w opiekę, tak dla zabawy. Podsunęliśmy kilka pomysłów, a później nagle pojawiłeś się ty, twoje C&C i okazało się, że z pisania tego chłoptasia można całkiem nieźle żyć.

- Kłopot polega na tym, że naczekaliśmy się trochę na najnowszą książkę o naszych niby przygodach - powiedział ostro siwy. - Przyszliśmy więc renegocjować pieprzony termin jej wydania. Trzeba mieć za co jeść, O'Barr. Nawet demony pisarzy muszą z czegoś żyć.

- Kushner na ten przykład już nie żyje... - syknął łysy i wyjął z kieszeni skórzane rękawiczki. - Może teraz czas na pana wydawcę? - Pomiedzy jego palcami coś błysnęło.

Podszedł do Nelsona, postawił go na nogi i wziął zamach. Pięciocentymetrowa igła wbiła się w udo O'Barra.

- Jezu! - wydarł się Nelson, czując, jak przeszywa go fala bólu. Mężczyzna w rękawiczkach przekreślił igłą i wyszarpnął ją z ciała O'Barra.

- To jak będzie? Da się coś zrobić z tym terminem? Nie możemy dłużej czekać. Inaczej będziemy musieli wrócić z emerytury do czynnego zabijania i to dla pieniędzy. Rozumiesz, gnoju?

Nelson nie rozumiał absolutnie niczego. Trzymał się kurczowo za zranioną nogę. Miał wrażenie, że zaraz tryśnie z niej krew, ale nic takiego się nie stało.

- Pieprzcie się, bando świrów! - powiedział, i pomimo zranionego uda zerwał się do ucieczki. Działał teraz zupełnie instynktownie. Na dodatek proszki, które łyknął jakiś czas temu, musiały w połączeniu ze stresem zacząć działać na niego lekko ogłupiająco.

Siwy mężczyzna dopadł go w korytarzu. Bez zadawania ciosu powalił go na ziemię. Na szyi Nelsona zacisnęła się stalowa pętla. Agent zakrztusił się, zamachał rękoma i posłusznie wstał z ziemi. Zaprowadzono go z powrotem do salonu. Siwy, zaciskając pętlę, wciągnął Nelsona na jego ulubiony szeroki fotel. Stanęli na nim obaj i łapiący z trudem oddech O'Barr, szamocząc się, zaczął głośno charczeć. Tuż obok fotela zobaczył zdjęty z sufitu żyrandol matki. Mrugnął z niedowierzaniem, a wtedy jego oprawca zaczął stalową linę o jeden z haków, które wcześniej podtrzymywały całą konstrukcję z lampami.

Siwy niespodziewanie puścił Nelsona i zeskoczył z fotela. Sekundę później O'Barr stracił grunt pod nogami. Kopnięty przez łysego mebel przewrócił się z trzaskiem, a stopy Nelsona zadyndały w powietrzu, szukając oparcia. Czuł, jak stalowa lina szarpie mu skórę. Dusił się, rzucał w każdą stronę. Na włosy posypał mu się tynk z sufitu. Poczul, jak coś trzaska mu w okolicach karku. Ból był nieporównywalny z niczym, co kiedykolwiek czuł. Otworzył szeroko usta, z których pociekła mu ślina. Wytrzeszczonymi do granic możliwości oczyma zobaczył obu mężczyzn, którzy stali obok i przyglądali mu się z zaciekawieniem.

- Sam się pieprz - powiedział do niego siwy.

- A może Casey napisze za ciebie list pożegnalny? To byłoby nawet zabawne - dodał drugi.

Później Nelson O'Barr nie słyszał już nic. Umarł.

Śmierzące cygara, których zawsze szczerze nie cierpiała, jako pierwsze wylądowały w koszu na śmieci. W ogóle biurko Nelsona wydawało się jej zbyt duże. Popatrzyła na nie uważnie, przypominając sobie chwile, kiedy to siedziała zgarbiona pod blatem, rozpinając O'Barrowi spodnie.

- Ale to już było i nie wróci więcej... - zanuciła pod nosem po polsku.

Nelson był pijawką, to prawda, ale nadal jakoś nie mogła uwierzyć w to, że powiesił się we własnym mieszkaniu. Mówiono, że użył stalowej linki, którą zaczepił o mocowanie żyrandola. W pożegnalnym liście podobno przyznawał się do tego, że wykańczał psychicznie tego nieszczęsnego pisarza Kushnera i czuł się winny jego śmierci...

Kiedy dyrekcja dowiedziała się o tym wszystkim, natychmiast wystosowano oficjalne pismo do mediów na temat polityki wydawniczej C&C. Oświadczano w nim, że firma zwalnia wszystkich redaktorów prowadzących, na których wpłynęły skargi od pisarzy i współpracowników. W ogóle zmniejszono ilość autorów, którymi mieli zajmować się poszczególni agenci. W ciągu miesiąca miał nastąpić natychmiastowy zwrot w stronę polityki „przyjaznej i rodzinnej” względem twórców. Specjaliści od PR-u firmy zdecydowali, że należy skorzystać ze strategii przyznania się do błędów i wprowadzenia szybkich zmian, mających na celu poprawę wizerunku C&C. Dwie śmierci w ciągu jednego miesiąca w jednym wydawnictwie... W takiej sytuacji kryzysowej firma nie uczestniczyła jeszcze nigdy dotąd.

Norma prawie natychmiast wskoczyła na zwolnione miejsce, które zostało po O'Barze. Nelson wystawiał jej wcześniej bardzo dobre oceny i rozwodził się nad jej predyspozycjami do zawodu. Przynajmniej raz na coś się przydał. Poza tym, nikt oprócz niej nie znał tak dobrze jego dotychczasowych klientów.

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi. Wyglądziła zakiet i mocno stukając obcasami, ruszyła, aby je otworzyć. W korytarzu stała niewysoka, przygarbiona postać. Znała ją, to był młody Casey Carver. Twarz miał mocno upudrowaną, ale i tak wyglądał jak ofiara przemocy w rodzinie. - Co się działo z tymi ludźmi? Co się działo z tym biznesem? - pomyślała i uśmiechnęła się szeroko, patrząc na niego znad oprawek okularów swymi błękitnymi oczyma.

- Panie Carver! - powiedziała. - Proszę wejść, przepraszam za bałagan, jeszcze się nie... zadomowiłam.

Uśmiechnął się niemrawo, przestępując z nogi na nogę. - Mam dla pana bardzo dobre wiadomości, panie Carver - kontynuowała. - Pan O'Barr wyraźnie zaniedbywał pańskie sprawy. Postanowiliśmy to zmienić od zaraz...

Casey wszedł do gabinetu.

- Byłoby wspaniale, gdyby coś się wreszcie ruszyło - Powiedział nieśmiało. - Naturalnie współczuję firmie takiej straty... - zaczął, ale Norma nie chciała podejmować akurat tego tematu.

- Pana nowa powieść w przyszłym tygodniu trafia do druku, panie Carver. Wszystkim już się zajęłam. To będzie wielki hit. - popatrzyła na niego uważnie. - Mam nadzieję, że nie prześladowają pana żadne pisarskie demony, co? - starała się zażartować. - To był trudny okres dla nas wszystkich...

Na jego twarzy pojawił się dziwny grymas.

- Najgorsze chyba za nami - odparł ostrożnie. - A co do demonów... Chyba jestem w stanie się z nimi dogadać. W końcu im także zależy na tym, aby ta nowa książka okazała się bestsellerem - uśmiechnął się krzywo.

DEKATHESIS

Spojrzałem na studentów. Bliźniaczki Willis, jak zawsze siedzące w pierwszym rzędzie, zawzięcie notowały każde moje słowo. Ich białe dłonie wykonywały niemal symultaniczny taniec, pokonując drogę od kałamarza do kartki papieru. Stalówki ich piór cicho chrobotowały, ale doskonała akustyka sali wykładowej powodowała, że słyszałem ów chrobot aż za dobrze. Przyprawiał mnie o dreszcze. Byłem dziś wyraźnie rozdrażniony. Sprawdziłem czas na zegarku, który spoczywał w kieszonce mojej kamizelki. Do przerwy w zajęciach pozostało dwadzieścia minut. Stalówki przestały tańczyć. Chrząknąłem. Zajęcia z Homiletyki Funeralnej zawsze mnie męczyły.

- A zatem - ciągnąłem. - Jak podają Wańczewski, Lenart, Maciesowicz... - chrobot rozpoczął się na nowo, wzdrygnąłem się. - W naszym spostrzeżeniu gnicie zwłok jest konsekwencją śmierci. Ale gnicie staje się również wytryśnięciem życia moi drodzy - widząc wbite we mnie spojrzenia, chrząknąłem znacząco. - Proces gnicia rozpoczyna się niczym proces życia, tylko w innym kierunku. Gnicie zaczyna się od mózgu. Po zgubnych dla niego dziesięciu minutach nie ma już powrotu do stanu homo sapiens... Kto wie, co wydziela rozkład gnilny? - uniosłem pytająco brew.

Sala najpierw milczała, aż wreszcie gdzieś z tylnych rzędów nieśmiały, piskliwy głos, należący zapewne do wiecznie zestresowanego, ale zdolnego jak diabli Luisa Derridy, odpowiedział, recytując:

- Rozkład gnilny wytwarza metan, wodę, dwutlenek węgla, azot, amoniak, siarkowodór, trymetylaminę i wodór. Wszystko jest trujące i może doprowadzić do wybuchu. Każdy proces gnilny przyszłego Homo Totens może być szkodliwy dla istoty żywej, sir - dodał na koniec.

- Bardzo dobrze, Luis - zadowolony, skinąłem głową. - Pierwszą oznaką gnicia jest pojawienie się na podżebrzu zielonej plamy. Później plama ta ciemnieje i obejmuje brzuch, a następnie całe ciało. Brzuch rozdziera się i pęka. Mózg staje się papkowatą, szarawą i kleistą mazią, płuca pękają pozostawiając jedynie miękką, brązową masę. Serce staje się spłaszczonym workiem... - przerwałem cytowanie z pamięci, bo na sali zapanowało jakieś

poruszenie. - Osobniki otyłe dodatkowo wytwarzają tłustą ciecz, która utrzymuje się... - kontynuowałem, ale mój głos zagłuszony został przez dźwięk syren.

Studenci rzucili się do strzelistych okien sali. Płomienie w lampach gazowych zafalowały złowrogo. Poprawiłem binokle na nosie i z rękoma założonymi na plecy ruszyłem za nimi. Wycie syren nie ustawało. Ich ostry dźwięk wkręcał się w czaszkę. Kilkoro studentów uprzejmie zrobiło mi miejsce. Okna naszego uniwersytetu wychodziły na szeroki, wybrukowany szarą kostką plac. Zebrał się na nim pokaźny tłum ubranych na czarno postaci. Wyraźnie zaganiali na środek placu dwoje nagich ludzi. Tak oto rozpoczął się Kolektywny Mord Założycielski. Syreny zagłuszały krzyki przerażonych pechowców i zawodzenie tłumu.

Wycie ustało i ubrani na czarno napastnicy rzucili się na nagich wybrańców losu, rozrywając ich gołymi rękoma na strzępy. Była to ofiara początku i końca, tradycja wywodząca się od czasów mordu Romulusa na Remusie, Kaina na Ablu. Kawalki ciał Poświęconych uznawano za relikwie, które miały moc uzdrawiającą, podobnie jak na przykład trupia ręka, więc wkrótce na placu nie pozostał nawet skrawek okrwawionego truchła. Znowu przeszedł mnie dreszcz. Studenci zaczęli wracać do swoich ławek. Kolektywny Mord Założycielski kończył tydzień pracy we wszystkich miastach. Za pięć dni loteria w ratuszu wskaże kolejnych Poświęconych - chorych albo starych i niedołącznych.

Zwróciłem się w stronę wizerunku naszej ukochanej bogini Morii i dla uspokojenia nerwów wyszeptałem kilka strof modlitwy odganiającej pecha, choć wiedziałem dobrze, że jestem poza loterią.

- Idą posępni, a niosą korony ozdobne, misterne, a dla nich ciężące jak ołów, korony szerniałe, pogrobowe... - wyszeptałem, oblizując usta, ale nie dane mi było dokończyć, bo w drzwiach sali wykładowej ujrzałem ludzką sylwetkę, która wyraźnie machała do mnie ręką. Niepokój przybrał na sile. To był Posłaniec.

Tak jak się spodziewałem, Posłaniec dostarczył mi pośmiertną pocztówkę. Karta przedstawiała twarz kobiety. Znałem ją aż za dobrze. Moje wcześniejsze rozdrażnienie okazało się jednak uzasadnione. Zbliżały się ciężkie chwile. Odprawiłem Posłańca i oświadczyłem studentom, że zwalniam ich z zajęć kilka minut wcześniej, aby nie wracali do domów po nocy, bo na dworze zaczynało się już robić szaro.

Ubrałem się prędko i kazałem odźwiernemu wezwać dla mnie dorożkę. Jakoś nadal nie chciałem zaufać automobilom. Wsłuchując się w stukot końskich kopyt na bruku, obracałem w palcach otrzymaną przed kilkunastoma minutami kartę. Przedstawiała uśmiechniętą, wspaniale bladą podobiznę księżnej Laury de Porteroy, jednej z córek panującej nam Jaśnie

Królowej. Pocztaówka przypominała mi o wielu rzeczach. Po pierwsze - że Laura nie żyła. Po drugie o tym, jak bardzo ją kochałem i po trzecie wreszcie, że zbliżała się prawdopodobnie najtrudniejsza noc w moim życiu. Czterdziesta noc od jej śmierci. Noc Dies Irae, noc możliwego zmartwychwstania, noc przemiany, czas Mięsożerców i ich zewu.

Ścisnąłem mocniej pocztaówkę w rękach. Do oczu napłynęły mi łzy. Jako Głównemu Śledczemu Inspektoratu do spraw Zmarłych, który powołano jeszcze za czasów Kalwina, powierzono mi w opiekę ciało zmarłej Laury. Nie chcąc drażnić kapłanów naszej religii i samej Morii, oficjalnie mówiono, że Inspektorat istnieje, aby chronić ludzi przed przypadkowym chowaniem ich w grobie żywcem i aby walczyć z wykradaniem zwłok. Faktycznie zajmowaliśmy się jednak nieco innymi sprawami. Moim zadaniem było nie dopuścić do tego, aby księżna de Porteroy stała się jednym z Mięsożerców. Królowa wydała mi rozkaz osobiście i jak zwykle kazała zachować wszystko w tajemnicy. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że ze względu na to, jak blisko byłem Laury, jej matka oszczędzi mi bólu i zaryzykuje przydzielenie tej sprawy komuś innemu, ale jednak padło na mnie. Stara Królowa chciała mieć pewność.

Moja dorożka pędem minęła Ohydny Cmentarz, na którym już na stałe zamontowano szubienicę. Z zaciekawieniem wyjrzałem przez okno. Właśnie odbywała się egzekucja. Tęgi mężczyzna w wieku około lat czterdziestu wrzasnął. Zapadnia pod jego stopami otworzyła się i skazaniec runął w dół. Sznur napiął się, a wyprężone ciało zakołysało niepokojąco. - Głupi szczęściarz - pomyślałem. - Po niego Mięsożercy na pewno nie przyjdą. Nie mieliby w tym żadnego interesu. Królowa nie chciała w to uwierzyć, ale nieumarli zrobili się ostatnio bardzo interesowni. Litościwa Moria im sprzyja. Czy to oznacza, że od nas się odwraca? Czy poprzez niezliczone obrządki, takie jak Kolektywny Mord Założycielski i krwawe litanie Exhartatio, nie byliśmy w stanie zdobyć jej przychylności? - skarciłem się za takie myślenie. Kim byłem, aby kwestionować prawa Śmierci... A jednak miałem wątpliwości. Coraz częściej wydawało mi się, że jesteśmy Morii obojętni...

Przygryzłem wargę. Zbliżaliśmy się do siedziby Inspektoratu. Jak przystało na największe Funerarium w mieście, cały budynek wykonano z czarnego, gładkiego kamienia. We wnękach przy wysokich oknach płonęły znicze w stalowych misach. Wydawało się, że dookoła strzelistej budowli jest jakby ciemniej. Tak jakby Funerarium absorbowało promienie słoneczne zachodzącego słońca. Przekląłem w myślach Dzień i Noc Gniewu. Gdyby Chrystus wiedział, co uczyni światu swym zmartwychwstaniem, pewnie nie wyszedłby z grobu.

Zapłaciłem dorożkarzowi i sprężystym krokiem wszedłem do Inspektoratu. Uzbrojeni w tradycyjne muszkiety żołnierze Czarnego Hufca przywitani mnie, salutując. Nowe

rewolwery tkwiły przy ich pasach. Podziękowałem w myślach Morii za szybkostrzały i odwzajemniłem ich powitanie.

Po wyłożonych hebanem korytarzach niesło się echo moich kroków. W końcu, ślizgając się na schodach z czarnego marmuru, dotarłem do biura. W środku zastałem Petriego, mojego zastępcę. Jego poznaczoną szramami twarz jak zawsze wykrzywił koszmarny grymas. W ogóle nie wyglądał na swoje dwadzieścia kilka lat. Siedział odchyłony na krześle, z nogami na biurku, i podrzucał orzeszki, łapiąc je do swej wykrzywionej mordy.

- Memento Mori - powiedział, zgrzytając zębami, gdy stanąłem w drzwiach. Jeden z wyrzuconych w górę orzeszków nie trafił do jego gęby i poleciał na podłogę, skąd natychmiast porwał go nasz czarny kogut. Ptaszysko cicho zapiąło z zadowolenia.

- Media Vita In Morte Sumus - odparłem automatycznie, wieszając cylinder na ustawionym przy drzwiach, powykęcany wieszaku.

- Psia mać, szefie, padło na moją teściową - powiedział beznamiętnym głosem, zdejmując nogi z biurka.

Stal na okuciach jego wysokich, skórzanych butów zalsniła na moment, odbijając płomień świec.

- Co takiego? - zapytałem, nie ukrywając podenerwowania. Nie czekałem nawet na odpowiedź. Ruszyłem prosto do swego stanowiska, aby sprawdzić rejestr dzisiejszych zgonów. Zawsze mnie to nieco uspokajało.

- Jak to co, szefie... KMZ, Kolektywny Mord... - zaczął.

- Nie szefuj mi tu, Petrie - warknąłem, przesuwając palcem po statystykach.

- Dobra, Jon... Mówię, że teściowa dostała, psia jej jucha, Los na loterii i poszła w strzępy. Cholera by to wzięła.

- Nie kuś Moru, Petrie. Nie mogłeś jej uratować, czy jak? Na pewno wcześniej wiedziałeś, co ją czeka, z prognozowanych statystyk. Musiałeś wiedzieć.

O ile to możliwe, skrzywił się jeszcze bardziej.

- Wiedzieć to i wiedziałem - łypnął na mnie spode łba. - Ale, cholera, jakoś nie przepadałem za tą staruchą i tak zwlekałem do ostatniej chwili, żeby ją, kurde, podmienić na kogoś innego... A teraz po ptakach. Żonie muszę powiedzieć. Będzie afera. Grom z jasnego nieba.

- Nie bluźnij mi tu, Petrie. Jeszcze kto słucha. Chcesz iść leżeć na Ohydny Cmentarz? Morda w kubek - wycodziłem, przewalając papiery.

Uśmiechnął się, prezentując swoje krzywe zęby.

- Długo bym tam nie poleżał, Jon - zarechotał. - Szybko by po mnie przyszli. Czterdziestu dni by nawet nie czekali... No, ale wracając do mojej teściowej. Może to cię rozbawi. Byłem tam, jak ją gruchotali. Zabrałem coś do domu. - To mówiąc, sięgnął do czarnego worka, który leżał pod biurkiem i wydobył z niego jakiś nieduży przedmiot.

- A to co, do cholery? - podszedłem, aby się lepiej przyjrzeć.

- Ucho! - roześmiał się znowu, podnosząc kawałek ciała do góry.

Coś błysnęło i zrozumiałem, że jego teściowa nie zdążyła zdjąć kolczyków.

- Żona cię za to obedrze ze skóry, zobaczysz - powiedziałem, odganiając nogą koguta.

- Nie ściągaj na siebie kobiecej furii.

- Co ja się będę martwił - przestał się śmiać i spojrzał mi poważnie w oczy. - Przecież dziś jest ta noc szefie, prawda? Może jej nie przeżyję. Może mi też zagrają niedługo Piątą Symfonię na flecie z piszczeli.

- Oby nie - odparłem, szukając w myślach słów odpowiedniej modlitwy, ale jakoś nic nie przychodziło mi do głowy.

- A jeśli lady de Porteroy wstanie? - zapytał Petrie. Bawił się swoimi rewolwerami.

- Nie wstanie - odparłem zmęczonym głosem i obrzuciłem spojrzeniem ogromne mauzoleum, które setny raz sprawdzaliśmy od zewnątrz. - I nie wymawiaj nazwiska zmarłej, do cholery. Od teraz mówimy o niej Laura albo księżniczka, rozumiano?

- Ale jeżeli... - zaczął znowu, ale przerwały mu hałasy za naszymi plecami.

Do Dormitorium przybyli właśnie żołnierze Czarnego Hufca, których od lat wynajmował Inspektorat. Królowa była temu przeciwna i zdanie się na ich umiejętności bojowe traktowałem zawsze jako ostateczność. Obawiałem się jednak, że tym razem nie pomogą nam nawet najemnicy. Zaczynała się noc czuwania. Najpierw musieliśmy się upewnić, że Laura nie wstanie z grobu sama z siebie. Później pozostawało już tylko zająć się Mięsożercami. - Biedna Laura - pomyślałem.

- Szefie... - zaczął znowu Petrie, pocierając jedną z blizn na swojej twarzy. - Pięknie tak o niej mówić, ale nie zapominajmy, że to, co leży w środku, ma z Laurą tyle wspólnego, co nic... Czy może się mylę?

Wiedziałem, że zaczyna się ze mną droczyć, więc nawet nie podejmowałem tematu. Patrzyłem, jak żołnierze ustawiają się przy otworach strzelniczych wydrążonych w potężnych murach cmentarza. Zgodnie z prawami Morii, mauzoleum wybudowano spory kawałek za miastem. To, co się tu działo, nie miało przyciągać niczyjej uwagi, a nasz Inspektorat miał załatwiać wszelkie zleczone nam zadania szybko i sprawnie. Kłopot w tym, że nie zawsze się

to udawało... Poleciałem przynieść naszego koguta i ruszyłem w stronę wejścia do budowli. Solidne, kamienne drzwi były otwarte. Wmurowane w nie krzyże miały powstrzymać tych, którzy przyjdą po Laurę, ale już od dawna zasada ta przestała działać. Mięsożercy przestali się bać krzyża, rośli w siłę.

Jasno oświetlone schody prowadziły w dół. Krzątała się na nich wysoka, chuda postać. Mój drugi pomocnik, Albrecht. Na plecach miał czarny spryskiwacz i uważnie opylał jakąś substancją ściany mauzoleum. Spod jego nóg uciekały żuki o ciemnych, połyskliwych pancerzach. Albrecht najwyraźniej mnie dostrzegł, bo przerwał pracę, i zdejmując maskę gazową własnego pomysłu i wykonania, zaczął wspinać się do góry. Światło gromnic odbijało się w łysinie jego okrągłej czaszki i białkach wiecznie wytrzeszczonych oczu.

- Memento Mori - wydukał.

- Cześć Al - jakoś odechciało mi się recytowania powitań. - Okadziłeś ją?

Skinął głową w odpowiedzi. Kojarzył mi się z wizerunkiem śmierci bardziej, niż jakakolwiek figurka Morii, którą widziałem w życiu. Chyba dlatego dostał tę pracę. No i jeszcze te jego diabelskie wynalazki. - Metoda na sznurek nic nie dała? - zapytałem.

Pokręcił przecząco głową. Nie lubił rozmawiać. Wolał siedzieć w swoim laboratorium.

- Media Vita! - rzucił mijający nas Petrie.

Albrecht splunął. Nie przepadali za sobą. Poklepałem go w plecy i podążyłem za zastępcą.

- Wszystko jest już przygotowane na dole - Al wycharczał za mną. Po chwili ponownie usłyszałem dźwięk miarowo pracujących tłoków spryskiwacza. Szczęściarz z tego Albrechta. Jako naukowiec nie musiał z nami zostawać.

Przez chwilę cieszyłem się z tego, że sznurek nic nie dał. Standardowo wiązało się go jednym końcem do ręki trupa, a drugim do dzwoneczka. Jeżeli przez czterdzieści dni dzwoneczek nie zadzwonił ani razu, prawdopodobieństwo, że denat stanie się nieumarłym, malało. Tak mówiła teoria. W praktyce rzecz miała się nieco inaczej. Miałem aż zbyt świeżo w pamięci przykład, który sam wiele razy podawałem na zajęciach. Pewien poeta, niejaki Petrarca, uznany już został za zimnego trupa, a nagle po trzydziestu dniach, bez jednego drgnięcia dzwoneczka, przebudziła go różnica temperatur spowodowana przeciągiem. Z trupami nigdy nic nie było do końca pewne.

Pokonałem schody i obaj z Petriem znaleźliśmy się w głównej sali pośmiertnej, w której spoczywało ciało Laury. Mimowolnie zatrzymałem się kilka metrów przed jej trumną. Oczy przyzwyczajaly się do półmroku, który rozpraszały świece. Na wszelki wypadek nosiliśmy ciuchy uszyte z krepy, zwanej „martwym sukmem”. Materiał ten najskuteczniej

absorbował światło słoneczne z otoczenia. Teoretycznie Laurę mogła przebudzić nawet odrobina takiego światła. Skarciłem się za to, że wciąż myślałem o niej jak o żywym człowieku. Była trupem, a ja miałem sprawić, aby nie stała się czymś więcej... Przekleci nieumarli, ghule, nazywane przeze mnie Homo Totens. Było ich tak wielu! I wciąż poszukiwali nowych, którzy mogliby do nich dołączyć. Ostatnimi czasy zależało im szczególnie na ciałach wpływowych arystokratów. Tak przynajmniej zakładała moja teoria. Dla naszej religii stanowili nierozumny żywioł będący częścią tego świata. Moim zdaniem byli czymś więcej. Zaczęli wybierać tych, którzy mieli stać się jednymi z nich. Miałem co do tego pewność, ale jak dotąd nikt mi nie wierzył. Nie chciałem dzielić się tego rodzaju odkryciami ze wszystkimi dookoła. Jeszcze nie teraz... Nieumarli stanowili część naszej religii. A z religią i jej dogmatami ciężko jest walczyć. Szczególnie wtedy, gdy religia ta niesie ze sobą zobojętnienie na sprawy żywych. W naszym świecie liczyła się tylko Moria i jej prawa.

Petrie z podwiniętymi rękawami koszuli w kolorze kiru przystąpił do oględzin ciała. Otrząsnąłem się z zamyślenia i dołączyłem do niego.

Była taka piękna... Biała jak kartka papieru. Jej wielkie oczy były zamknięte. Burza rozrzuconych czarnych loków sprawiała, że wyglądała jeszcze młodziej, niż w rzeczywistości. Petrie wprawnym ruchem rozwarł jej usta.

- Sztywna jak cholera - oświadczył, wykrzywiając się w uśmiechu.

Skinąłem głową. Królowa Matka uparła się, aby Laurę pochowano w jej ulubionej czerwonej sukni balowej, która przywoływała w mojej głowie wspomnienia wspólnie spędzonych z nią chwil.

Leżące dookoła kwiaty tak naprawdę nie miały na celu tylko ładnie wyglądać. Miały zabić trupi smród wypełniający pomieszczenie. Ich zapach miał stworzyć nam warunki do pracy. Aby przeciwdziałać przebudzeniu się Laury, potrzeba było bowiem czegoś więcej, niż tylko pięknych kwiatów.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem z niej nieduży woreczek. Laurę dobrze zakonserwowano, stosując tanatopraksję. Przez nacięte tętnice szyjne, pachowe i udowe wstrzyknięto do jej żył płyn konserwujący, zwany Thanatylem A. Dokonano także przeczyszczenia klatki piersiowej i brzucha. Wszystko po to, aby powstrzymać gnicie, dające jej nowe życie. A gnicie zaczynało się zawsze od krwi. Poszperałem w woreczku, wyjmując z niego główki maku i gałązki świeżej jemioli. Tanatopraksja to jedno, ale istniały także bardziej naturalne metody zmniejszające szansę trupa na powrót do świata żywych. Jemiolę traktowano od wieków jako Złotą Gałąź, miała właściwości umożliwiające ów powrót, jej

moc kierowała zmarłych „w górę, ku światłu”, a tego nie chcieliśmy. Szybkim ruchem ręki potarłem gałązkami o Laurę i złamałem je na kolanie, odmawiając odpowiednie epitafium. Rzuciłem jemiółę na ziemię i ułożyłem na piersi dziewczyny makowe główki, zsyłające spokojny sen.

Za naszymi plecami rozległ się hałas. Odwróciłem się równie szybko, co Petrie. W jego rękach pojawiły się rewolwery. Zobaczyliśmy Albrechta, który stawał na ziemi klatkę z czarnym kogutem Inspektoratu. Wyszczrzył się w uśmiechu, poklepując wielką skrzynię, która stała nieopodal. Pomachał nam ręką i wrócił na schody. Odruchowo spojrzałem na zegarek.

- Cholera - zakląłem pod nosem. - Trzeba się spieszyć!

Petrie podał mi długą, cienką igłę.

Ostatni raz ze współczuciem popatrzyłem na piękną, nieruchomą twarz Laury i wprawnym ruchem wbilem igłę w jej serce, aż po samą główkę. Z rany nie wypłynęła ani jedna kropla krwi. Dobry znak.

Byłem za cmentarnym murem, kiedy Petrie zaczął krzyczeć, że nadchodzą. Choć nie pierwszy raz przyszło mi się znaleźć w podobnej sytuacji, coś ścisnęło mnie za gardło. Poczulem zwierzęcy strach. Nie bałem się śmierci. Bałem się nieumarłych.

Prędko rozpałem ostatnią grumadkę, niewielkie ognisko, które niegdyś jeszcze skutecznie odstraszało ich od cmentarnych murów. Petrie, zajmujący stanowisko obserwacyjne, wrzasnął ostrzegawczo. Za chwilę miały rozpocząć się Minuty Ciszy, które przypominały o tym, że nie wypowiada się ani słowa w obecności Mięsożerców. Część zmysłów mają w miarę dobrze rozwiniętą, ale nieodmiennie brakuje im jednej rzeczy. Nieumarli nie widzą. Zgnilizna dała im nowe życie, ale nie potrafiła przywrócić wzroku. Mówiło się, że Mięsożercy nienawidzą światła. Światło i ciepło sprawiały im ból, choć trudno jest przypisywać istocie, która sama wydłubuje sobie oczy, zdolność odczuwania fizycznego bólu.

Dopałem cmentarnej bramy i prędko wypisałem na niej białą kredą zapomniany już, lecz często skuteczny w działaniu skrót D.O.M. Nic więcej, aby ich powstrzymać, nie mogłem już zrobić. Reszta zależała od tego, jak bardzo chcą mieć wśród swoich Laurę. Zatrzasnęliśmy bramę. Mijałem żołnierzy Czarnego Hufca, ostrożnie ogrzewających stworzone przez Albrechta pociski, którymi mieli zaraz załadować swoje karabiny. Dziękowałem im skinieniem za to, że są tu z nami. Trupie czaszki na ich czapach błyszczały w świetle ognisk.

Wspiąłem się na stanowisko obserwacyjne, na którym wyprostowany jak struna stał Petrie. Jak zawsze opanowany, gotowy do walki. Podał mi lunetę i poprawił pas z rewolwerami. Sprawdził, czy bez przeszkód wyskakują z podłużnych, czarnych kabur.

Zmrużyłem jedno oko, spojrzałem przez szkło i serce niemal zamarło mi z wrażenia. Nieumarli szli równym tempem. Obchodzili wzniesienie, które wcześniej zasłaniało ich przed moimi oczyma. Noc była dość jasna, a na dodatek zza chmur wyszedł księżyc, więc widziałem ich jak na dłoni. Czarne sylwetki, niczym kolonia karaluchów, kłębiły się, to zbaczając z drogi, to znów na nią wracając. Nieumarli tworzyli najbardziej koszmarny ze wszystkich pogrzebowych konduktów, jaki dotąd przyszło mi oglądać. Na przedzie szedł wysoki, wyraźnie wygłodzony trup, ściskający długą żerdź zakończoną krzyżem. A więc jednak. Dawali nam znak. Krzyż nie mógł już wyrządzić im krzywdy. Przejęli go na swoje potrzeby. Po plecach przebiegł mi dreszcz.

Tuż za wychudzonym nieumarłym zaczynał się właściwy kondukt. Zasuszone głowy kiwały się na boki. Resztki nosów węszyły za zapachem mięsa. Dałem znak żołnierzom, że od teraz nikt nie ma prawa wymówić ani słowa. Spojrzałem znowu. Ten, który nimi przewodził, siedział na tronie. Nieśli go z trudem. Poprawiłem ostrość. Ich mistrz, zwany Liczem, był wielki i rozdęty. Z ust wypływała mu ciemna ciecz, mocząc lnianą, zabrudzoną szatę. W prawym policzku miał dziurę, ale nie to przeraziło mnie najbardziej. Palce same zacisnęły mi się na lunecie, bo dostrzegłem coś jeszcze. Licz miał oczy. Białe, wielkie i zimne, ospale ruszały się na boki. Nos rozdymał się, jak u drapieznika łapiącego trop przyszłej ofiary.

Opuściłem lunetę i podałem ją Petriemu. Widziałem, jak po chwili jego okropną gębę wykrzywił grymas. Nieumarli byli już na tyle blisko, że wyraźnie słyszeliśmy niosące się przez noc dźwięki ich jękliwego, żałobnego rapsodu. Dałem żołnierzom kolejny znak. Oddział zaczął ładować broń. Kondukt wszedł na uliczkę prowadzącą prosto pod bramę naszego mauzoleum. Lufy karabinów znikły w otworach strzelniczych cmentarnego muru. Padła seria wystrzałów. Pierwszy szereg żałobników rozsypał się na boki. Nie krzyczeli... Wyli. Odstrzelone kawałki ciał poleciały w powietrze. Ciepłe kule wchodziły w ich przegniłe ciała z odgłosem cichego młaśnięcia. Licz, rozparty na swoim tronie, nawet się nie zachwiał. Przysiągłbym, że na jego obwisłym pysku pojawił się koszmarny uśmiech.

Petrie cisnął lunetę precz i zjechał w dół po drabinie. Mięsożercy szli nadal. Jeszcze nigdy nie widziałem aż tak wielkiej grupy. Ten, który wcześniej niósł krzyż, stracił podczas pierwszej kanonady lewą nogę i część brzucha. Wypływała z niego jasna galareta. Widziałem, że do pustych oczodołów ma napchane błoto. Czołgał się, wbijając żerdź z krzyżem w ziemię

i podciągając się na niej. Pełził jak ogromny robak. Pokonywał metr za metrem. Zwęszył już nasze mięso.

Dokładnie wtedy zrozumiałem, że nawet jeśli wygramy tę potyczkę i nie oddamy im Laury, to i tak w całej wojnie, która niechybnie wybuchnie, jesteśmy z góry skazani na przegraną. Nikt nie chciał słuchać moich przestroż. Doradzano mi tylko nieustannie, abym uważał na to, co robię, bo jeżeli przeciwstawię się prawom Morii, ściagnę na siebie jej gniew. Ale przecież śmierć nie odczuwa gniewu. Śmierć jest na wszystko obojętna. A my wierzymy w nią jak w boga.

Tymczasem Mięsożerców było coraz więcej. Wystarczy policzyć ile trupów przypada dziennie na jedno urodzone, zdrowe dziecko. Nie mieliśmy z nimi szans. Oni nie cierpieli, nie mieli wątpliwości, nie martwili się jedzeniem. Jeśli nie nas, jedli samych siebie. Nasza religia kazała mi myśleć inaczej, ale ja miałem ich za zarazę. Nienawidziłem ich i czułem się dzięki temu człowiekiem. Nieumarli przestali być dla mnie naturalnym elementem świata. Moria naucza, że mamy być wiernymi poddanymi śmierci, ale ja nagle zacząłem mieć tego dość.

Rozległa się kolejna seria wystrzałów i już byłem na dole. Biegłem wzdłuż muru. Dałem żołnierzom sygnał, że mogą zejść ze swoich stanowisk. Jeżeli czarnego konduktu nie zniechęcił ogień, wystrzelone kule i moje epitafia, żołnierze nie mieli tu nic więcej do roboty. Reszta zależała już tylko ode mnie i Petriego. Skinąłem głową kapitanowi Hufca i zobaczyłem błysk w jego oczach. Zrozumiałem, że zostają. Nie dla mnie, nie dla Inspektoratu. Zostali dla Laury.

Zza bramy rozległo się nieludzkie wycie i coś uderzyło o mur. Żołnierze cofnęli się od otworów strzelniczych i sformowali szyk na środku placu przed mauzoleum. Ich kapitan wyjął rapier.

- Trzymać szereg! - wrzasnął, przerywając Minuty Ciszy.

Nie sprzeciwiałem się jego decyzji. Biegłem w stronę mauzoleum. Petrie stanął w pierwszym szeregu Hufca. Miałem wrażenie, że się śmieje.

Siła naporu na bramę musiała być ogromna. W blasku ognia widziałem, jak pękają cegły okalające ją muru. Byłem tuż przy zejściu na schody mauzoleum, kiedy stal i drewno ustąpiły. Nieumarli wdarli się na plac. Widok trupa nie był dla mnie niczym nowym, ale Homo Totens są czymś więcej, niż tylko nieboszczykami. To, co ich napędza do życia, jest całkowicie nieludzkie. Widziałem nieustannie napięte do granic możliwości, skurczone mięśnie, które drgały pod cienką, rozdartą w wielu miejscach skórą. Widziałem ociekające ropą ciała i zaciśnięte zęby, których nie zdołały okryć poobgryzane usta. Ich szczęki ruszały

się jak tłoki maszyn i miały jeden cel. Drzeć płaty mięsa. Tylko Licz, siedzący od niechcenia na swoim tronie, sprawiał wrażenie istoty rozumnej. To przerażało mnie najbardziej.

Czarny Hufiec zwarł szyk i czekał na zbliżającą się falę pokracznych sylwetek. Petrie, krzycząc, opróżnił w tym czasie oba bębny swoich rewolwerów. Nieumarli nawet nie zwolnili. Zwarli się z żołnierzami i zaczęło się piekło. Widziałem, jak rapier kapitana metodycznie podnosi się i opada przy kolejnych pchnięciach i sztychach.

Wrzaski wypełniły moją głowę. Wiele razy w swojej pracy obcinałem kończyny lub otwierałem czaszki, ale nigdy jeszcze nie słyszałem dźwięków łamanych kości u żywych istot. Stałem jak oniemiały. Widziałem, że Licz rozgląda się, przekrzywiając głowę, i nagle jego wzrok zatrzymał się na mnie. Nie było w nim nienawiści. Wypełniała go obojętność.

Z transu wyrwał mnie Petrie. Wypadł z tłumu i pognął w moją stronę. Tuż za nim biegł, wykonując dziwne małe podskoki, szczerzący się Homo Totens. Szponiasta ręka rozdarła kir na ramieniu Petriego, ale ten w ostatniej chwili wykonał unik, schodząc z linii uderzenia. Odwrócił się i wymierzył w głowę Mięsożercy. Rewolwery zagrały i trupa odrzuciło w tył. Zacząłem zamykać drzwi mauzoleum. Mój zastępca zdążył oddać jeszcze kilka strzałów i po chwili obaj byliśmy w środku. Wrzawa na zewnątrz nieco przycichła. Wymieniliśmy spojrzenia i ruszyliśmy w dół do sali, w której spoczywała martwa Laura.

- Przegramy - powiedział Petrie, gdy byliśmy tuż przy niej. Wyglądała tak niewinnie.

- Nie oddam jej. Przysięgałem Królowej i sobie, że jej nie oddam - dotknąłem palcem jej bladych ust.

- Jon... Nic nie poradzimy... Przecież ich widziałeś! Czegoś takiego nie było nigdy wcześniej. Ogień nie działa, kule ich nie zniechęciły, żadne sentencje czy modlitwy nie pomogły, teraz mordują tam ludzi! - Nie krzyczał, ale w jego głosie pobrzmiwała wściekłość.

- Do czego zmierzasz, do cholery? - popatrzyłem na niego uważnie.

- Wiesz, do czego zmierzam... Nie mamy wyjścia, jeżeli chcesz, aby z nami została, trzeba obciąć jej głowę i pochować zgodnie z obrządkiem. Nie ma już co się zastanawiać.

To mówiąc, sięgnął do leżącej nieopodal torby i wyjął z niej grabarski szpadel o zaostrowym szpicu. Tylko takim ostrzem można było skutecznie odciąć jej głowę. Później trzeba było wyjąć jej serce i spalić je, odmawiając odpowiednie epitafia, a na koniec złożyć ciało z głową w nogach w głębokim grobie. Głębokim na tyle, aby nie mogła z niego sama wyjść, gdyby mimo wszystko jakimś cudem wstała. Obiecałem jej matce i sobie samemu, że do tego nie dojdzie.

- Nie ma mowy - powiedziałem chłodno. - Nie zrobimy tego. Ciągle mamy szansę.

- Gównu! - wrzasnął. - I dobrze o tym wiesz! Nie bądź kretyńcem, Jon! Nie zmuszaj mnie! - uniósł szpadel.

- To ty mnie nie zmuszaj! - wydarłem się, równocześnie zapierając nogami na wypadek, gdyby przyszło mi się na niego rzucić.

Nagle naszą uwagę przyciągnął dziwny dźwięk. Odgłosy walki na zewnątrz wyraźnie ucichły. Zamiast tego usłyszeliśmy coś jakby żałobny zaśpiew, zawodzenie, które z każdą chwilą przybierało na sile. Odwróciłem się w stronę Laury. Dokładnie w tym samym momencie dziewczyna otworzyła oczy. Z jej gardła wydostał się nieludzki charkot. Usta rozwarły się jak do krzyku. Ciało zaczęło się spazmatycznie trząść. Nagle każdy z jej mięśni napiął się do granic możliwości. Drgała jak w febrze, podskakując do góry. Zawodzenie było już nie do wytrzymania. Wybaluszone oczy Laury wpatrzone były we mnie. Uniosła dłonie o pięknych, czerwonych paznokciach. Palce dotknęły twarzy, sięgnęły oczu i w jednej chwili zagłębiły się w nie, niemal wciskając gałki do środka. Trysnęła wypełniająca jej żyły gęsta, żółta ciecz. Charkot Laury zmienił się w wysoki krzyk. Nie mogłem wykonać żadnego ruchu.

Petrie, zachowując zimną krew, przymierzył się do zadania ciosu i uniósł szpadel. Kiedy ostrze miało opaść, Laura nagle zerwała się z podestu i uwalniając jedną rękę, pchnęła Petriego. Ten, zaskoczony, stracił równowagę i poleciał dobry metr do tyłu, wpadając na ścianę i waląc w nią głową.

Drugi palec Laury nieustannie krążył w galaretowatej pozostałości oka, zupełnie tak, jakby sprawiało jej to przyjemność. Żółta posoka spływała po jej policzku. Suknia rozdarła się na plecach i dziewczyna ruszyła niezgrabnie w stronę schodów.

Dopiero wtedy zacząłem działać. Przyskoczyłem do Petriego, który jęczał, leżąc pod ścianą. Na głowie miał paskudną ranę, ale chwilowo nie mogłem z tym nic zrobić. Porwałem z ziemi łopatę.

Laure dopadłem, gdy zbliżała się do drzwi mauzoleum. Wycie tego, który ją przyzywał, było już tak głośne, że aż nie do zniesienia. Dziewczyna musiała się przewrócić, bo teraz czołgała się wytrwale do góry, rozstawiając szeroko nogi i ręce na podobieństwo pająka. Czerwona suknia była brudna i porwana. Laura wyciągnęła dłoń w stronę drzwi, za którymi śpiewał Licz. Dzieliło ją od nich już tylko kilka stopni. Przycisnąłem ją nogą do ziemi.

- Wybacz - powiedziałem, biorąc zamach.

Odwróciła głowę w moją stronę. Widziałem, jak zaczyna węszyć. To nie była już lady de Porteroy, córka Królowej, moja narzeczona. Spojrzałem w puste oczodoły. Wydłubując sobie oczy, rozdarła jeden z policzków i teraz jego skóra wisiała luźno, dotykając posadzki.

Zadałem cios. Ostrze przeszło gładko przez kark i z trzaskiem zatrzymało się na kręgach szyi. Wyrwałem je i ponownie wzniosłem do góry. Laura szamotała się niczym ranne zwierzę. Z ust wyciekał jej płyn, którym wcześniej ją wypełniliśmy. Ciąłem ponownie. Za katowski klocek posłużyły mi schody. Kości gruchnęły. Kawalek kręgu odłamał się i przykleił do cholewy mego buta. Poprawiłem okulary. Głowa czegoś, co kiedyś było Laurą, potoczyła się wolno w dół, zatrzymując pod ścianą. Truchło przestało się szamotać. Zawodzenie z zewnątrz nagle się urwało. Odrzuciłem szpadel, zdejmując nogę z dziewczyny, i ciężko oparłem się o kamienny mur mauzoleum. Z trudem łąpałem oddech.

Krzyże, nasze obrzędy, modlitwy - gromadzona przez wieki wiedza mogła okazać się nieskuteczna, aby ich powstrzymać. Ale obcięcie głowy działało zawsze. Teraz musieliśmy wyciągnąć serce Laury i pochować ją w głębokim grobie. Obcięta głowa leżała bokiem na poszarpanym policzku. Język, przypominający białą larwę, wystawał spomiędzy szeroko rozwartych ust dziewczyny.

Płomienie ustawionych w korytarzu gromnic nagle zafalowały i drzwi grobowca z hukiem wpadły do środka. Cofnąłem się odruchowo, widząc wchodzące do środka pokraczne sylwetki. Świece zgasły. Zalała mnie ciemność. Sięgnąłem po wiszący u pasa rewolwer i wtedy ścierwo Laury powstało z ziemi. Pełznąc na kolanach, ruszyło w stronę swojej głowy. Krzyk zamarł mi w gardle. Posłałem parę kul w stronę kłębiących się kilka stopni wyżej postaci, ale wiedziałem, że to ich nie zatrzyma. Już nikt i nic nie mogło ich zatrzymać...

Petrie czekał na mnie cierpliwie przed wejściem do sali tronowej. Kiedy do niego podszedłem, szczerzył się do jednego z ogromnych, zawieszonych na ścianach luster. Znajdujące się obok nich ozdobne gobeliny przedstawiały sceny z danse macabre.

Klepnąłem Petriego w ramię. Zgolono mu większość włosów z głowy i założono opatrunek. Miał paskudną ranę po starciu z Laurą. Już teraz cieszył się z kolejnej szramy, którą będzie mógł wkrótce dodać do swej kolekcji. W myślach dziękowałem opatrności za to, że skończyło się tylko na jednej szramie. Uratował nas nadchodzący świt i pierwsze pianie koguta Inspektoratu. Nieumarli, słysząc je, zaczęli się wycofywać. Póki co, musieli wrócić do swego królestwa przed nastaniem dnia. Laura, trzymając swą głowę za włosy, odeszła wraz z nimi. Nawet nie próbowałem jej ścigać...

- I jak? - zapytał, odwracając się do mnie Petrie. - Powiedziałeś wszystko starej? Uwierzyła?

Obejrzałem się za siebie nerwowo. Korytarzem przemknął ubrany na czarno szambelan dworu.

- Uwierzyła, tak przynajmniej sędzę. Ale wszystkiego jej nie mówiłem. Pomiąłem na przykład to, że ty pierwszy chciałeś urznąć szpadlem głowę lady de Porteroy...

Petrie wyszczerzył się w uśmiechu.

- To miło. A co powiedziała na to, że i tak straciliśmy jej córkę?

- Uwierzyła, że zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Uwierzyła, że metody, które kiedyś ich powstrzymywały, teraz przestały działać.

- Ich?

- Uważam, że oni nie są już tylko martwymi rzeczami. Coś się w nich zmieniło. Wiesz o tym tak samo dobrze, jak ja.

Petrie wyjął z kieszeni płaszcza wykałaczkę i wsadził ją sobie do gęby.

- Więc co teraz? Przestaliśmy być potrzebni? Zamkną Inspektorat?

Ruszyłem wolno w stronę wyjścia. Dotrzymywał mi kroku.

- Królowa to silna kobieta - odparłem. - Dostaliśmy nowe rozkazy. Inspektorat ma nadal działać.

Uniósł w zdziwieniu odsoniętą brew.

- Nie trzymaj mnie w niepewności - burknął.

- Mamy się zreformować. Od teraz będziemy nie tylko bronić przed Mięsożercami naszych zmarłych, ale także szukać sposobu na ich unicestwienie.

- Czy to aby nie sprzeczne z prawami Morii? - zapytał zgryźliwie.

- A czy oszukiwanie na loterii Mordu Kolektywnego nie jest sprzeczne z prawem? Nadepnęli Królowej na odcisk. Śmierć pozostanie blisko nas, ale w Królowej obudził się prawdziwy człowiek.

- W jakim sensie?

- Przestała się ze wszystkim godzić. Nastąpiło Dekathexis, uświadomiła sobie ostatecznie, że jej córka nie żyje, że nigdy już nie wróci. Zrozumiała także, czym teraz jest Laura. Obojętność wobec życia zastąpiona została przez stare, dobre, ludzkie uczucia, takie jak zawiść i złość.

Odebrałem mój płaszcz i rękawice od lokaja, po czym wyszliśmy na dwór.

- Kurde - powiedział po chwili Petrie. - Dobry z ciebie wykładowca. Zaczynam to rozumieć i w związku z tym chciałem cię zapytać, czy może nie mógłbym u ciebie przemieszkać przez pewien czas?

- Po cholere?

- Bo najwyraźniej po ostatniej Loterii i śmierci teściowej w mojej żonie także obudził się prawdziwy człowiek i poczuła to deka... coś tam w stosunku do matki - odparł, wybuchając na koniec charkotliwym śmiechem.

Machnąłem ręką na dorożkarza, który uspokajał konie. Syreny brzmiały od strony miasta. Właśnie kończył się kolejny tydzień.

ŚMIERĆ PROKRIS

I asked my dog what he thought the best in man
He said, „The love you dispense to me twice daily from a can”.
I said, „Why do you think my question funny?
And where would you be without my money?”
I said, „There may be some quality in us you must treasure”.
„It's despair," he said, „of which your money is the measure”.

Sting

I

Co czyni złodzieja wyjątkowym? Większość odpowiedziałaby zapewne, że umiejętność radzenia sobie z różnego rodzaju zamkami. Sid Rayback sprawnie otwierał najróżniejsze zamki chroniące zawartość sejfów i skrytek, ale jeszcze lepiej radził sobie z pilnującymi owych sejfów i skrytek psami. W szczególności z tymi stróżującymi.

Zastanawiał się właśnie, czy miłości do tych zwierząt nie przypłaci zaraz dotkliwymi pogryzieniami. Jakieś dwa metry przed nim stał bowiem okazałych rozmiarów wilczarz irlandzki. Ogromne, kudłate psisko, wielkością zbliżone do cielaka. Wilczarze nosiły taką, a nie inną nazwę nie bez powodu. Trzy osobniki tej rasy znakomicie radziły sobie z całą wilczą sforą. To oznaczało, że jeden mógł bez problemu poradzić sobie z samotnym włamywaczem. Takim, który na dodatek prędzej dałby się pogryźć, niż uczynić psu krzywdę.

Raybackowi, oceniającemu wagę psa, pozostawało jedynie zachować zimną krew i wierzyć w to, że w wigilijny wieczór rzeczywiście zdarzają się cuda. Wilczarz warknął. Przekonanie go co do tego, że Sid jest Świętym Mikołajem, nie wchodziło w grę. Na niebie nie świeciła jeszcze pierwsza gwiazdka.

Patrząc w czarne ślepie, Sid gratulował sobie w myślach zuchwałości. - No stary, tym razem przesadziłeś - powtarzał sobie, bojąc się nawet drgnąć. Nie miał prawa się poruszyć. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Sylwetka psa o ciemnym namaszczeniu wyraźnie odcinała się od śniegu. Stali naprzeciw siebie już prawie minutę.

Sid przelazł przez mur posesji bogacza, którego majątek zamierzał w tę Wigilię nieco uszczuplić. Pamiętał, że zrobił trzy kroki w kierunku ciemnych konturów willi znajdującej się w głębi ogrodu i wtedy pojawił się pies.

Ogon miał położony, skierowany ku dołowi. Na grzbiecie zjeżyły mu się włosy. Wargi kosmatego pyska podjechały do góry, ukazując rzędy pożółkłych zębów. Psy siedzące w

domach można było unieszkodliwić, wpuszczając przez wentylację odpowiedni gaz, ale spotkania w ogrodzie przedstawiały się nieco inaczej.

Pierwszym krokiem na drodze do stworzenia więzów przyjaźni było pokazanie zwierzakowi, że to nie on dominuje na tym terenie. Pies cały spał się do ataku. Sid widział, jak pod skórą drgają mu mięśnie. Nie mógł czekać ani chwili dłużej. Zerwał się do szalonego biegu w stronę zwierzęcia. Błyskawicznie pokonał dzielące ich metry. Zdezorientowany pies stał jak wryty. Sid podbiegł do niego i trzepnął go lewą ręką w pysk. Nie za mocno, ale zdecydowanie. Zwierzę odskoczyło i przysiadło na tylnych łapach. Ich spojrzenia się spotkały. Sid zasymulował kolejny atak. Pies odruchowo odskoczył i szczeknął. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem. Rayback już spokojniej podszedł do wilczarza, stanowczo poklepał go w bok i zaczętnie podrapał w brodę. W tej chwili psisko mogło go bez problemu zaatakować i zagryźć. Odkrył się przed nim i robił to celowo. Wilczarz znowu szczeknął. Sid zaczął go głaskać przy kręgosłupie w tylnej części grzbietu, tam, gdzie schodzą się wszystkie nerwy. Pies podniósł nieco ogon i znowu przysiadł w śniegu. Rayback optymistycznie założył, że przynajmniej chwilowo są kumplami. Może nie bardzo bliskimi, ale przez ostatnie kilka minut poznali się na tyle, że Sid mógł zaryzykować bezpieczne podejście do willi, nie obawiając się, że coś skoczy mu nagle na plecy. Musiał się spieszyć. Mniej więcej co godzinę za murem posiadłości przejeżdżał patrol prywatnej ochrony. Zabrał się do roboty i w chwilę później przestał dziękować za wigilijny cud. Pierwszy zamek, który przyszło mu sforsować, okazał się bowiem prawdziwym wyzwaniem.

Zima potrafi zmobilizować do pracy. Sid czuł, jak kończy mu się cierpliwość. Na balkonie willi, na który przyszło mu się wspiąć, dość mocno wiało. Mróz szczypał Raybacka w nos i sprawiał, że łzawiły mu oczy. Przeklinając swe ścierpnięte ręce, grzebał wytrychami w zamku. Zmarnował na walkę z jego mechanizmem już dobre kilka minut. Cholerstwo, z którym przyszło mu się zmierzyć, zamarzło. Nie był na to przygotowany.

Do głowy by mu nie przyszło, że bogacz, którego planował okraść, na czas wyjazdu z domu mógł wyłączyć lub zmniejszyć ogrzewanie. Bogacze nie muszą przykręcać ogrzewania, wyjeżdżając na święta. Są w końcu bogaczami! Stać ich na to.

Robiąc minę męczennika, Sid kolejny raz podgrzał zapalniczką jeden z wytrychów. Począł, aż stop metalu dopasuje się do zapadki zamka i starał się wyczuć ukrytą w mechanizmie sprężynkę. Dłonie miał już fioletowe z zimna. Pyskanie płynem pomagającym w otwarciu zamrożonych drzwi samochodu nic nie dało... Coś szczęknęło cicho, wreszcie... Z delikatnym drzeniem zapadka zaskoczyła. Zamek cicho szczeknął i wielkie balkonowe

drzwi uchyliły się bezgłośnie o dwa cale. Sid odwrócił się, chcąc wykonać taniec zwycięstwa i wtedy zobaczył psa siedzącego na trawniku. Wilczarz przycupnął dobre trzydzieści metrów od domu. Rayback miał wrażenie, że psisko patrzy wprost na niego. Wyraźnie zestresowane ziewało co chwila, wypuszczając z pyska kłęby pary.

To miała być szybka, prosta robota. Sid od kilku lat pracował dla pasera i handlarza dziełami sztuki imieniem Elli. To on załatwił mu wszystkie zlecenia. Rayback zakładał, że przez ostatni rok Elli zarobił na nim przynajmniej kilkaset tysięcy. Bez wątpienia miał za co kupować prezenty w te święta. Sida czasami aż skręcało w środku, kiedy porównywał własny zysk z wykonywanych zleceń, z sumami wpadającymi do kieszeni pasera.

Zastanawiał się nawet, czy nie byłoby warto podkablować gnojka, ale oto tuż przed świętami pojawiła się nowa szansa zarobku. Elli powiedział mu, że powinien traktować ten „skok” jak wigilijny prezent. Sid miał z niego sześćdziesiąt procent zysków dla siebie. Sporych zysków, jak zakładał. To mogło go ustawić przynajmniej na połowę życia. Wymarzona Wigilia. Trzeba było jednak działać szybko. Elli dostał cynk, że klient, którego Sid miał obrobić, dopiero co zakupił nowy dom. Nie zdążył przewieźć do niego jeszcze wszystkich mebli, ale wstawił już do środka pewną ikonę.

Ikoneę przedziwną. Przedstawiała ona świętego w ozdobnym ubraniu, bogato zdobionych butach, z greckim krzyżem w dłoni i aureolą dookoła głowy. Głowy dość wyjątkowej, bo psiej.

Opis dzieła zaintrygował Sida. Zanim został włamywaczem i złodziejem w jednej osobie, przez całe dwa lata studiował w Rzymie historię sztuki. Niestety wkrótce odkryto, że jego dokumenty są sfalszowane i pomimo znakomitych wyników w nauce, wydano go z uczelni.

Po drugie, ikona intrygowała go z racji wyjątkowego uczucia, jakim Rayback darzył psy. Tym, co łączy te zwierzęta ze sztuką, zainteresował się dopiero w czasie pierwszej odsiadki w pace, kiedy to wymyślił sobie ksywę Prokris. Mało kto, prócz jego kuratora, zdawał sobie sprawę z tego, że imię to nosiła w greckiej mitologii przepiękna żona wielkiego myśliwego, Kefalosa. Poinformowana o tym policja umieściła podobno w jego aktach adnotację: skłonności homoseksualne.

Policyjne matoly! Nawet kurator nie miał jednak pojęcia o tym, że Prokris jest także starą, zapomnianą nazwą gwiazdnej konstelacji psa. Wymyślając sobie przydomek, Sid myślał właśnie o gwiazdozbiornie. Niestety zarówno przedstawiciele władz, jak i większość

przestępców, dla których pracował, była zbyt głupia, aby zapamiętać imię Prokris i nazywano go po prostu Psem. Robił tak również przeklęty Elli.

Sid-Prokris, zwany Psem, podniósł swoje rękawiczki, wsunął wytrychy do kieszeni przy bucie i najciszej jak potrafił, wślizgnął się do rezydencji bogacza. Ikona, którą miał ukraść, znajdowała się w bibliotece na parterze. Mimo że dom leżał na odludziu, Sid wolał nie ryzykować mijania fotokomórek, którymi naszpikowano front budynku, i zdecydował się wejść przez zaciemniony balkon, od strony ogrodu. Skorzystanie z tej drogi zasugerował mu Elli, zwykle pomocny w tych kwestiach.

Sid słyszał, że ikona podobna do tej, którą miał ukraść, znajdowała się wiele lat temu w ateńskim Muzeum Bizantyjskim. Nie miał pojęcia, że istniała druga taka sama. Starał się stłumić podniecenie. Już niedługo będzie miał ją w rękach.

Zamknął za sobą balkonowe drzwi i zapalił małą, doczepioną do ubrania latarkę. Dawała zbyt małe światło, aby można było dojrzeć ją z ulicy, a jednocześnie pozwalała uniknąć zderzenia z ukrytymi w ciemności meblami.

Zgodnie z planem, Prokris znajdował się teraz w gabinecie bogacza. Wolał nie sprawdzać kogo tym razem okrada. Kiedyś obrabiał generała armii amerykańskiej.

Po tym, jak dowiedział się, kim jest właściciel wynoszonego wówczas pod pachą obrazu, przez całą akcję trząsł się ze strachu. Odtąd o pewnych rzeczach wolał nie wiedzieć.

Przemknął przez pokój, uważnie nasłuchując odgłosów domu. Tykanie zegara i jakiś cichy szmer, który po dotarciu do schodów okazał się być buczeniem ustawionej na dole lodówki. Lodówka była ogromna i stała w holu. Kolejne pieprzone widzimisię bogacza. Skrzywił się, wykonując krótki taniec i grając fantomowi właściciela domu na nosie. Szlag z lodówką, myślał. Zaraz dobiore się do twojej ikony!

Na wszelki wypadek, idąc najciszej, jak to tylko możliwe, zaczął schodzić w dół. Stary nawyk z czasów, kiedy jeszcze miał odwagę okradać domy, w których spali ludzie. Strach pozwalał mu skupić uwagę na szczegółach. W końcu nawet Elli mógł coś przeoczyć. A nuż, gdzieś w pobliżu czaił się na Sida jakiś przebrzydły, cichy alarm. Jeden taki Sid znalazł chwilę wcześniej w gabinecie pod biurkiem.

Zszedł do holu. Ogromny dywan, zdobiony w przypominające sanskryt zawijasy, idealnie tłumził jego kroki. Przystanął na moment, aby przyglądać się stolikowi z marmurowym blatem przedstawiającym szachownicę. Ciekawe, czy bogacz kiedykolwiek grał na nim w szachy? Tego właśnie nie cierpiał u takich, jak on. Wszyscy byli ignorantami. Gdy kupowali swoim żonom kwiaty, nie interesowało ich nawet to, że czerwone róże

powstały, gdy Afrodyta spiesząc do Adonisa skaleczyła się ich cierniem i zabarwiła je własną krwią. Kupowali po prostu bukiet stu kolorowych róż. Na jego szczęście, kupowali też wyjątkowe ikony ze świętym o psiej głowie. Sid czytał swego czasu, że postacią na ikonie jest święty Krzysztof - patron podróżników i przewodnik duchowy ludzi. To zgadzałoby się o tyle, że pies w wielu wierzeniach był uznawany właśnie za przewodnika ludzkich dusz.

Krażenie wróciło do rąk. Rozprostował je kilka razy. Powstrzymał się przed dotknięciem szachownicy na stoliku, po czym, aby nie tracić już czasu, ruszył w stronę biblioteki. Była ogromna. Wielkie regały z mahoniowego drewna były szczelnie wypełnione książkami. Łakomie oblizwał wargi. Miał ochotę bliżej przyjrzeć się tytułom. Przekłęty brak czasu. Wtem jego uwagę przykuło coś dziwnego. Zapach. Unosząca się w pomieszczeniu woń wydała mu się dziwnie znajoma. Przystanął. Cóż to było? Powoli wciągnął kilka razy powietrze... Perfumy? Nie! Woda kolońska, z całą pewnością woda. Nieczęsto spotykana zresztą, z drzewa cedrowego... Ostatni raz czuł ją...

Za plecami usłyszał ciche stuknięcie. Błyskawicznie odwrócił się, gotów wziąć nogi za pas, ale jedyna droga odwrotu została odcięta. W drzwiach biblioteki stał mężczyzna w kominiarce. Białka oczu błyszczały na tle czerni. Wysoki facet, ubrany w ciemny, podobny do wojskowego uniform z dużą ilością kieszeni. Sid miał podobny, tyle że jeździł w nim łowić ryby. Rayback przełknął ślinę. Nieznajomy celował do niego z pistoletu. Sam fakt celowania w jego skromną osobę nie przeraził go jeszcze tak bardzo, jak to, że pistolet miał zamontowany tłumik.

Stali naprzeciw siebie przez chwilę, zupełnie nieruchomo. Mierzyl się wzrokiem. Z ludzkimi strażnikami Sid nie radził sobie tak dobrze, jak ze zwierzętami. W co wpakowałem się tym razem?, rozmyślał gorączkowo. Czyżby konkurencja? Ochrona? Ale żeby w kominiarce i ten pistolet z tłumikiem? Coś tu śmierdziało. Właśnie, myśl uderzyła go niepokojąco. Zapach! Tak jest, teraz pamiętał! Czuł te cholerne cedry, kiedy był ostatnio w firmie Ellego. A to oznaczało...

- Cześć... - powiedział i podniósł ręce do góry. Oczy tamtego wpatrywały się w niego z zaciekawieniem.

- Witaj Sid... - powiedział nieznajomy. Miał wyraźny brytyjski akcent.

- Możemy się dogadać - zaryzykował Pies. Musiał spróbować. - Powiedz, czego chcesz?

- Jasne, możemy przez chwilę pogadać - odparł tamten. - Ale raczej się nie dogadamy. Mam wyraźne polecenie stary. Osobiście nic do ciebie... Taka praca, rozumiesz...

- Jasne, że rozumiem. Nasłał cię Elli? Nie ma tu żadnej ikony? To wszystko podpucha... - Sid mówił po części do siebie, tłumacząc sam sobie zaistniałą sytuację.

- Tak jakoś wyszło. Podobno za dużo wiesz o interesach Ellego, stałeś się zbędny, zbyt męczący z tym mądrzeniem się na temat sztuki, tak mi powiedział. Dom jest prawdziwy, właściciel to jakiś bogacz, który faktycznie wyjechał spędzić święta gdzieś indziej. Podobno nawet ikona jest prawdziwa, ale raczej jej nie zobaczysz... Przesuń się bliżej fotela. Usiądź sobie. Ręce tak, żebym widział.

Sid bez słowa wykonał polecenie. - Taki miał być koniec jego kariery? Bo za dużo wiedział? Bo się mądrzył na temat sztuki? Miał zginąć w Wigilię?! Głupi, dumny, prosty Elli! Kretyn! Gdyby tylko mógł, wydrapałby pajacowi kaprawe, zamulone od nikotyny ślepie.

- Na co czekasz? Dlaczego mnie jeszcze nie zabiłeś? - zapytał.

- Co godzinę obok domu przejeżdża samochód prywatnej służby ochrony. Nawet tej nocy. - Nieznajomy spojrział na podświetlany zegarek. - Chcę przeczekać, aż przejadą, co też... stanie się za dziesięć minut. Wiesz, dmucham na zimne. - Mówiąc to, rozsiadł się na fotelu naprzeciwko Sida, ani na chwilę nie przestając w niego celować. - Przez ten czas możemy sobie pogadać. Opowiedz mi Psie, co miałeś stąd zwinąć. Ikonę?

Sid już miał mu kazać iść do diabła, kiedy nagle obaj usłyszeli głośne trzaśnięcie. Pistolet drgnął. Ktoś właśnie otworzył i zamknął wejściowe drzwi. Usłyszeli ciężkie kroki w holu i ciche pogwizdywanie przez zęby. Ktoś zdejmował z siebie ubranie.

Sid mógłby przysiąc, że człowiek pachnący cedrem bezgłośnie zaklął pod nosem. O co tu chodziło?! Czyżby niezaplanowany powrót właściciela domu? A może to Święty Mikołaj wpadł z workiem prezentów?

Rayback popatrzył w oczy swojego kata. Facet wyraźnie się zastanawiał. Poprawiał uchwyt na broni. Rozwahał coś... Sida ścisnęło za gardło. Jeśli gość miał go zabić, to właśnie teraz... Nieznajomy szybko rzucił okiem na zegarek...

- Wygląda na to, że to twoja szczęśliwa noc - wycedził. - Nie wiem, o co tu chodzi, ale zapewne tak jak ty nie spodziewałeś się mnie, tak i ja nie spodziewałem się nagłej wizyty pana, cholera wie kogo...

- Co proponujesz?

- Proponuję rozejm... Opuuszczam sobie ciebie i wyprowadzasz nas bezpiecznie tą samą trasą, którą się tu dostałeś. Nie chcę ryzykować niepotrzebnego morderstwa. Zbyt wiele ryzykuję. Ty zresztą też.

Sid prędko rozmyślał, nasłuchując tego, co działo się w holu.

- OK... - wyszeptał. - Przestań we mnie mierzyć i mamy umowę.

Nieznajomy skinął głową i opuścił broń. Gdzieś w domu trzasnęły kolejne drzwi i teraz usłyszeli, jak kroki oddalają się na moment, schodząc gdzieś w dół.

Sid ostrożnie wyjrzał zza rogu na korytarz. Zgasił lampkę. Wszędzie paliło się światło, ale wyglądało na to, że właściciel domu, kimkolwiek był, znikł w którymś z pomieszczeń. Przez cały czas zastanawiał się, na ile może zaufać czającemu się za jego plecami nieznajomemu. Jaką miał gwarancję, że nasłany przez Ellego człowiek nie pośle mu kuli, kiedy tylko wyjdą na balkon? Musiał wymyślić coś, by ocalić skórę...

Najciszej, jak tylko potrafił, ruszył korytarzem. Dopiero teraz, w świetle kinkietów, zauważył, że na ścianach wiszą portrety. Zapewne przedstawiały podobizny członków rodziny bogacza. Patrząc na obrazy, przypomniał sobie słowa Petera Mayera, który stwierdził niegdyś, że „dobrze namalowana głowa kapusty jest większym dziełem, niż źle namalowana madonna”. Pies stwierdził w myślach, że poziom artystyczny wiszących tu portretów pobiłaby nawet całkowicie źle namalowana madonna.

Bez większych przeszkód dotarli do holu. Sid nie odwracał się za siebie, ale wyraźnie słyszał przyspieszony oddech sunącego za nim kompana. Naraz cała ta sytuacja wydała mu się zupełnie absurdalna. Mógł chociaż spróbować odszukać tę przeklętą ikonę, jeśli takowa istniała. Ile by dał, aby ją zobaczyć...

Wyminęli lodówkę, która znieńska zaczęła cicho buczeć. W rogu holu stała niedbale oparta o ścianę choinka. Dookoła rozchodził się zapach świerka. Towarzysz Prokrisa znów zaklął szeptem. Sid zamierzał właśnie wspiać się na schody, ale przedtem odwrócił się do zamaskowanego nieznajomego i zapytał:

- W jaki sposób wyminąłeś psa w ogrodzie?

Zamiast odpowiedzi, w pomieszczeniu obok rozległo się szuranie. Usłyszeli, jak ktoś, sapiąc, wspina się do góry i drzwi, które według Sida musiały prowadzić do czegoś w rodzaju spiżarni lub piwniczki, otworzyły się z hukiem.

Stanął w nich sporych rozmiarów mężczyzna w za dużych, zsuniętych na nos okularach, nadających jego obliczu wygląd belfra. Włosy miał zmierzwione, wyraźnie przetluszczone i klejące się do czoła. Wyglądał jakby uciekł wprost z obrazu Boscha. Trzymał wielki nóż, o lekko zakrzywionym ostrzu.

Sid patrzył prosto w jego oczy. Powieki okularnika ani drgnęły.

- Rzuć nóż - usłyszał głos swego towarzysza. - Rzucaj go, no już! I pod ścianę! Ani jednego pieprzonego słowa!

Mężczyzna w okularach bez słowa postąpił dwa kroki do przodu. Rzucił nóż i stanął nieruchomo. Zaciskał zęby. Oczy mu błyszczały. Stał brzęknęła o podłogę. Sid był teraz prawie pewien, że widział twarz mężczyzny na jednym z obrazów. Podpis pod nim brzmiał: Charles Junior...

Gość w kominiarce podszedł do nieznanego i mając okularnika na muszce, zaczął obszukiwać mu ubranie. - Jesteś tu sam, chłopie? - zapytał spokojnie. - Czy mamy się spodziewać jeszcze kogoś? Jeśli tak, kiwnij głową. Ani słowa, zrozumiano? Jesteś sam?

Tamten skinął głową.

- Dobra, rób, co ci każemy, a może wyjdiesz z tego cało. Po cholere był ci ten...

Nagle Charles Junior zadał mu potężny cios w głowę.

Sid przysiągłby, że wraz z uderzeniem usłyszał coś na kształt dźwięku łamanej gałęzi. Broń poleciała w stronę lodówki, a w chwilę później mężczyzna w kominiarce zwał się na ziemię. Pies wolał nie czekać na dalszy rozwój sytuacji. Odwrócił się w stronę schodów, gotów pognać, ile tylko sił w nogach. Postanowił, że dopiero na zewnątrz zacznie się zastanawiać nad tym, co tu się tak naprawdę stało.

Pokonał pierwsze dwa schodki i jego ciało przeszła pulsująca fala bólu. Popatrzył w stronę jego źródła i ku swemu przerażeniu, ujrzał ogromny nóż tkwiący w udzie. Ten sam, który jeszcze przed chwilą leżał na podłodze. Sid, krzycząc, runął na schody. Zaczął się czołgać, ale nagle dwie wielkie ręce chwyciły jego głowę w stalowy uścisk. Pisnął, widząc wpatrzone w niego nieruchome oczy Charlesa Juniora. Pasma włosów na jego czole przesunęły się odrobinę, nadając jego twarzy jeszcze bardziej upiorny wyraz.

II

Śnił o greckiej Prokris, o jej braku zaufania wobec ukochanego Kefalosa. O zazdrości, która kazała jej śledzić wybranka serca na jednym z polowań. Widział oczyma wyobraźni, jak ukryta w zaroślach Prokris obserwuje Kefalosa. Widział, jak ten, słysząc poruszenie gałęzi, ciska w ich stronę oszczepem, który nigdy nie chybiał. Wreszcie ujrzał przebite ciało pięknej Prokris i głowę myśliwskiego psa, siedzącego tuż obok niej, zupełnie jak na obrazie Piero di Cosimo, zatytułowanym „Śmierć Prokris”. Pies odwrócił głowę w stronę Sida i wtedy Rayback się przebudził.

Z trudem przypominał sobie, co się stało. Rękoma spiętymi kajdankami obejmował betonowy słup. Umieszczono go w sporym pomieszczeniu, którego ściany przysłonięte były rzędami półek z winem. Pod sufitem migotały świetlówki. Pamięć częściowo mu wróciła i Sid szarpnął się na próbę. Bez rezultatu. Co tu się dzieje, do cholery? - myślał, starając się podnieść z ziemi. Czyżby Charles Junior unieruchomił go do czasu przybycia policji? Prawdopodobne. Przyłapać dwóch włamywaczy na gorącym uczynku. To ci dopiero! Udo piekło go, jak diabli, ale już nie krwawiło. Dopiero gdy wstał, zaczęło boleć naprawdę mocno. Skrzywił się. Starał się nie myśleć o bólu, ale nie bardzo mu to wychodziło. Odwrócił się i znieruchomiał. Kilka metrów za sobą zobaczył stół.

Na stole leżało nagie ciało kobiety. Jej na wpół odciętą głowę zwrócono dokładnie w kierunku Prokrisa. Leżała na lewym boku i patrzyła na niego pustymi oczyma. Usta miała lekko rozwarłe i widać było zwisający z nich luźno język. Sid z trudem powstrzymał wymioty. Odchylił się do tyłu, bo w nozdrza nagle uderzył go trupi smród. Pociemniało mu przed oczyma. Niemal zemdlał... Z rozciętej i otwartej klatki piersiowej kobiety wystawały jakieś narzędzia.

- Jezu... - wydyszał, z trudem łapiąc oddech. - Jezus Maria! - szarpnął się znowu i ostry brzeg kajdanek przeciął mu skórę na dłoni. Kolejna fala bólu pomogła mu się na moment

opanować. Gardło miał wyschnięte na wiór. Co tu się wyrabia, myślał gorączkowo. Czy Elli mógł o tym wiedzieć?!

Z rozmyślań wyrwał go odgłos kroków na schodach. Po chwili do piwniczki wkroczył Charles Junior. Sapał ciężko. Niósł przerzucone przez plecy ciało w czarnym uniformie. Niedoszły zabójca Sida nie miał już na twarzy kominiarki. Widać było teraz jego rudawe, kręcone włosy. Charles zakneblował go i związał mu ręce na plecach. Cisnął mężczyznę jak workiem kartofli na stół, wprost na zwłoki kobiety. Nieznajomy zaczął się szarpać. Wtedy ręce Charlesa sięgnęły jego gardła i zacisnęły się na nim. Ta niema walka, przerywana jedynie sapaniem i charkotami, trwała dobrych kilka minut.

Wreszcie Charles rozprostował ręce. Jego ofiara nadal żyła. Podrygiwały jej nogi.

- To idiotyczne - powiedział. - Idiotyczne, w jaki sposób pokazuje się duszenie człowieka na filmach. Moment i po wszystkim. Gówno prawda. Powiem ci, stary, że duszenie to kawał ciężkiej roboty... - ręce Charlesa znowu zacisnęły się na gardle ofiary.

Cała operacja sprzed chwili powtórzyła się, ale tym razem jej wynik był jednoznaczny. Mężczyzna w czerni wydał z siebie kilka świstów i zadrgał w konwulsjach. Charles ponownie od niego odstąpił. Wyprostował ręce i ciężko odsapnął. Poprawił okulary i zwrócił się w stronę roztrzęsionego Sida.

- No chłopaki... - powiedział, odchrząkując. - Spadliście mi jak z nieba. Chcieliście okraść mojego papę, co nie? Julius to idiota. Nie potrafi upilnować domu. Całe szczęście, że przyjechałem tu z tą ślicznotką.

Wskazał na zwłoki dziewczyny. Złapał za włosy jej głowę, uniósł ją do góry i przyglądał się przez chwilę. Resztką kręgosłupa i płat skóry wisiały tuż nad blatem. Charles zbliżył swoją twarz do jej nosa i delikatnie dotknął go językiem.

Sid, widząc to, nie wytrzymał i zwymiotował. Krztusząc się, opadł na podłogę. Nie zwracał już uwagi na ból przeszywający udo.

Charles odłożył głowę, tym razem zwilżając językiem własne usta. - Jestem mile podniecony - powiedział. - Zaraz się za ciebie zabiorę, kochasiu. Zaniosę tylko ciało nieszczęsnej Clare do lodówki. Sporo się namęczyłem z wyniesieniem jej z kuchni. Nie chciałem ojcu zachlapać nowych dywanów. Tymczasem powiedz mi tylko, kim był Adam? - wskazał na truchło w czarnym uniformie. - Chciał, żebym zabił ciebie, zamiast niego. Nawet bardzo na to nalegał. Sądziłem, że współpracowaliście...

- Był mordercą - wykrztusił Sid. - Nie mam z nim nic wspólnego. Miał mnie tu zabić!

Charles przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- Interesujące - odparł wreszcie. - Jeszcze trochę i zrobi mi się ciebie naprawdę żal - mówiąc to, mrugnął do Sida przyjaźnie.

Następnie wyciągnął z kieszeni spodni czarny worek na śmieci. Zaczął pakować do niego ciało dziewczyny. Sid dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że jest ono podzielone na kawałki...

Kiedy skończył z dziewczyną, Charles znikł na moment w jednej z piwnicznych wnęk i pojawił się ponownie, ściskając w dłoni sporą piłkę do metalu. Podszedł do zwłok rudzielca, przyłożył piłę do jednej z nóg powyżej uda. Ząbki przebiły skórę. Popłynęła krew. Charles napiął mięśnie i zaczął piłować. Sid odwrócił głowę. Młaśnięcie przypominające krojenie arbuza zakończyło się piskliwym zgrzytem. Reszta brzmiała jak piłowanie kawałka drewna. Wreszcie brzeszczot piły przeszedł na drugą stronę i noga Adama spadła na ziemię.

Charles przerwał na chwilę pracę i wytarł zakrwawione dłonie w fartuch.

- Wierzysz w Świętego Mikołaja chłopcze? - zapytał.

Sid nie odpowiedział.

- Pewnie nie wierzysz - kontynuował Charles. - Prawie nikt już dziś nie wierzy. Sam kiedyś odkryłem, że prezenty podkłada pod choinkę mój ojciec. Nigdy nie mogłem dostać od niego tego, czego najbardziej pragnąłem. Miałem wszystko prócz przyjaciół. Tego papa Julius nigdy nie mógł mi kupić, bo przecież tak naprawdę nie był Mikołajem. A tylko Mikołaj może wszystko, jeśli tylko się na to zasłuży. I wiesz co? Rok temu spotkałem go - Mikołaja, takiego prawdziwego. Zapewniał mnie, że istnieje naprawdę i pytał, co chciałbym dostać za rok. Powiedziałem, że chcę mieć przyjaciół. Obiecał, że ich dostanę! - przerwał i wziął ze stołu sprężynowy sekator.

Prokris poczuł, jak żołądek cofa mu się na sam dół brzucha. Charles patrzył na niego łakomie. - Nigdy nie byłem cierpliwy - powiedział. - Na prezenty mogę jeszcze poczekać, ale marzy mi się coś z kuchennych specjalów... Zawsze podbierałem coś z kuchni. - To mówiąc, pochylił się nad Sidem i sprawnym ruchem ręki złapał go za lewą dłoń. Pies zacisnął ją w pięść, szarpiąc się wściekle, ale Junior wygiął w końcu jego mały palec do tyłu. Sid wrzasnął. Zimna stal dotknęła skóry. Sprężyna sekatora szczęknęła i Prokris usłyszał chrzęst kości. Zaraz później jego umysł zalała fala bólu. Nie zemdlął jednak. Szeroko otwartymi oczyma patrzył na to, jak Charles podnosi jego mały palec do ust i niczym cygaro wsadza go sobie między zęby.

Sid nie zwrócił uwagi na moment, w którym Charles skończył ćwiartować ciało mężczyzny. W głowie miał mętlik. Ręka z obciętym palcem trzęsła się nieustannie.

Morderca owinał mu ją szmatą, bo jak sam powiedział - nie chce, aby zawczasu się wykrwawił. Krwawienie łagodzi ból, a tego nie chciał mu oszczędzać.

Prokris załkał... Czy tak będzie wyglądała jego śmierć? Ma skończyć w ten sposób? W Boże Narodzenie? Obiecywał sobie, że jeżeli jakimś cudem wyjdzie z tego cało, rozerwie Ellego na strzępy. Oto nauczka! Mały paser wykorzystał jego pazerność. Gdyby odmówił wykonania tego zlecenia, prawdopodobnie siedziałby teraz w domu przed telewizorem i oglądał świąteczne powtórki, popijając spokojnie gorącą czekoladę. Dzięki Bogu, Charles okaleczył mu tylko lewą rękę. Prawa, którą otwierał zamki, była wciąż sprawna. Wciąż żył. Dopóki Junior nie zacznie go dusić, istniała szansa na ratunek. Wystarczy, że Charles na chwilę opuści piwnicę, a Sidowi uda się unieść jedną nogę na tyle, aby sięgnąć do kieszonki przy bucie, w której zawsze trzymał wytrychy. Psychopata go nie obszukał. Wyglądało na to, że jego głowę zaprzatają w tej chwili jedynie wywody na temat Świętego Mikołaja.

Charles związał sznurkiem drugi czarny worek i ostrożnie ułożył go obok pierwszego. Uśmiechnięty od ucha do ucha, odwrócił się do Sida. Wciąż żuł jego mały palec.

- Nie ruszaj się stąd chłopcze - powiedział wesoło. - Sprawdzę tylko, czy jest już na niebie pierwsza gwiazdka i zaraz się za ciebie zabiorę. Chyba jednak zjem cię po kawałku, jak innych... - To mówiąc, zdjął zabrudzony krwią fartuch i cisnął go w kąt. Zatrzymał się na moment, wyciągając z ust resztki palca Sida, i położył go na stole. Następnie ruszył żwawo po schodkach do góry. Prokris usłyszał zgrzyt w zamku zamykających się za nim drzwi.

Przeklinał swój los. Usiadł pod słupem, zginając nogę i wyciągając ku niej rękę. Skrzywił się z bólu. Sapiąc, napiął mięśnie pleców. Palce prawej ręki musnęły upragnioną kieszeń przy kostce. Wciąż wydawało mu się, że palec lewej ręki ma na swoim miejscu. Czuł, jak rana go swędzi. Jeżeli Charles wróci w tej chwili, będzie już po nim... Skończy w czarnym worku na śmieci, jak reszta. Palce dotknęły zatrzasku na górze kieszonki. - No dalej Sid! - mamrotał. - Nigdy nie lubiłeś swoich długich rąk, może teraz ci się wreszcie na coś przydadzą!

Kajdanki jeszcze bardziej wbiły się w skórę na nadgarstkach. Jeden palec miał już w kieszeni. Wyczuwał jego koniuszkiem upragniony futerał z wytrychami. Musnął go drugim palcem i wtedy zamek w drzwiach od piwniczki szczęknął. Drzwi otworzyły się na oścież. Zabrzmiało ciężkie tupanie i Sid zamarł w bezruchu. Oniemiały wytrzeszczał oczy. Kilka metrów przed nim stał Święty Mikołaj.

Prokris zaniemówił. Przypatrywał się postaci w czerwieni, dopiero po dobrej minucie dostrzegając w niej coś znajomego. Duże, nieruchome oczy, patrzące na niego bez jednego

mrugnięcia. Mikołajem był Charles Junior. Biała broda opadała mu na wydatny brzuch, ściśnięty czarnym, szerokim pasem.

- Ho, ho, ho - powiedział Charles Mikołaj. Następnie ruszył w stronę czarnych toreb. Dziwne rulony, które trzymał w dłoni, okazały się być ozdobnym papierem do pakowania prezentów. Pochylony, zaczął nim owijać foliowe pakunki. W czasie, gdy się tym zajmował, Sidowi udało się wreszcie nieco opanować. Co się z nim teraz stanie? Psychopata zaraz go poszatkuje, czy zostawi na długie lata, przykutego do słupa w piwniczce? W końcu nikt Sida nie będzie szukał, a już na pewno nie Elli.

Mikołaj wyprostował się, wiążąc na prezentach kolorowe wstążki. Wyraźnie strzyknęło mu w kolanach, kiedy odwracał się do Sida.

- Prezenty dla Charliego... - powiedział basem. - Obiecałem mu przyjaciół. Nie wygadasz się, że już widziałeś prezenty, co? Prosił mnie o jeszcze jedno. Koniecznie chciał coś do przytulania, bo w łóżku czuje się samotny. - To mówiąc, Mikołaj podszedł do stołu i wziął z niego siekierę o długim, wygiętym w pałąk trzonku.

Zbliżył się do Sida i przystawił mu ostrze do szyi. Zimny metal dotknął skóry. Prokrisa przeszły dreszcze. Mikołaj wziął zamach. Sid szarpnął się, chcąc odsunąć się od ostrza, które zatrzymało się w połowie drogi do jego głowy. Ktoś dzwonił do drzwi wejściowych. Ciepłe „bim, bam, bom”, rozległo się dwa razy. Mikołaj opuścił siekierę.

- A to co? - wymamrotał. - Nieproszony gość na Wigilię? - Odłożył narzędzie i biorąc pod pachę jeden z prezentów, ruszył ponownie w stronę schodów. - Nigdzie się stąd nie ruszaj przytulanko!

Sid nigdy wcześniej nie był tak bliski śmierci jak przed chwilą. Myśl o tym, że jego głowa stanie się przytulanką dla jakiegoś świra, przeraziła go do tego stopnia, że nie zwracał już uwagi na krwawiące ręce i ból w udzie. Wyginając się cały, starał się wydobyć wytrychy. Futerał wyleciał z kieszonki na kamienną posadzkę. Pochwycił go. Upływały cenne sekundy. Kimkolwiek był dzwoniący do drzwi, Rayback miał ochotę go serdecznie wycalować! Przy okazji postanowił zrobić coś jeszcze.

Zamek zgrzytnął i kajdanki puściły. Sid zerwał się z podłogi. Popatrzył na leżącą obok siekierę i pozostawiony przez Charlesa prezent. Z kieszeni spodni wyjął dokumenty. Pobrudził je własną krwią i cisnął na stół, gdzie jeszcze godzinę temu spoczywały zwłoki. Dokumenty upadły tuż obok małego palca. Jego fragment był objedzony do białej kości. Sid skrzywił się i rzucił na stół jeszcze niewielki kartonik, który znalazł w kieszeni.

Po chwili był już przy drzwiach piwnicy i ostrożnie chwycił za klamkę. Były otwarte. Najwidoczniej Mikołaj miał zamiar zaraz wrócić. Uchylił je nieco i wyjrzał. Tuż obok

częściowo ubranej choinki leżał jeden ze znajomo wyglądających prezentów. Zza rogu dochodziły dźwięki rozmowy. Trzy męskie głosy. Sid nie miał zamiaru czekać na dalszy rozwój sytuacji. Najciszej jak się dało, zamknął za sobą drzwi od piwnicy.

- Jest pan pewien, że wszystko w porządku z tym psem? - pytał jeden głos.

- Byliśmy na patrolu i zwróciliśmy uwagę na zwierzaka. Stał przy domu i ujadł jak szalony - dodał drugi.

- Nie chcemy przeszkadzać, rozumie pan. Musieliśmy sprawdzić. Pies to pies, musi mieć powód do takiego hałasu, a rabanu narobił za trzech.

- Rozumiem, jasne - odpowiedział głos Charlesa. - Ale jak panowie widzą, jestem trochę w trakcie... czegoś... - roześmiał się.

- No tak, widzimy - zawtórowali mu śmiechem. - Dzieciaki czekają na prezenty, co?

- Dokładnie tak! Obiecuję uspokoić psa, w domu wszystko dobrze. Wesołych Świąt panowie!

Sid był już w połowie drogi do schodów. Po drodze porwał z ziemi prezent. Pakunek był ciężki jak cholera. Czuł, jak w środku coś się przelewa.

- Nie będzie wszystkich prezentów w te święta, świrze! - wyszeptał.

- Wesołych Świąt, proszę pana i przepraszamy, że niepokoiłiśmy.

Zaraz potem dał się słyszeć dźwięk zamykanych drzwi.

Sid, stękając, dostał się na półpiętro. Adrenalina łagodziła ból w udzie. Zbliżył się do okna wychodzącego na podjazd willi. Stało na nim auto należące do ochrony. Dwóch umundurowanych właśnie do niego wsiadało. Zapaliły się reflektory.

- Kretyni! - wymamrotał Sid. - Ten pies jest mądrzejszy, niż wy wszyscy razem wzięci, bando idiotów! Ale ja was zaraz obudzę!

Wóz zaczął się cofać, a Sid wziął zamach i cisnął z całych sił pakunkiem w okno. Prezent strzaskał szybę i wraz z kawałkami szkła spadł wprost na maskę cofającego się auta. Uderzenie musiało rozerwać znajdujący się w środku worek, bo krew zalała jeden z reflektorów. Sid usłyszał na dole tupot nóg. Nie czekał na reakcję ochroniarzy. W szaleńczym pędzie, bojąc się choć na moment odwrócić, biegł w stronę gabinetu na piętrze. Oczyma wyobraźni widział wpadającego za nim na schody Charlesa z mocno naciągniętą na tłuste włosy czapkę Świętego Mikołaja.

Potyając się, dopadł biurka stojącego na środku gabinetu. Sięgnął pod blat i włączył alarm. Na dole rozległo się walenie w drzwi i krzyki. Chwilę później Sid był już na balkonie na tyłach domu. Opuścił się z niego w zaspę śniegu. Sapiąc ciężko, sprawdził, czy nie zostały

po nim krwawe plamy i ruszył w stronę ogrodzenia, tak aby jak najszybciej skryć się w jego cieniu. Utykał, idąc po własnych śladach i rozrzucając śnieg. Nagle zamarł, słysząc za sobą szmer. Odwrócił się, gotów odeprzeć atak szaleńca, ale zamiast Mikołaja zobaczył wielki psi łeb. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Od strony domu rozległy się wystrzały. Rayback bez słowa wznowił marsz. Wilczarz ruszył w ślad za nim. Nie było potrzeby, aby w tę Wigilię pies mówił ludzkim głosem. Zrozumieli się bez słów.

Tej nocy umarł Prokris. Sid w myślach dał mu krzyż na drogę. Sam miał zamiar zacząć nowe życie.

III

Gazeta leżała na kupce śniegu i sięgający po nią Elli Rotz wykonał szereg akrobacji, aby tylko nie dotknąć zimnego, białego puchu. Balansowanie na jednej nodze utrudniały mu kapcie z głową tygrysa oraz mocno zawiązany szlafrok. W końcu zadowolony ścisnął gazetę w rękach. Był słoneczny poranek drugiego dnia świąt. Elli zdecydował się jeszcze nie iść tego dnia do pracy. W sypialni czekała na niego pani Mikołajowa. Miał wielką ochotę czym prędzej znowu się w nią wtulić. Zerknął na gazetę. Kiedy przeglądał nagłówki, jego wzrok przyciągnęło dziwne poruszenie przy bramie wjazdowej na posesję. Podjechało pod nią kilka samochodów, w tym dwa z policyjnymi oznakowaniami. Elli poczuł ucisk w gardle. Jeden z wozów wjechał na podwórze i zatrzymał się z poślizgiem kilka metrów od tarasu, na którym stał Rotz. Drzwi auta otworzyły się i wysiadł z niego starszy człowiek w ciemnym płaszczu. Podchodząc do Ellego, głośno wydmuchiwał nos.

- Jestem detektyw Lyotta - powiedział, chowając do kieszeni płaszcza wysłużoną chusteczkę, a zaraz potem wyjmując z tej samej kieszeni odznakę.

Elli przyjrzał się jej uważnie. Ucisk w gardle się nasilił.

- Witam - odparł, z pewnym trudem wypowiadając słowa. - Elli Rotz, w czym mogę pomóc?

- Och, pan Rotz, ja właśnie do pana - uśmiechnął się detektyw i głośno pociągnął nosem.

- O co chodzi?

- Chciałem zadać panu kilka pytań dotyczących niejakiego Sida Raybacka, znanego też w świątku przestępczym jako Prokris albo Pies...

Elli udał szczere zdziwienie.

- Pierwszy raz słyszę o tym człowieku - odparł.

- Rozumiem... - powiedział detektyw. - Wiele wskazuje na to, że pan Rayback, złodziej i włamywacz, został w okropny sposób zamordowany kilka dni temu. Dokładnie w Wigilię, o ile się nie mylę...

- Co mi do tego? - Rotz starał się wyglądać na oburzonego.

- Tylko tyle, że razem z jego dokumentami znaleźliśmy pański numer telefonu. Znajdował się na wizytówce sklepu z antykami, który pan prowadzi. Zaś pan Rayback był, jeżeli faktycznie nie żyje, wyspecjalizowanym złodziejem, wykradającym na zamówienie dzieła sztuki. Sprawa ta jest jednak dużo bardziej zawiła. Przypuszczamy, że pan Rayback został zjedzony przez swojego kata w całości albo też pozostałe kawałki jego ciała ukryto. Na miejscu morderstwa znaleziono także poćwiartowane ciała kobiety i mężczyzny. Tożsamości denata nadal nie udało nam się ustalić. Wszystko zgłosili na policję patrolujący tamtą okolicę ochroniarze, którzy po wejściu do środka willi, w której popełniono zbrodnię, zostali zaatakowani przez wariata w przebraniu... Świętego Mikołaja... Zastrzelili go w obronie własnej. Natarł na nich bowiem z siekierą w ręku... - Detektyw z trudem powstrzymał kichnięcie. - Wszystko wskazuje na to, że to on był mordercą. - Lyotta zacisnął mocno chusteczkę na nosie i odetchnął z ulgą. - Sam nie wiem, czemu to panu opowiadam - dodał zamyślony. - Przez te cholerne inhalacje jestem zupełnie rozkojarzony - mówiąc to, nabrał głośno powietrza. - To pan powinien mi opowiedzieć swoją historię...

Elli czuł, że drżą mu nogi. O co w tym wszystkim chodziło?!

- O czym pan mówi, detektywie! - pisnął. - I co niby jeszcze się tam stało? Martwe renifery w piwnicy? Gromadka wypatroszonych elfów?

- Niezupełnie - odparł Lyotta. - Elfów i reniferów brak, za to zwłoki niezidentyfikowanego dotąd mężczyzny i ciało denatki były zapakowane jak świąteczne prezenty... No i zaginął też pies pilnujący posesji. Ponoć to jego szczekanie zwróciło uwagę ochrony... Ale niestety nie udało się go odnaleźć.

- Prawdziwa wigilijna opowieść - roześmiał się skrzekliwie Rotz.

- Owszem i chciałbym jej szczegóły omówić, jeśli pan pozwoli, przy kawie u pana w domu. - Detektyw bawił się chusteczką.

- A jeśli nie pozwolę? - Elli zastanawiał się, czy jego prawnik jest dziś osiągalny.

- Mamy nakaz, panie Rotz - powiedział Lyotta.

Za jego plecami zaparkowały kolejne dwa samochody. - Po przeszukaniu pana domu chciałbym, aby zabrał nas pan także do swojego sklepu...

Rotz zacisnął zęby. Jeden z policjantów, który pojawił się właśnie za plecami detektywa, oblizywał palce, na których zostało trochę lukru z pączka.

NIGDY WIĘCEJ

One child hid inside the darkness

One child never said a thing

One child closed his eyes and disappeared

But at night I still can hear him whispering, whispering, whisper...

(chorus)

Right there in the earth, I've been drawing a line

I'm digging it deep, don't know if I'll find

A tunnel out so we all can be saved

If not, just take this earth and bury me, for this will be my grave

One Child by Savatage

Kubie... Gdzieś tam, w piaskownicy.

Starał się iść najciszej, jak to tylko możliwe, ale w połowie korytarza podłoga i tak dwa razy niepokojąco zatrzeszczała. Przystanął, nasłuchując odgłosów z sypialni. Przez chwilę nic się nie działo i już miał iść dalej, kiedy nagle do jego uszu dotarło ciężkie westchnienie i jęk sprężyn łóżka.

- Eryku, to ty?

Zacisnął zęby.

- Tak kochanie, to ja.

- Dokąd idziesz?

- No cóż, wybierałem się do garażu, chciałem trochę pomajsterkować.

- Czy mógłbyś mi najpierw przynieść herbaty?

Słaby kobiecy głos dochodził zza ściany.

- Oczywiście, kochanie. Już przynoszę.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku schodów. Tak bardzo nie chciał jej dziś oglądać. Nie chciał patrzeć na jej umęczoną twarz. Z tygodnia na tydzień było z nią coraz gorzej. Kryzys przyszedł po kolejnej wizycie na posterunku. Przyjechał jakiś młody gówniarz, specjalista od porwań i zaginięć. Zamknął się z nimi w pokoju przesłuchań i zaczął wypytywać o wszystko od samego początku. Czy mały miał powód do ucieczki? Czy wymierzali mu kary cielesne, na jakie cierpiał choroby i wreszcie, czy mają zaufanie do opiekunki, która się nim zajmowała? Później poczęstował ich papierosem i zapytał o to, czy znają mechanizmy funkcjonowania pedofilii? A kiedy całkowicie otepiali przecząco kiwali z żoną głowami, opisał im kilka najbardziej popularnych pedofilskich taktyk. Przedstawił także statystyki zaginięć i odnalezień. Następnie równie rzeczowo, jak poprzednio, omówił różne scenariusze porwań. Zdaje się, że przy trzecim Susan dostała ataku hysterii. Przestała nad sobą panować i rzuciła się na tego gnojka, próbując wydrapać mu oczy. Zupełnie jakby jego słowa miały jakąś magiczną moc, jakby to, o czym mówił, musiało stać się prawdą, a przecież była to jedynie hipoteza... Gdyby mógł, sam wcisnąłby ją temu palantowi z powrotem do gardła.

Ostrożnie dolewał mleko do herbaty, tak aby oba płyny zbyt szybko się nie zmieszały. Susan tego nie lubiła. Dorzucił też dwie wycięte w gwiazdki kostki cukru. Skarcił się za to, że po otwarciu cukierniczki ręka mu zadrżała. Wiedział dlaczego. Pamiętał, jak często przy śniadaniu jego syn bawił się tymi cholernymi gwiazdkami. Zanim dotrze z filiżanką do sypialni, na pewno się rozpuszczą i Susan już ich nie zobaczy. Musi jednak pamiętać, aby je wyrzucić, jeśli ich syn nie zostanie odnaleziony.

Idąc korytarzem, przystanął na moment. Zaczynały go przerażać własne myśli. Zastanawiał się nad kostkami cukru - przez chwilę znowu przezorny i pewny siebie. Co zrobić jednak z całą resztą? Z rzeczami większymi od tych gwiazdek? Ręce mu się trzęsły. Jeszcze chwila i rozlałby herbatę. Żeby się opanować, postawił filiżankę na parapecie. Musiał wytrwać, nie okazywać słabości, szczególnie teraz, kiedy wziął sprawy w swoje ręce.

Zmusił się i pocałował ją w czoło. Było rozpalone. Jeszcze teraz, kilka minut po wizycie w sypialni, nadal odruchowo wycierał usta w rękaw koszuli. Do tego doszło. Brzydził się własną żoną. Była taka słaba. Nie minął jeszcze miesiąc od zniknięcia Timothy'ego, a ona już straciła nadzieję. Nie miała punktu zaczepienia, niczego, by podtrzymać swą wiarę. Tymczasem on właśnie znalazł coś takiego.

Zamknął za sobą drzwi od garażu. Od czasu, kiedy hobbystycznie zabrał się za reperowanie starych motorów, pomieszczenie było znakomicie wygłuszone. Jego syn lubił najbardziej czarne suzuki z wymalowanym na baku symbolem Batmana. Teraz przykrywało go stare prześcieradło.

Zapalił światło i lampy zaczęły się powoli rozgrzewać. W żółtej poświacie wyglądała jak manekin. Jego więzień, jego punkt zaczepienia. Jej skute kajdankami ręce zawiesił na wbitym w sufit haku, na którym zazwyczaj przechowywał zużyte silniki. Stopy trzymała na chybotliwym taborecie. Kilka razy już z niego spadła. Wiedziała, jak wielki jest to ból, dlatego teraz za wszelką cenę utrzymywała równowagę. Nazywała się Sofie Siegel - młoda opiekunka do dzieci, którą przysłała firma oferująca usługi tego typu. Eryk wiedział, że przyjechała z Niemiec i że, podobnie jak wiele innych dziewczyn w jej wieku, chciała podczas wakacji podszkolić język, zabawić się, a jednocześnie nieco zarobić. Mieszkała razem z nimi. Chodziła na wieczorowe kursy języka angielskiego, które jej opłacali, i opiekowała się ich jedynym synem. Była z nim tego feralnego wieczoru - ostatnia osoba, która widziała Timothy'ego. Nie mieli tego szczęścia jego rodzice, lecz właśnie ona - obca dziewczyna, którą przyjęli do swojej rodziny z otwartymi ramionami. Eryk pamiętał, jak w dniu porwania jeszcze sobie żartowali przy obiedzie z tego, że chłopak Sofie dostanie po jej

powrocie zawału, bo na amerykańskim jedzeniu w dwa tygodnie przytyła ponad trzy kilo. Ostatecznie Susan rzuciła wtedy od niechcenia, że może obie zapiszą się na aerobik organizowany w szkole. Sama także miała ochotę na odrobinę ruchu, a brakowało jej towarzyski do takich zajęć. Sofie zgodziła się na propozycję, jak zwykle śmiejąc się radośnie. Mała, blada laleczka Barbie, która nie ma pojęcia, co to życie - tak myślał o niej Eryk. Od początku intrygowało go jej wyzywające spojrzenie i ten śmiech.

Szarpięciem zdjął jej opaskę z oczu.

- Druga runda pytań - warknął. Patrzyła na niego długo, ale nie znalazła litości w jego spojrzeniu.

- Zaraz cię odknebluję i sobie pogadamy - kontynuował. - Masz mówić samą prawdę, tak jak poprzednio, bo inaczej spotka cię kara. Tylko nie wydzieraj się znowu. I tak nikt tego nie usłyszy, a twoje wrzaski działają mi na nerwy.

Kiwnęła głową na znak, że rozumie. Nogi jej drżały. Krótkie, krzywe nóżki w białych skarpetkach i pomarańczowych bucikach. Zmierzył ją wzrokiem. Miał wrażenie, że wykrzywia pogardliwie zakryte taśmą, wąskie usteczka. Zastanawiał się przez chwilę, czy byłby w stanie zgnieść tę jej wredną buźkę. Wczoraj, kiedy zaczął przesłuchanie, takie myśli jeszcze go trochę przerażały. Jednak po tym, co panna Siegel wyśpiewała poprzedniego wieczoru, miał wrażenie, że stłuczenie tej małej dziwki na kwaśne jabłko stanowiłoby tylko preludium do prawdziwej kary.

- Opowiedz mi jeszcze raz o zamykaniu go w koszu - mówiąc to, zdarł jej taśmę z ust.

Skrzywiła się.

- Dobrze, ale błagam, niech mnie pan najpierw odepnie! Nie wytrzymam tu dłużej. - Słaby, zachrypnięty od płaczu głosik.

Obiecał sobie, że tym razem zachowa zimną krew i nie będzie zwracał uwagi na takie rzeczy.

- Nie ma mowy. Znam tę sztuczkę jeszcze z wojska. Wystarczy się nie wiercić. Wtedy nie będzie bolało. Teraz grzecznie odpowiesz na moje pytania. Inaczej nie ma mowy o picu i jedzeniu. Pamiętaj smarkulo, tutaj ja stawiam warunki, nie jesteśmy na komisariacie, gdzie masz jakieś tam prawa i z racji tego, że jesteś obcokrajowcem traktują cię przyzwoicie. Tutaj nie masz żadnych przywilejów, chyba że ja ci je przyznam. Opowiedz mi o koszu i ostatnim spacerze.

Dziewczyna mówiła przez łzy. Była przestraszona, ale nie okazywała skruchy. Rozwścieczało go to, na dodatek drażnił go także jej akcent. Wyobrażał sobie, jak darła się tym piskliwym głosikiem na jego syna i ręce same zaciskały mu się w pięści.

- Kiedy mnie denerwował... Czasami wpadał w te swoje histerie, a mi brakowało słów po angielsku, nie wiedziałam, jak go uciszyć. Chciałam się uczyć, a on szalał, nie mogłam sobie z nim poradzić. W którymś momencie podniosłam go i wsadziłam do tego wiklinowego kosza na zabawki, który stał w jego pokoju. Do tego, który państwo przywieźli z Kanady. Na pokrywie położyłam swoje encyklopedie, a całość nakryłam kocem. Na początku strasznie się tam szarpał i wrzeszczał. Bałam się, że może przewrócić się razem z koszem i coś sobie zrobić, ale na szczęście nic takiego się nie stało. Miałam też pietra, że o wszystkim opowie i mnie wyrzucicie. Wtedy przypomniało mi się, że przecież dzieci często boją się różnych rzeczy. Mnie rodzice także straszili. Mieliliśmy w domu takie bardzo stare kokosy, które ktoś nam podarował, i w jednym z nich były trzy czarne otwory, jakby oczy i usta... Rodzice mówili, że jeśli nie pójde spać, to wyjdą przez nie wielkie mrówki. Takie, które żyją w orzechach. Wyjdą i mnie zjedzą. Wtedy bez gadania biegłam do łóżka i szybko zasypiałam.

- Tim był za duży, aby bać się takich bzdur, zresztą powiedziałby mi o tym...

Skrzywiła się, mrużąc oczy.

- O koszu panu nie powiedział... A ja wymyśliłam sobie coś innego niż mrówki. Powiedziałam mu, że jeśli się nie uciszy, dopadnie go Zły Siarz. Tak dzieci mojej ciotki nazywały kiedyś kosiarza trawy, którego panicznie się bały. Powiedziałam mu, że jeśli się nie zamknie, Zły Siarz przyjdzie i go zabierze, bo on zbiera takie kosze z dziećmi. Na początku jeszcze trochę tam protestował, ale w końcu przestał się szarpać... Nie chciałam mu jednak zrobić nic złego - dodała szybko, uważnie patrząc mu w oczy. - Zresztą co to ma wspólnego z jego zniknięciem, czego pan ode mnie chce?! Nie zrobiłam nic złego!

Miał tego nie robić, ale podszedł do szafek z narzędziami i wyciągnął z za jednej z nich nieduży pakunek. Była w nim paczka papierosów i napoczęta butelka whisky. Dwa nałogi, które już lata temu zostały mu zabronione. Nie chciał chorować, odstawił to gównu ze względu na syna. Pociągnął solidny łyk z gwinta i znowu usadowił się przed dziewczyną, zapalając papierosa.

- Biłaś go...? Zabroniliśmy ci. Wyraźnie pamiętam, że sam zabroniłem ci w jakiegokolwiek sytuacji podnosić rękę na mojego syna...

Znowu szlochała.

- Raz... Może dwa, tak byłam uczona... Przecież czasami trzeba dać dziecku klapsa! Nie biłam go naprawdę, to były tylko klapsy w pupę - nie mówiła już normalnie, głos się jej

łamał. - Proszę pana, naprawdę, po tym biciu czasami szalał jeszcze bardziej, więc przestałam...

Eryk miał wciąż w głowie obraz swojego syna, który płacze zamknięty w przykrytym kocem wiklinowym koszu. Dlaczego nigdy nie przyszedł poskarżyć się rodzicom? Mała dziwka zupełnie go zastraszyła. Powstrzymał się od tego, aby wstać i dzielić dziewczynę w twarz. Zamiast tego zaciągnął się papierosem. Pamiętał, jak własny ojciec straszył go dziurą w boazerii w ich kuchni i mówił, aby nigdy nie ryzykować wkładania w nią palca, bo ten, kto jest po drugiej stronie, może go złapać i nie puścić... Wierzył mu, tak samo jak wierzył we wróżkę zębuszkę i św. Mikołaja... Dziecięca wiara nie zna granic, wiara nawet w to, co złe i straszne.

- Opowiedz jeszcze raz o ostatnim spacerze... Wtedy cię zdejmę i przyniosę jedzenie.

- Przecież tyle razy już o tym mówiłam, panu, policji - zawyła. - Nie mam z tym nic wspólnego, to było po prostu nieszczęście, odwróciłam się dosłownie na chwilę...

- Ktoś cię zawołał?

Eryk czuł, jak z każdym kolejnym łykiem whisky coraz lepiej mu się myśli. Kolejne pytania same materializowały się w jego głowie. Przestawał też czuć to okropne nostalgiczne otępienie, typowe dla ludzi, którzy właśnie jadą na pogrzeb albo dowiadują się, że zmarł ich znajomy, a mimo to nie przestają jeść obiadu i dalej mechanicznie podnoszą łyżkę do ust. Nie ma mowy, aby skończył jak jego żona. Głos dziewczyny wyrwał go z zamyślenia.

- Tylko mi się tak zdawało. Byłam umówiona w tym parku z koleżanką, która ostatecznie nie przyszła, ale myślałam, że to ona mnie woła.

- Właściwie dlaczego tam poszliście? Tim nigdy wcześniej nie bawił się w tym miejscu.

- Słyszałam w radiu reklamy tego nowego osiedla. Miało być chronione, to przecież cicha, spokojna dzielnica. Timothy wcześniej tego dnia miał zajęcia z plastyki i dzieci rysowały na nich miejsce, w którym chciałyby się bawić. On narysował piaskownicę. W reklamie mówili, że na placu zabaw na tym osiedlu jest także jedna, więc przyszło mi do głowy, że go tam zabiorę. To wszystko...

- Bawił się w niej z innymi dziećmi?

- Na początku...

Na chwilę wstał ze swojego stanowiska naprzeciw niej i cicho podszedł do drzwi, które łączyły garaż z resztą domu. Ostrożnie je uchylił i przez moment nasłuchiwał. Cisza...

- Co to znaczy, na początku?

- No, pamiętam, że kilkoro dzieci skarżyło się, że burzy ich budowle. W końcu te ulepione przez niego zajmowały większą część piaskownicy. Nawet go upomniałam kilka razy, ale wreszcie rodzice zabrali swoje dzieci i zostaliśmy sami. Przejął się wtedy i tylko przyszedł mi powiedzieć na ucho, że on wcale nie chciał ich stamtąd przepędzać...

- I żebyś za karę nie zamykała go, kurwa, w koszu na zabawki! - Eryk nie wytrzymał.

Zgniół rzucony na ziemię niedopałek. Dziewczyna rozplakała się na dobre. Zaczął przechadzać się po garażu. Był wściekły - na siebie i na dziewczynę. Przed chwilą przypadkiem rozlał trochę oleju silnikowego. Puszka potoczyła się pod jedną z szafek. Tim uwielbiał zapach garażowych specyfików. Gdy kiedyś z powagą w głosie wspominał o tym przy obiedzie, przerażona Susan chciała mu nawet zabronić tu przychodzić. Eryk jednak wstawił się za synem i jakoś załatwili sprawę.

- Proszę pana, przecież pan obiecał...

- Co?!

- Obiecał pan mnie wypuścić! - wrzasnęła naprawdę histerycznie.

Zdzielił ją w twarz i z nosa poleciała jej krew.

- Niczego złego nie zrobiłam! - krzyczała, krztusząc się raz po raz.

Zaparkował wóz w cieniu wysokiej topoli. Nie cierpiał tego całego nowego budownictwa. Wszystkie domki, które mijał, wydawały mu się dokładnie takie same. Białe płotki, kamienne schodki i rodziny, które o tej godzinie siedziały już wpatrzony w świecące odbiorniki telewizyjne. Opiekunka miała być lepsza niż telewizor - tak kiedyś ustalili z Susan. Skrzywił się, kiedy kolejny raz odbiło mu się whisky, którą zabrał ze sobą z garażu. Za każdym razem, gdy wyobrażał sobie, jak ta mała niemiecka suka podnosi rękę na jego syna, żyły występowały mu na skroniach. Nieco się uspokoił, dopiero gdy przypomniały mu się słowa jego własnej matki, która zawsze powtarzała, że zaniedbanie to także grzech.

Skręcił w wysypaną żwirem uliczkę, która prowadziła na wybudowany za domkami plac zabaw połączony z małym parkiem. Przechodził obok dwóch bliźniaczo do siebie podobnych karuzel z rzeźbionymi konikami i huśtawki, która skrzypiała cicho, poruszana wiatrem. Srebrna zjeżdżalnia odbijała smętne światło księżyca. Eryk przystanął, wyobrażając sobie, jak pośród tego wszystkiego spaceruje sobie nierzucający się w oczy jegomość w granatowym sweterku i wytartych dzinsach. Z przyciemnianymi okularami na nosie. W ręku dla niepoznaki trzyma książkę z wystającą zakładką. Chodzi sobie i obserwuje dzieci, co jakiś czas kłania się któremuś z mijających go rodziców, odwzajemnia uśmiech, aż wreszcie

dokonuje wyboru. Zsuwa z nosa okulary i patrzy łakomie na jego syna. Lekko oblizuje wargi, które drżą odrobinę z podniecenia. Drżą na samą myśl o tym, co już niedługo się wydarzy...

Potrząsnął wściekle głową, chcąc za wszelką cenę odsunąć od siebie te myśli. Nie patrzeć w oczy fantomowi porywacza, nie wyobrażać sobie zakopanego w lesie worka z tym co...

- Nie wytrzymam - szepnął do siebie. - Nie wytrzymam! - wrzasnął i sam przeraził się swoim głosem.

Przestał krzyczeć. Ruszył w stronę ławeczek. Minał w pośpiechu zjeżdżalnię i wtedy ją zobaczył. Granatowa piaskownica, otoczona równo przyciętym żywopłotem. Wyglądała na świeżo odmalowaną. Wypełniał ją drobny, jasny piasek, układający się w kształty nieruchomych fal i pagórków. Ostatnie miejsce zabawy jego dziecka.

Podszedł bliżej. Był tu już wcześniej wiele razy - sam, z żoną, z policją. Poprzednio nie poświęcił jednak piaskownicy szczególnej uwagi.

Wiatr zawiął mocniej i łańcuchy huśtawki znowu zaskrzypiały. Kilka ziarenek piasku odrobinę się przesunęło. Eryk wpatrywał się bez słowa w jasne fale. Alkohol coraz bardziej szumiał mu w głowie, a może to nie alkohol tylko drzewa? Nadstawił uszu, wsłuchiwał się w ten szum z coraz większym niepokojem. Gdzieś za nim rozległ się przytłumiony warkot silnika. Ciarki przeszły mu po plecach. Odgłos kojarzył mu się z bzyczeniem gromady much. Przetarł jedno oko, nieprzerwanie wgapiając się w hipnotyzujący taniec jasnych ziarenek. I wtedy odniósł wrażenie, że to szumiał nie wiatr, nie liście drzew, ani alkohol w jego głowie. Szumiał piasek. Odruchowo pochylił się w stronę piaskownicy, aby lepiej słyszeć i upewnić się, czy przypadkiem zupełnie nie postradał już zmysłów.

Odniósł wrażenie, że teraz fale poruszają się nieco szybciej. Jakby coś z daleka, spod spodu, płynęło w jego stronę. Oparł się dłońmi o drewnianą barierkę, która otaczała piaskownicę. Drewno lekko drżało. Szum się nasilał.

Oniemiały przełknął nerwowo ślinę. Jesteś pijany, powtarzał sobie w myślach. Co się z tobą dzieje, nie wariuj, nie wariuj, weź się w garść chłopie! Jego dłoń powoli zbliżała się do powierzchni piasku.

- Co pan tu robi? - zupełnie nieoczekiwanie z transu wyrwał go czyjś głos. Eryk prawie podskoczył z wrażenia. Zerwał się z ziemi i odwrócił, ostatkiem sił powstrzymując krzyk.

Naprzeciw niego stało dwóch mężczyzn w szarych uniformach i czapkach z daszkiem. Do szelek mieli obaj przypięte coś w rodzaju odznak. Starannie wycięto je w kształt

unoszących się baloników. Pulchni i bez zarostu, patrzyli na niego bystrymi, śmiejącymi się oczyma.

- Kim... Kim panowie są? - wydusił z siebie wreszcie.

Jeden z szarych poprawił czapkę i poklepał się po wyraźnie wystającym brzuchu.

- Przyjechaliśmy w sprawie piaskownicy. Piasek już się zużył... Mamy go wymienić na świeży.

- A pan kim jest, jeśli wolno spytać? - dodał drugi. - Nie jest pan czasem za duży na zabawę w piasku, do tego o tej porze?

- Ja... - Eryk czuł się zupełnie zbity z tropu. Nie mógł oderwać wzroku od ich bystrych oczu, przerażały go.

- Niech pan już stąd idzie, przeszkadza nam pan w pracy.

- Tak, tak, mamy napięte terminy, inne dzieci czekają.

To sformułowanie uderzyło go niczym piorun.

- Co powiedziałeś?

Obcy popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

- Co powiedziałeś o tych dzieciach?! - Eryk nie dawał za wygraną. - Kim jesteście?! - Krzyczał, nie zwracając zupełnie uwagi na uderzające go w plecy fale ciepła. Whisky dodawała mu otuchy. Zaciskając pięści, uważnie obserwował obu mężczyzn. Te ich ciemne, świecące oczka, te nieustannie poprawiające uniformy rączki o krótkich, tłustych paluszkach...

- Zaginął tu mój syn! - wrzasnął wreszcie. - Znikł kilka tygodni temu, co o tym wiecie?! Odpowiadać! - dał się.

Teraz obaj nieznajomi przybrali poważne miny. Jeden oblizał się, na chwilę wystawiając język, i Eryk nie wytrzymał. Może człowiek, który zabrał jego dziecko, nie miał swetra i wytartych dżinsów, jak to sobie wcześniej wyobrażał. Może miał na sobie szary kombinezon... Zacisnął mocniej pięści i już miał się na nich rzucić, kiedy nagle, stawiając pierwszy krok, zaczepił nogawką o barierkę piaskownicy. Próbował złapać równowagę, ale nic już nie można było zrobić. Krzyząc, runął w piasek.

Zalała go fala ciepła. Z każdą chwilą zapadał się coraz bardziej. Wytrzeszczał oczy, widząc, jak nieznajomi biegną w jego stronę. Czuł piasek wciskający mu się do uszu. Chciał krzyczeć o pomoc, ale małe ziarenka wciskały się wszędzie, zalewając mu twarz. Zamknął oczy i usta. Czuł ostry odór piachu w nosie. Dusił się, miotał we wszystkie strony, ale napotykał coraz większy opór.

Wył, szarpiąc się, lecz przygniatający go ciężar nie dawał mu żadnych szans ucieczki. Gubił ostatni oddech. Cały był już pod spodem i nagle poczuł się tak, jakby zamiast tonąć, wypływał na powierzchnię. Zupełnie jak po zanurkowaniu w basenie. Najpierw z gorąca wydostała się jego głowa, później ramiona i wciąż jeszcze unieruchomione ręce. Wciągający go poprzednio ciężar teraz powoli wypychał go do przodu. W twarz uderzył go wicher. Rozpaczliwie rozdziawił usta, łapiąc powietrze. Piasek sypał mu się z włosów. Wisiał głową w dół.

Otworzył oczy i przeszła go fala dreszczy. Pod sobą zobaczył świat. Wąskie uliczki, obsadzone równo poprzycinanymi żywopłotami. Wysypane czymś brunatnym ścieżki, ławeczki i miejsca do zabawy... Jak gigantyczny park.

Tuż pod sobą ujrzał serpentynę ogromnej, błyszczącej zjeżdżalni. Wiła się w dół długimi zakolami. Na jej końcu dostrzegł coś, co z początku wydało mu się kawałkiem plaży - piaskownicę. Wiatr znowu zadał i oczy Eryka zaczęły łzawić. Próbował przekrzyczeć narastający huk, ale zamilkł. W piaskownicy na dole coś się poruszyło. Trzy małe ludzkie sylwetki. Wyszły właśnie z cienia zjeżdżalni. Teraz widział je wyraźniej. Troje dzieci, jedno na małym czerwonym rowerku z dużymi kołami. Pokazywały na niego i coś wykrzykiwały, ale nie mógł dosłyszeć ich słów. Ogarnął go paniczny strach. Czuł, że to, co wcześniej go wciągało, za moment go wypluje. Uderzy w zjeżdżalnię i pomknie w dół na złamanie karku. Jedno z dzieci zaczęło wspinać się w jego kierunku po doczepionej do zjeżdżalni drabince. Chłopczyk, na oko dziewięcioletni, bardzo zwinnie przeskakiwał po kilka szczebelków naraz. Eryk na moment zadarł głowę do góry. Panika ścisnęła mu gardło. Wysuwał się z wolno obracającego się wiru na niebie. Wir miał kolor piasku, nad nim szalała burza. Po chwili poczuł, że jego ręce są już wolne. Odruchowo wystawił je przed siebie, przygotowując się na upadek. Wtedy coś szarpnęło go do góry. Poczuł silny uścisk na obu unieruchomionych nogach, zupełnie jakby ktoś chwycił go za kostki. Wir połykał go z powrotem. Rozpaczliwie zamachał w stronę zbliżającego się chłopca. Wiatr rozwiewał mu blond czuprynę i smagał rumiane policzki. Małe rączki mocno zaciskały się na kolejnych szczeblach. Tymczasem Eryka wciągało coraz szybciej. Czuł znowu zapach piachu, a wycie w uszach wyraźnie się nasiliło. Ciężar znowu wyrывał mu oddech z piersi. Zrozpaczony spojrzał jeszcze raz na chłopaka, który wyraźnie zwolnił i odchylił się, wisząc na jednej ręce. Piach sięgał Erykowi już do szyi. Chłopiec próbował przekrzyczeć wicher.

- Zostań, jeśli cię skrzywdzili! Nie musisz wracać, możesz zostać!

Ich spojrzenia na chwilę się spotkały, a sekundę później Eryk został ponownie wciągnięty do środka...

Miarowy warkot silnika zamienił się w pisk opon. To ostatnie, co pamiętał ze swego snu. Ostrożnie otworzył oczy. Leżał na podjeździe swojego domu. Spróbował poruszyć głowę. Bolało. Na trawniku obok leżała pusta butelka po whisky i rozrzucona zawartość jego portfela. Uniósł się na łokciach i wtedy dostrzegł stojącego nieopodal Simona Leariego - sąsiada z naprzeciwka. Simon rozciągał właśnie wąż ogrodowy. Przerwał jednak tę czynność, dostrzegając poruszenie Eryka. Wyprostował się na moment i zasłonił głowę słońce, co Eryk przyjął z niejaką ulgą.

- Och, więc jednak dochodzisz do siebie - chrząknął Leary.

- Co? - ledwo wydobył z siebie to słowo.

- Już miałem cię cucić wodą. Byłeś nieprzytomny... Naprawdę... Wiem, że jest wam ciężko. To znaczy, tobie i Susan, ale na Boga...

Eryk zmierzył go wzrokiem. Przejechał ręką po włosach i strzepnął na trawę trochę piasku. Pamięć zaczęła mu wracać i przerażony wytrzeszczył na Simona oczy.

- No nie patrz tak na mnie - Leary uniósł brwi. - Schlałeś się jak szmata. Znaleźli cię w piaskownicy na osiedlu... Wiesz gdzie... Słuchaj, mój brat jest psychologiem, może mógłby wam pomóc. Eryk, gdyby Susan zobaczyła cię w tym stanie... Dobrze się czujesz? - Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale z okna domu naprzeciwko wychyliła się jego żona.

- Simon! - krzyknęła - Elli znowu wariuje. Już nie mam do niej siły! Zostaw z łaski swojej tego pijaka i idź po nią do cholery!

Leary odłożył wąż i odwrócił się w jej stronę.

- Znowu się na nią darłaś? Nie uderzyłaś jej chyba?! - Jego głos stał się szorstki. - Tyle razy prosiłem... Do diabła, gdzie pobiegła?!

- Do piaskownicy. Ostatnio zawsze ucieka do tego przeklętego parku!

Eryk bardzo uważnie popatrzył na Simona i w ostatniej chwili odwrócił się na bok, wymiotując... Nagle wszystko sobie przypomniał. Wykrzywił się, czując, jak kapie mu z nosa. Z otępienia wyrwał go dopiero pneumatyczny syk, towarzyszący zwykłe otwieraniu drzwi garażu. Stała w nich Susan. Zanim ponownie zemdleł, usłyszał jeszcze wycie zbliżającej się gdzieś z daleka policyjnej syreny...

OPOWIEŚĆ CHŁOPCA

The bell that rings inside your mind
It's challenging the doors of time
It's a kind of magic
The waiting seems eternity
The day will dawn of sanity
Is this a kind of magic
It's a kind of magic

Queen

I

Historia nie uczy nas niczego. Tak powiedział kiedyś Henry Ford, śpiewał o tym także Gordon Sumner. Całkowicie się zgadzam. W życiu naprawdę liczą się jedynie opowieści. Tego, co zaraz usłyszycie, postarajcie się więc nie traktować jak historii.

Moje pierwsze wspomnienie z czasów, o których opowiem, wiąże się z szybkością - rozmyte sceny, niewyraźne krzyki i świadomość tego, że dokoła dzieje się coś niedobrego. Drugim wspomnieniem jest wyraz oczu mojej siostry. Odkąd pamiętam, zawsze uwielbiałem się w nie wpatrywać. Były nieprawdopodobnie szare. Zupełnie jak chmury na pewnym obrazie. Szare jak wojna oglądana oczyma dziewięcioletka. Zanim się zaczęła, moi rodzice zawsze bardzo dbali o higienę i czystość. Byłem często myty, moja koszula zawsze pachniała świeżością, a mama nieustannie sprawdzała, czy w kieszeni moich spodni spoczywa gotowa do użycia, dopiero co wyprana chustka. To zmieniło się najszybciej. Kiedy przyszła wojna, wiele rzeczy robiło się w pośpiechu. Na twarzach rodziców często gościł wyraz nie do końca zrozumiałego podniecenia. Stopniowo przestali mnie pouczać, wiecznie otrzępywać z brudu i stawiać na nogi. Nie rozumiałem tego. Miałem wrażenie, że wreszcie dali za wygraną, że to ja postawiłem na swoim w kwestii czystości, tymczasem nie chodziło oczywiście o mnie... To wojna postawiła na swoim. Stopniowo coraz bardziej pokrywała nas swoją szarością. Na początku pewne rzeczy wydawały mi się ekscytujące. Nieustannie przenosiliśmy się z miejsca na miejsce. Obserwowałem poruszenie na twarzach spotykanych ludzi i spontaniczne wybuchy radości u rodziców, którzy wiecznie trzymali się razem, schludnie ubrani na czarno, bo jak mawiał tato: „Po czarnym mniej widać, że brudne”. Tak to właśnie odbierałem.

Owszem, co jakiś czas brzmiały dalekie wystrzały, a ludzie często na siebie krzyczeli. Z mieszkań przenosiliśmy się do piwnic, z piwnic na strychy. Budowaliśmy z ojcem prowizoryczne kuchnie z dwudziestu cegieł. Sypialiśmy na okrytych kocem deskach - wiecznie spakowani i gotowi do drogi, bo mogli przyjść żołnierze. Nie bałem się ich bardzo długo. Tato wyraźnie zabronił mi się ich bać. Mówił, że jest z nimi tak samo, jak z wielkim,

kosmatym psem, którego jeszcze przed wojną spotkaliśmy na spacerze. Nie wolno im się patrzeć w oczy ani okazywać strachu. Są niegroźni, póki nie wejdzie się na ich terytorium.

Moja opowieść zaczyna się jednak od wrażenia szybkości i od spojrzenia wiecznie zamysłonych oczu mojej starszej siostry. Tamtego dnia Mira biegła wąskimi uliczkami, a ja - wtulony w nią, dopiero co się obudziłem. Jej oddech z chwili na chwilę stawał się coraz bardziej urywany. Zapytałem tylko, co się dzieje i gdzie są rodzice, ale ona powtarzała jedynie w kółko: „cicho” i „cicho”. Mijaliśmy zdewastowane kamienice. Czarne chmury zasłaniały niebo. Gdzieś za nami dało się słyszeć krzyki. Teraz jestem pewien, że gdzieś krzyczeli do siebie Niemcy. Mira przyciskała mnie coraz mocniej; straciłem dech i mimo że naprawdę nie chciałem płakać, łzy zaczęły powoli wypełniać mi oczy. Drewniane podeszwy butów Miry głośno i miarowo stukwały o bruk, ale nagle, przy skrócie w kolejną ulicę, jeden but zsunął się z jej stopy i moja siostra ostatkiem sił złapała równowagę, opierając się o mur. Gonili nas, a ona ratowała nam obojgu życie. Następne kilkanaście metrów pokonała już na bosaka. Przypadła do najbliższych drzwi kamienicy i zaczęła się do nich szaleńczo dobijać. Uderzała w nie z impetem, ale pozostały zamknięte. Po drugiej stronie nikt się nie odezwał. Gdzieś za nami zawyła syrena. Nawoływano ludzi. Mira krzyknęła tym samym strasznym głosem, który w najbliższych dniach miałem usłyszeć jeszcze raz. Ruszyliśmy dalej.

Nie widziałem tego, co dzieje się przed nami - mogłem za to obserwować sceny rozgrywające się za plecami Miry. Od czasu do czasu w wąskim przesmyku pojawiali się biegnący ludzie. W chwilę później siostra atakowała już kolejne drzwi. To miejsce znałem akurat dobrze. Byliśmy w pobliżu ogromnej, miejskiej studni, obok której wielokrotnie bywałem z rodzicami. Po drugiej stronie ulicy znajdowało się podwórze z paroma trzepakami. Stali na nim odwróceny do nas plecami żołnierze. Mówili coś do człowieka leżącego na stercie gruzu. Mira najwyraźniej ich nie zauważyła, bo zaczęła krzyczeć w stronę okna kamienicy. Ktoś się w nim poruszył. Błagała, aby wpuścili nas do środka. Na początku jej głos był mocny, ale stopniowo szpeciła go rozpacz. Wymieniała jakieś imiona. W tej kamienicy mieszkał chyba jej przyjaciel, młody chłopak w czerwonym swetrze. Często przynosił nam jedzenie i zabierał Mirę na krótkie spacerki. Pamiętam, że bardzo szanował naszego ojca i kilka razy zostawał z nami dłużej, na noc. Usypiałem wtedy, uspokojony głosem rozmawiającego z nim poważnie taty. Na imię miał chyba Witold, ale nie to było w tamtej chwili ważne. Nikt nam nie otworzył. Kolejne drzwi pozostały zamknięte

Jeden z Niemców obok trzepaką musiał usłyszeć Mirę. Odwrócił się i nasze spojrzenia się spotkały. Białka szeroko otwartych oczu nadawały mu nieludzki wygląd. Usłyszałem, jak

mówi coś w swoim twardym języku do kompana i tamten strzelił do kłęczącego przed nimi mężczyzny. Wtedy Mira ponownie rzuciła się do biegu i straciłem ich z oczu. Nie na długo jednak. Niemcy ruszyli w pościg. Widziałem, że uderzające o brukową kostkę stopy Miry są coraz bardziej pokaleczone, ale wszystko co mogłem zrobić, to mocniej wtulić się w jej cuchnącą potem i kurzem bluzkę. Jeden ze ścigających nas mężczyzn uniósł broń, ale my już schowaliśmy się za rogiem, wbiegając w kolejną uliczkę.

Doganiaли nas. Siostra musiała doskonale zdawać sobie z tego sprawę, bo nie zatrzymywaliśmy się już przy żadnych drzwiach. Czuję, jak Mira słabnie. Jej krok stawał się nierówny, oddech świszczął. Wspominając tamten czas, zastanawiam się, czy wierzyła, że nam się uda, czy po prostu była uparta. Po wojnie czytałem wspomnienia nazistów, uczestniczących w akcji ostatecznego rozwiązania sprawy getta. Wspominali, że najbardziej niebezpieczne były zdeterminowane kobiety. Wyciągane z kryjówek wydawały się być potulne, zrezygnowane. Kiedy jednak dopuszczono je na odpowiednią odległość, nagle ni stąd, ni zowąd w dłoni pojawiał im się pistolet, a one wykrzykując najgorsze obelgi, rzucały się do ataku. Po pewnym czasie Niemcy przestali brać kobiety do niewoli i zabijali je na miejscu.

W chwili, gdy wbiegaliśmy w kolejną ulicę, moja siostra musiała chyba czuć dokładnie to samo, co kobiety z owych wspomnień.

Ostatkiem sił dopadliśmy do małego parku. Doskonale go pamiętam, bowiem kilka razy zabroniono mi się w nim bawić. W zasadzie była to niedługa alejka, prowadząca do ładnego, przypominającego dworek domku. Moja mama nazywała go zabytkiem. Podobno kiedyś jego właściciel był w mieście kimś ważnym i często otwierał swój dom dla przyjezdnych. Chwalił się znakomitą kolekcją obrazów, antyków i innych pięknych rzeczy, które zwoził z całego świata.

Dokładnie w chwili, gdy mijaliśmy zniszczoną furkę domu, w ciężkim powietrzu rozszedł się pierwszy grzmot. Zaraz po nim spadły pierwsze krople deszczu. Mira nie miała już sił. Miałem wrażenie, że lada chwila wyślizgnę się jej z rąk. Udało mi się jeszcze raz na moment unieść głowę i kątem oka dostrzegłem ciemne sylwetki na końcu alei. Stali tam we czterech. Część rozproszonego oddziału, który wcześniej pomagał w łapanie.

Moja siostra pokonała kamienne schodki i zdecydowanie postawiła mnie na ziemi. Wtedy już wcale nie płakałem. Patrzyłem, jak wiatr miota konarami drzew w alejce - były nagie, bezlistne i mogło się wydawać, że wyrastają z kopców przywiezionego tu z centrum miasta gruzu. Gdzieś z tyłu, ponad kamienicami, okropnie błysnęło. Wiem, że

dziewięciolatek nie mógł się nad tym zastanawiać, ale dziś zdaje mi się, że chciałem wtedy poznać odpowiedź na pytanie, dlaczego piorun nie uderzył w żołnierzy? Przecież powinien.

Wraz z kolejnym grzmotem usłyszałem, jak Mira wali pięściami w drzwi domku. Odwróciłem się. Za każdym razem, kiedy jej ręka dotykała framugi, odpadał kawałek złuszczonej, białej farby. Burza rozszalała się już na dobre. Ciężkie krople rzęsistego deszczu przysłoniły cały świat - zupełnie jakbyśmy nagle znaleźli się w innej rzeczywistości. Złapałem Mirę za rąbek spódnicy, nie wiem, który już raz zapytałem ją o naszych rodziców i wtedy drzwi bardzo powoli się otworzyły. W pierwszej chwili nie było go dokładnie widać, bo w środku panował półmrok, ale stanął w nich mężczyzna - wysoki, wychudzony... Jediną cechą, która już na pierwszy rzut oka wyróżniała go z tłumu był ten sam rodzaj wewnętrznej siły, który kazał biec mojej siostrze. Widziałem ją w jego oczach.

Mira złapała mnie za rękę, a on bez słowa zaprosił nas do środka.

II

Nosi tytuł „Nadchodząca burza”, namalował go pan Gustav von Klimt - powiedział spokojnym głosem, stając za moimi plecami.

Poruszyłem się nerwowo. Położył mi dłoń na ramieniu. W uścisku przypominał mojego ojca: twardy, żylasty i zdecydowany. Znajdowaliśmy się w korytarzu jego domu. Długą ścianę znaczyły cienie po obrazach. Wisiało tylko jedno dzieło.

- Nie wiem, czy interesuje cię sztuka, młody człowieku, ale jeśli będziesz chciał w nią kiedyś inwestować, doradzam Klimta. Warto zobaczyć także jego wspaniały fresk w Brukseli... Mam tu jeszcze kilka innych pięknych rzeczy.

Słuchałem go, ale obraz wydał mi się ważniejszy. Wprost nie mogłem oderwać oczu od konturów wielkiego, wygiętego drzewa na pierwszym planie. Z rozmyślań wyrwał mnie dopiero głos Miry:

- Ma dopiero dziewięć lat... Nie bardzo jeszcze rozumie pewne rzeczy.

Mężczyzna, który przedstawił nam się kilkanaście minut temu jako pan Majde, zwrócił się w jej stronę:

- A panienka ile ma lat?

- Siedemnaście - skłamała.

Kiwnął tylko głową w odpowiedzi.

- Ma panienka rację. Nie czas teraz na obrazy, chociaż cieszę się, że w domu został choć ten, szczególnie mi bliski. Lubię myśleć, że miałem pewien wkład w jego powstanie - uśmiechnął się nieznacznie, pokazując wyjątkowo głębokie dołeczki. Zdjął rękę z mojego ramienia. - Wiem, o czym pani myśli, panno Miro. Przynajmniej przez chwilę proszę się nie martwić. Może trudno w to uwierzyć w obecnej sytuacji, ale jesteście tu dość bezpieczni.

Siostra zmierzyła go wzrokiem pełnym niedowierzania. Myślałem, że będzie na niego krzyczeć, przed czym wyraźnie powstrzymywała się, odkąd weszliśmy do tego domu. Chyba nie do końca mogła zrozumieć spokój emanujący od tego człowieka. Był wyzywająco miły i

opanowany - zupełnie, jakby dwójka młodych, uciekających przed śmiercią Żydów korzystała z jego gościny przynajmniej kilka razy wcześniej. Jakby dokładnie znał ten scenariusz. O nic się nie pytał, po prostu pozwolił nam zostać. Kiedy Mira odzyskała oddech, zabrał nas na korytarz, gdzie szczelnie pozaciągał wszystkie zasłony. Na zewnątrz nadal szalała burza. Wiatr dął w kominie i słychać było, jak o dom uderza fala deszczu. Mnie jednak, mimo wszystko, natychmiast udzielił się spokój tego wysokiego człowieka.

- Jestem głodny - powiedziałem, odrywając wzrok od ogromnego płótna.

- Ja też! - odparł pan Majde i cicho klasnął w dłonie.

Dom naszego nowego opiekuna był dwupiętrowy. Majde zabronił bez pozwolenia wchodzić na strych, pokazał nam za to piwniczkę pod jadalnią. Od biedy można było nawet dostrzec, co się w niej dzieje, zaglądając przez szpary między deskami podłogi. Mieliśmy tam siedzieć zawsze pod jego nieobecność.

Po zwiedzeniu większości pustych pokoi, pan domu zabrał nas na kolację. Przez cały czas starałem się nie odzywać i tylko grzecznie wędrowałem za nim, trzymając mocno ciepłą rękę Miry. Z rozpuszczonymi włosami, które dopiero co wyschły po deszczu, wyglądała przepięknie. Jej szare oczy błyskały na lewo i prawo, ale podobnie jak ja prawie się nie odzywała.

W końcu siedliśmy do stołu. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Majde poczęstował nas świeżym chlebem, masłem i kielbasą. Do tego w ogromnym, lekko pękniętym imbryku zaparzył najprawdziwszą kawę. Wszystko to, w połączeniu z uspokajającą ciszą, zrobiło na nas niesamowite wrażenie. Jedliśmy, jak oszaleli, a on, siedząc przy końcu stołu, patrzył na to z uśmiechem na twarzy. To właśnie wtedy wydał mi się niezwykle czysty. Mama kazała mi zawsze zwracać uwagę na takich ludzi, Majde trochę się jednak od nich różnił. Można było powiedzieć, że on od swojej czystości jest aż bladej. Dolał Mirze kawy i ta w końcu nie wytrzymała:

- Jak to możliwe? - wykrzyknęła. - Kim pan jest, dlaczego pozwalają panu żyć w ten sposób?! - głos wyraźnie się jej załamał.

Chyba oboje zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że takiego jedzenia nie dało się zdobyć w uczciwy sposób. Mimo to nie przestawaliśmy napychać sobie ust. Aby móc krzyżeć, trzeba najpierw nabrać sił. Majde nie wyglądał na zdziwionego.

- Jestem kimś, kto was nakarmił, kto daje wam schronienie i obiecuje bezpieczeństwo... Jeśli tylko będziecie przestrzegać kilku zasad - odparł normalnym głosem, bez cienia zażenowania.

Mira powoli podniosła się zza stołu.

- Jest pan jednym z nich! - powiedziała ostro i chyba dopiero te słowa zrobiły na nim jakieś wrażenie, bo zamiast od razu odpowiedzieć, najpierw zacisnął usta i zgasił palcami świeczkę, co sprawiło mu wyraźny ból.

- Nie jestem jednym z nich - odparł wreszcie. - Po prostu radzę sobie nieco lepiej niż wy. Wojna nie jest nadprzyrodzoną istotą, z którą trzeba się zmagać, wojna to tylko ludzie, z którymi trzeba sobie radzić, a ja znam się na ludziach całkiem nieźle. Rozumiem, że jest pani przestraszona i zmęczona, że ledwo się pani udało, ale teraz proszę spróbować choć przez chwilę nie kierować się strachem. Proszę ułożyć małego do snu, a później spokojnie porozmawiamy. Rano postaram się dowiedzieć, co stało się z waszymi rodzicami.

Spojrzał Mirze w oczy i chyba pierwszy raz w życiu zobaczyłem, jak siostra daje za wygraną. Bo tak naprawdę, cóż mogliśmy zrobić? Byliśmy sami, a tuż za drzwiami tego wielkiego, pustego domu prawdopodobnie czekała na nas śmierć. Tak pewnie myślała Mira. Ja marzyłem tylko o tym, aby móc pójść spać z pełnym żołądkiem.

Nie wiem, jak długo leżałem zawinięty w koce na ustawionej w jednym z pokoi starej kanapie. Sądzę, że drzemałem kilka godzin. Obudził mnie podniesiony głos Miry. Nie mogłem zrozumieć, o czym mówi, ale rozmowa dochodziła gdzieś z góry. Wprawdzie grube, szczelnie zaciągnięte na okna kotary nie pozwalały stwierdzić tego z całą pewnością, lecz na zewnątrz musiała być już noc. Burza ustała i wiatr nie wył już w kominku. Podniesione głosy zdawały się całkowicie wypełniać dom. Nie podobało mi się to. Kiedy mieszkaliśmy z rodzicami, czasami zdarzało im się o coś kłócić. Ważne sprawy omawiali wieczorami, w łazience - podczas wspólnej kąpieli. Stamtąd docierały do moich uszu ich podniesione głosy. Pamiętam te sporadyczne kłótnie bardzo dokładnie, bo gdy się im przysłuchiwałem, próbując usnąć - coś momentalnie ścisnęło mnie za gardło i zaczynałem łkać.

W pustym domu Majdego poczułem dokładnie to samo. Ten sam rodzaj strachu. Ostrożnie wyczołgałem się spod koców i idąc najciszej, jak tylko potrafiłem, dotarłem do schodów prowadzących na poddasze - to samo, na które Majde wyraźnie zabronił nam wchodzić bez pozwolenia. Na szczycie schodów znalazłem zamknięte drzwi. Zdecydowałem się zdjąć moje zakurzone, wciąż jeszcze wilgotne buty, i wchodzić do góry na bosaka. Co sobie wtedy myślałem? Czuję jedynie, że coś wisi w powietrzu - zapach na piętze był mi nieznany, nieludzki i drażniący. Zacząłem się wspinać. Bałem się o Mirę, chociaż, gdyby Majde rzeczywiście chciał zrobić jej coś złego, przecież i tak niczego bym nie zdziałał. Schodki obito miękką wykładziną, więc dotarłem na ich szczyt właściwie bezszelestnie. Przeszli rozmawiać. Słyszałem już tylko, jak siostra westchnęła. Pot wystąpił mi na

skroniach i ścisnęło mnie w gardle. Przerażony zajrzałem przez dziurkę od klucza. Najwyraźniej krył się w niej pajak, bo część widoku przysłoniła mi lepka pajęczyna. Uwił ją w tym miejscu, zupełnie jakby chciał strzec jakiegoś sekretu. Wewnątrz paliły się świece i mój wzrok dopiero po chwili przyzwyczał się do światła. Kiedy to wreszcie nastąpiło, z trudem powstrzymałem okrzyk.

Majde stał kilka metrów przede mną. W ramionach trzymał moją siostrę. Wtuliła się w niego. Wyglądała tak, jakby zaraz miała upaść. Obejmował ją w dziwaczny sposób, trzymając swoją głowę nisko, tuż przy jej dekolcie. Część ubrań Miry walała się po brudnej podłodze. Nie to jednak przeraziło mnie najbardziej. Moja siostra cicho pojękiwała i to w sposób, którego nigdy wcześniej nie dane mi było usłyszeć. Sądziłem wtedy, że były to westchnienia bólu, ale dopiero teraz - kiedy znam je aż za dobrze, rozumiem, że było zgoła inaczej. W pewnej chwili Majde, dziwacznie sapiąc, wzmocnił swój uchwyt i podniósł trzęsącą się Mirę do góry. Potem wziął ją na ręce i znikli z mojego pola widzenia. Usłyszałem, jak sprężyny materaca jęknęły, wtórując Mirze. Chciałem, wyrażając dziecinny sprzeciw, wejść do środka, ale powstrzymał mnie jej głos. Prosiła o więcej... Postępując, błagała o coś natarczywie, a Majde chwilami zagłuszał ją, posapując na podobieństwo zwierzęcia, a nie człowieka. Musiało mnie to ostatecznie onieśmielić, bo przerażony rzuciłem się na złamanie karku w dół schodów.

III

Następny dzień rozpoczął się od wystrzałów. Słyszając pierwszy, rozdzierający ciszę huk, zerwałem się jak oparzony i w jednej chwili przypomniałem sobie, gdzie właściwie jestem. Przed oczyma stanął mi obraz widziany przez dziurkę od klucza... Mira stała przy jednym z okien i ostrożnie wyglądała przez kotarę. W jednej ręce ścisnęła kawałek chleba. Sprawiała wrażenie bardzo czymś poruszonej. Kiedy kichnąłem, natychmiast odwróciła się w moją stronę.

- Dobrze, że już wstałeś - powiedziała. - Musimy zejść do piwnicy. Pan Majde wyszedł, może uda mu się znaleźć mamę i tatę. Obiecał, że się tym zajmie, ale w mieście coś się dzieje. Mocno strzelają, mocniej niż zwykle.

W odpowiedzi tylko skinąłem głową. Najważniejsze było dla mnie to, że siostra jest cała i zdrowa. Miałem wrażenie, że zarumieniła się na policzkach, a jej oczy stały się jeszcze bardziej szare. Związała włosy chustką i ubrała na siebie czystą spódnicę oraz sweter z golfem, którego wcześniej nie widziałem. Nie mogłem zrozumieć, skąd ta zmiana, ale powstrzymałem się od pytań. Raz tylko, kiedy prędko kroila dla mnie kawałki chleba, przytuliłem się do niej mocno i powiedziałem, że ją kocham. Z uśmiechem, który ostatnio rzadko gościł na jej twarzy, pocałowała mnie w czoło.

Piwnica była brudna i zaniedbana, ale przez ostatnie miesiące oglądałem znacznie brzydsze miejsca. Pod jedną ze ścian zgromadzono trochę węgla opałowego i górę pociętego w klocki drewna. Siostra musiała wcześniej przygotować kilka rzeczy, bo tuż przy kamiennych schodkach czekała na mnie miska z wodą i kawałek mydła. Pamiętam, że gdy Mira, zakasawszy rękawy, zabrała się za szorowanie moich pleców, kilka razy szczerze się roześmiałem. Łaskocząc mnie zniechęca, próbowała odwrócić moją uwagę od tego, jak bardzo zimna była woda. Wreszcie, kiedy się ubrałem, zaczęła delikatnie rozczesywać moje skołtunione włosy. Majde miał wszystko, nawet grzebień...

Nagle zwróciłem uwagę na rozchodzący się po pustym domu odgłos walenia w drzwi wejściowe. Ręka Miry znieruchomiała i uśmiech w jednej chwili znikł z jej twarzy. Dlaczego tak łatwo uwierzyliśmy Majdemu? Czyżby rzucił na nas czar, który sprawił, że na moment zapomnieliśmy o tym, jak bezwzględny i okrutny jest świat, otaczający jego willę? Napotkałem szare spojrzenie siostry. Przez chwilę musiała chyba poczuć się oszukana. Po tym, co przeszliśmy - umyte włosy, pełne żołądki i odrobina snu sprawiły, że bajka, w której się znaleźliśmy, wydała nam się prawdziwa.

- Nie ma stąd innego wyjścia, musimy wejść do schowka i przeczekać - powiedziała bez zająknięcia Mira.

Schowkiem okazała się zasłonięta stertą drewna nieduża wnęką w ścianie. Prędko ukryliśmy pod jakimiś szmatami miskę z wodą i napychając kieszenie resztkami jedzenia, zaczęliśmy wspinać się na drewniane kłocę. Kilka minut później dał się słyszeć huk wyłamywanych drzwi.

- Wydał nas - szepnęła Mira.

Pomogła mi zejść na dół, usadziła w kącie pod ścianą i przykryła mnie wypłowiałym kocem. Szepnąłem, że wcale się nie boję. Później siedzieliśmy już w zupełnej ciszy. Głosy odezwały się za to na górze. Mężczyźni mówili po niemiecku, wojskowe buty mocno uderzały o posadzkę. Naliczyłem przynajmniej cztery głosy. Nie ulegało wątpliwości, że natychmiast rzuciły im się w oczy pozostałości po naszej wczorajszej kolacji. Rozbiegli się po pomieszczeniach, zostawiając tymczasem w spokoju jedyny dywan w domu. To pod nim znajdowało się wejście do piwnicy. Teraz wiem, że gdyby rzeczywiście wydał nas Majde, nie marnowaliby czasu na przeszukiwanie reszty pokoi i ruszyliby prosto do skrytki. Ich wizyta była całkowicie nieoczekiwana, ale ludzi nie zawsze trzeba zapraszać do odwiedzin, przychodzą zwykle sami, niezapowiedziani. Ci przybyli złamać pewien układ. Działali na własną rękę.

Nie wiem, co tak bardzo przykuło ich uwagę, ale spędzili na piętrze kilka długich godzin. Krzatali się po strychu. Czasami wybuchali śmiechem, przewalali coś z miejsca na miejsce i głośno wyrażali swój podziw wobec tego, co znaleźli w domu. Musieli odkryć pozostałą część kolekcji Majdego. Prawdopodobnie przyszli właśnie po jego „skarby”. Miałem wrażenie, że wciąż ich przybywa. Kilku rozmawiało z wyraźnym podnieceniem.

Żując podawane mi co jakiś czas przez Mirę kawałki chleba, musiałem przysnąć, bo gdy ponownie otworzyłem oczy, do piwnicy wpadała już tylko odrobina światła. Niemcy nadal byli na górze - tym razem w jadalni, dokładnie nad naszymi głowami. Ich kroki wyraźnie cichły za każdym razem, gdy wchodzili na wspomniany dywan. Musieli chyba

zgodnie, bo słyszałem, jak pogwizduje imbryk i dzwoni porcelana. Byłem pewien, że zjedzą i zaraz sobie pójdą, ale nagle zaczęli na jakiś temat zażarcie dyskutować po niemiecku. Jeden mówił przez drugiego.

- Und der Teppich! - powiedział w końcu któryś z mężczyzn, przekrzykując pozostałych. - Es ist sehr schön. Ich nehme es!

Oczy Miry nieustannie wpatrywały się w klapę w suficie i nagle usłyszeliśmy dźwięk upadającego na podłogę naczynia. Któryś z nich musiał chyba rozlać kawę. Po chwili kilka pierwszych kropelek płynu, przesiąkając przez dywan, spadło na schodki piwnicy.

Jeden z głosów wyraźnie się zdenerwował. Zaczęli na siebie wrzeszczeć. Doszło do szamotaniny. Rozmyślając o tym po latach, sędzę, że któryś z nich musiał mieć chrapkę także na ten przeklęty dywan. Najwyraźniej nie mieli pojęcia do kogo należy dom, w którym się znaleźli. Nie wiedzieli, dlaczego inni Niemcy nie nękali dotąd Majdego.

Żołnierze zaczęli zwiijać dywan. Sekundę później drgnęła klapa. Posypały się ostre słowa, szczęknęła broń. Dałbym wszystko, aby wiedzieć, o czym myślała wtedy Mira. Oceniała naszą szansę? Przeklinała w myślach Majdego? Z pewnością tak właśnie było. Najwyraźniej zrozumiała także, kiedy jej wczorajszy bieg i nocna wizyta w pokoju na piętrze nabiorą ostatecznego sensu.

Bez słowa nakryła mnie szczelnie kocem i wcisnęła w najciemniejszy róg schowka, każąc przysiąc na życie naszych rodziców, że będę tu siedział i nie odezwę się ani słowem. Kiedy to uczyniłem, najciszej, jak się dało, wspięła się na stertę opałowego drewna i przelazła na drugą stronę. Nie wiem, w którym dokładnie miejscu znaleźli ją Niemcy. Przypuszczam, że zaczęła się tuż obok kamiennych schodków, za poustawianymi tu i ówdzie drewnianymi skrzyniami. Zejście do piwnicy było dość wąskie i żołnierze musieli schodzić po kolei. Odważyłem się odsunąć nieco koc dopiero w chwili, gdy na stopniach pojawiły się nogi pierwszego z nich. Mira bez zastanowienia cięła po nich wydobytym Bóg wie skąd kuchennym nożem. Niemiec wrzasnął, ale tak naprawdę nie mogła mu wyrządzić zbyt poważnej krzywdy, bo jego wojskowe buty sięgały zbyt wysoko.

Tracąc równowagę, żołnierz zwałił się na moją siostrę. Nóż wypadł jej z ręki i oboje, wzbijając tuman kurzu, przeturlali się po ziemi. Do środka natychmiast wpadł drugi Niemiec. Najwyraźniej nie chcąc ryzykować strzału, który zraniłby kompana, zaczął okładać Mirę kolbą karabinu. Wreszcie, kiedy obaj stali już na nogach, ten zaatakowany nożem kopnął Mirę w brzuch i mocno trzymając za włosy, uderzał jej głową o posadzkę. Kiedy uznali, że jest całkowicie bezbronna i pierwsza fala wściekłości opadła, zaciągnęli ją na górę. W chwilę

później, wraz z ostatnim błyskiem dnia, który przedostał się do piwnicy, Niemcy zamknęli za sobą kłapę i więcej żywej Miry już nie widziałem.

IV

Pół godziny później zaczęła wyc. Krzyk bólu, który wydaje z siebie ktoś, kogo kochacie, jest rzeczą nie do zniesienia. Słyszac go, zapomina się o tym, co to rozsadek. Przystaje się także być dzieckiem.

Trzęsac się, podszedłem do schodków, na których widać było kilka plam krwi. Podniosłem kuchenny nóż i nie myślac o niczym, zacisnałem na nim swojac mała dłoń. Słyszalem, jak jeden z Niemców stękał z wysiłku. Coś miarowo uderzało o stół. Mira przestała wyc, a ja kierowany zupełnie nieznanym mi dotąd pragnieniem, wszedłem na pierwszy schodek. Wchodziłbym dalej, ale nagłe moja uwage przykuł dźwięk przypominajacy szuranie. Obejrzałem się za siebie. Dokładnie wtedy pokrywa jednej z ustawionych w piwnicy skrzyń zsunęła się na ziemie. Patrzyłem jak zahipnotyzowany. Ze środka wynurzył się pan Majde. Był jeszcze bledszy niż zwykle, a grymas na jego twarzy wyrażał wściekłość. Oczy jarzyły mu się jak u kota, który w świetle księżyca wychodzi na nocne łowy. Zamrugalem, próbujac przegonić zwidy, a on był już przy mnie. Palce zimnej dłoni, które teraz wydały mi się dłuższe i ostre, niedbale dotknęły moich włosów.

- Nie powinni byli tu przychodzić chłopcze - syknął. - Sądziłem, że nasza umowa znaczy nieco więcej...

Usłyszałem jego głos, mimo że nie poruszył ustami. Kiedy uniosłem głowę, aby lepiej mu się przyjrzeć, kłapa od piwnicy z hukiem wystrzeliła w górę. Majde był już w pokoju. Nie czekajac, pobiegłem za nim. Obaj Niemcy wyglądali na całkowicie zaskoczonych.

- Halt, halt! - wrzeszczał jeden z nich, w popłochu szukajac broni.

Drugi niedbale zapinał spodnie, odskakujac od stołu, na którym leżała wykręcona Mira. Gniew pana domu spadł najpierw właśnie na niego. Majde zbliżył się do nazisty, płynac w powietrzu, i jedną ręką, jakby od niechcienia urwał mu głowę. Trysnęła krew, a tors mężczyzny wyprężył się w konwulsjach i zrobił dwa kroki do przodu. Majde zgrabnie go pochwycił. Równocześnie rzucił urwaną głowę w stronę repetujacego karabin drugiego

Niemca. Zanim zaatakował ponownie, wpił się w kikut szyi pierwszego trupa, obejmując go ustami.

Dokładnie wtedy żołnierz z karabinem wystrzelił całą serią. Dzieliło go od Majdego zaledwie kilka kroków i wszystkie pociski bezbłędnie sięgnęły celu. Pan domu zachwiał się od siły ostrzału, wypuścił z objęć trupa i runął na ziemię, przewracając stołowe krzesła. Patrzyłem na to wszystko, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Niemiec, wrzeszcząc w niebogłosość, przeładowywał karabin. Nie zdążył jednak oddać kolejnych strzałów. Majde, bez pomocy rąk, podniósł się z podłogi i ruszył w jego stronę. Na ułamek sekundy obrzucił mnie spojrzeniem i w głowie usłyszałem jego kojący głos: „To taka magia”, mówił, śmiejąc się serdecznie. Później lekko uniósł do góry krzyczącego żołnierza i zmiażdżył mu krtań. Pamiętam, że mężczyzna charczał, wytrzeszczając oczy, a Majde powoli oblizywał mu twarz, rozmazując na niej krew martwego kompana. W końcu zabił Niemca bez słowa, cisnął truchło w kąt pokoju i podszedł do zwłok mojej siostry. Przejechał dłonią po jej bladej szyi, cicho mrużąc coś pod nosem.

- Nie tak miało to wyglądać chłopcze - powiedział wreszcie normalnym głosem. - Ci durnie popełnili straszny błąd. Każda zachłanność, nawet zachłanność zwycięzców, powinna mieć swoje granice. Niestety nie możemy tu dłużej zostać. Chciałbym zabrać cię ze sobą... Masz w sobie siłę, która wydaje mi się wartościowa. Jak ci na imię?

- Jakub... - odparłem po dłuższej chwili, czując we wnętrzu pustkę, jakiej nie dane było mi poznać już nigdy później.

V

Pamiętam, że odeszliśmy stamtąd kilka godzin później. Była to pierwsza noc mojego nowego życia. Wspomnienia wróciły do mnie dopiero niedawno. Wiązało się to z wizytą w Wiedniu. Jakiś kaprys skierował mnie któregoś czerwcowego wieczoru na wystawę obrazów w muzeum Leopoldinum. Majde nauczył mnie o sztuce bardzo wiele. Podobnie jak on lubiłem brać udział w licytacjach i gromadzić dookoła siebie piękne rzeczy. Tym razem przyszedłem do muzeum w roli obserwatora. Chciałem zobaczyć obraz Klimta. Ten sam, który jako ostatni wisiał w korytarzu domu przy parkowej alei. Ogromne płótno, zabrane tamtej nocy przez Niemców. Umieszczono je teraz w długiej sali bez okien. Część wiedeńskiego muzeum znajduje się pod ziemią. W świetle lamp „Nadchodząca burza” prezentuje się wspaniale. Dokładnie tak wyglądał świat w czasie tamtej wojny. I żeby wszystko było jasne... Wcale nie żałuję, że nigdy już nie będę mógł oglądać tego obrazu w świetle dnia.

IMAGO

Looking for the victim shivering in bed
searching out fear in the gathering gloom and
suddenly!
a movement in the corner of the room!
and there is nothing I can do...

The Cure

Gareth siedział samotnie w kuchni. Wstał wcześniej niż zwykle, aby mieć trochę czasu dla siebie. Gapił się nieobecny wzrokiem w popękany blat stołu i co chwilę unosił do ust kciuk prawej dłoni. Muskał wargami paznokcie, a następnie wgrzyzał się w niego, zaciskając szczęki tak mocno, że na skroni występowała mu żyła. Następnie emocje opadały i znowu patrzył na stół. Jego umysł wypełniał strach. Gareth Aiello panicznie bał się swojej żony.

Nie radził sobie z lekturą porannej gazety. Od lat czytał prasę przy śniadaniu, ale tego dnia nie potrafił skoncentrować się na literach. Rozbiegały się przed jego oczyma, niczym małe pająki na wiosennej pajęczynie.

Stojąca przed nim kawa już dawno wystygła. Gareth zatrzymywał od czasu do czasu spojrzenie na swoim ulubionym kubku z napisem „Jestem twoją dużą czarną”, ale myślami był gdzie indziej. Wpatrywał się w stojący na szafce stojak na noże. Pamiętał, że wszystkie tkwiące w nim ostrza wykonano z wytrzymałego i odpornego na rdzę stalowego stopu. Nie mógł przestać o nich myśleć.

- Kto potrzebuje do krojenia aż tylu noży? - myślał niespokojnie. - Dlaczego prawie wszystkie mają szerokie, zagięte ku górze klingi?

Wiele razy trzymał w rękach nóż o podobnym ostrzu. Widział podobną broń za każdym razem, kiedy jego przyjaciel Frank Blatty zabierał go na polowania. Takie noże służyły do zabijania. Sprawdził to wczoraj, przed przyjazdem do domku wypoczynkowego, w którym właśnie spędzili z żoną pierwszą noc. Policyjne statystyki, opublikowane w internecie przez *Times'a*, podawały, że najwięcej morderstw dokonywano właśnie z użyciem kuchennych noży.

Za oknem, w którym odbijała się pociągła i blada twarz Garetha, widać było budzący się do życia świat. Znad pobliskiego jeziora powoli odpływały mgły. Nieco dalej widać było zieloną linię lasu. Znajdowały się za nim kolejne budynki, bliźniacze do tego, który dostali dzięki jego żonie, Anah. Jej ojciec był zasłużonym policjantem i zaproponowano mu dzierżawę działki znajdującej się w tym uroczym, dzikim zakątku. Sprawę ułatwiał fakt, że w żyłach jego żony płynęła indiańska krew. Dzięki ustawie o reorganizacji, potomkowie

dawnych Indian mogli odzyskiwać atrakcyjnie położone działki, które dawno temu przejęło państwo. Wszystko załatwiono więc okazjnie i po kosztach. W ten oto sposób w rękach jego żony znalazła się ziemia położona niedaleko miejsca, w którym jak głosiła legenda, bogowie Ziemi stoczyli przed stuleciami śmiertelną walkę z przerażającym Llamą, panem świata podziemnego.

Historia ta zawsze działała na wyobraźnię Garetha. Jako niedoszły artysta już jakiś czas temu zafascynował się sztuką Indian. Pomogło mu to w znalezieniu wspólnego języka z ojcem Anah, który w chwilach relaksu lubił malować przyjemne dla oka pejzażyki. Zamiast na rybach, spędzali razem długie godziny nad jego sztalugami. Aiello uczył teścia malować wedle zasad starej szkoły. Niestety stary Merrid jakiś czas temu zginął wraz z żoną w wypadku samochodowym. Pewnej zimy wracali z weekendu spędzonego w domku nad jeziorem. Podobno wóz wpadł w niekontrolowany poślizg. Gareth sądził, że po tej tragedii już nigdy tu nie przyjedzie, ale Anah złe wspomnienia wyraźnie nie przeszkadzały. Pozbyła się wprawdzie większości obrazów ojca, ale reszta wystroju drewnianego domku pozostała niezmienną. Teraz sami wpadali tu na weekendy.

Na miejsce dotarli wczoraj wieczorem. Chcieli świętować piętnastą rocznicę ślubu. Bliźniaczki, które pojawiły się na świecie wkrótce po tym, gdy związali się ze sobą, zostały pod opieką sąsiadów. Najbliższe dwa dni miały należeć tylko do nich. Do męża i żony. Anah chciała, aby wreszcie odpoczęli od małżeńskich dywagacji na temat spłaty samochodu i hipoteki. Tutaj mieli się odprężyć i zapomnieć o bożym świecie. Obrzeża parku Yellowstone wydawały się idealne do realizacji tego celu. Kłopot polegał na tym, że plany wypoczynkowe nie były w tej chwili dla Garetha tak oczywiste, jak wcześniej. Teraz rozmyślał przede wszystkim o tym, jak bardzo się boi swojej żony i czy byłby w stanie zamordować ją, używając do tego jednego z kuchennych noży. Czy dałby radę podejść do niej na palcach i zabić ją we śnie? Choćby za chwilę... Zakładał, że musi zadać trzy szybkie pchnięcia w korpus. Podcinanie szyi uznał za zbyt ryzykowne. Wolał cios wymierzony w większy kawałek ciała i pewność, że trafi. Później ewentualnie mógłby ją dobić. Grunt, żeby była już ranna, mniej sprawna i zaskoczona.

Przez moment rozważał to, czy pościel może ograniczyć impet, z jakim zadałby cios... Przerząła go również wizja tego, że w chwili, kiedy ostrze zacznie opadać, Anah nagle się zbudzi. Duże, czarne oczy spojrzą na niego, zalewając świat smolistą czernią drapieżnego spojrzenia. On tego nie wytrzyma i bezwładnie osunie się na podłogę. Okropny ból ściśnie go za mózg. Będzie go przeszywał, mimo że mózg nie ma prawa boleć. Znał to uczucie - tak,

jakby czaszkę włożono mu w stolarskie imadło i ściśnięto ją do granic wytrzymałości. Kości już trzeszcza, ale wciąż nie rozpryskują się na boki.

Noga siedzącego w kuchni Garetha przestała podskakiwać. Od kilku minut latała mu na boki, boleśnie obijając się o poprzeczkę stołu, ale on zupełnie nie zwracał na to uwagi. Wgryzał się w paznokieć kciuka, pod którym pojawiła się smuga czerwieni.

Musiał zamordować swoją żonę, zanim będzie za późno. Był przekonany, że jeżeli nie zdąży uczynić tego pierwszy, to ona zabije jego.

Pływała w jeziorze, w pobliżu drewnianego pomostu zbudowanego przez ojca. Fragmenty smukłego ciała pojawiały się co jakiś czas ponad powierzchnią granatowej tafli wody. Stary Merrid zrobił molo na życzenie swojej żony, która, podobnie jak Anah, uwielbiała się pluskać.

Gareth obserwował Anah znad sztalugi. Nie był w stanie malować. Ilekroć brał do ręki ołówek lub pędzel, zaczynały trząść mu się ręce. Podejrzenia związane z tym, że w jego życiu dzieje się coś niedobrego, zaczęły się właśnie od obrazu.

Któregoś dnia przypomniał sobie, że w zeszłym roku, kiedy był z Anah nad Niagarą, namalował wspaniałą martwą naturę, na której uwiecznił fragment wodospadu. Pamiętał to dzieło doskonale. Zatrzymali się wtedy w malowniczym hotelu, polecanym przez znajomego z pracy. Chodzili na spacer, robili zdjęcia i grali w *scrabble*. Wszystkie te wspomnienia wydawały mu się zupełnie naturalne do chwili, kiedy zapragnął odnaleźć obraz, ukazujący paszczę Niagary. Nie było go ani w domu, ani w pracowni. Nieśmiało zagadnął o niego Anah... Stała wtedy w kuchni. Zastanawiała się przez chwilę, bawiąc się nożycami do patroszenia kurczaka. W końcu odparła, że sprezentowali obraz jakiemuś znajomemu. Gareth przytaknął, nie chcąc zaczynać sprzeczki i już miał zapomnieć o sprawie, ale wizja wodospadu nie dawała mu spokoju. Obdzwonił znajomych. Nikt nie dostał od niego podobnego obrazu. Na tym jednak nie koniec. Okazało się, że nigdy nie byli z żoną nad Niagarą! Nigdy nie robili sobie romantycznych zdjęć w pobliżu wodospadu, ani nie grali w *scrabble*, wygrzewając się w słońcu na tarasie hotelu.

Gareth sprawdził to bardzo dokładnie. Chciał nawet zadzwonić do hotelowej recepcji, którą widział oczyma wyobraźni, ale okazało się, że pensjonat, którego szuka, w ogóle nie istnieje. Rozmawiając ze znajomymi o tamtej wycieczce, uświadomił sobie także coś innego. W robocie był typowym pracoholikiem. Na wyraźną prośbę szef pokazał mu w końcu jego urlopową statystykę. Gareth przez ostatnich piętnaście lat wykorzystał jedynie trzydzieści dni

urlopu! Chorował wtedy podobno na przewlekłe zapalenie płuc. Firma nigdy się na niego nie skarżyła.

To był jednak dopiero początek przerażających odkryć. Okazało się, że życie towarzyskie Garetha nie istnieje. Na co dzień poświęcał się pracy i rodzinie. Nie spotykał się z przyjaciółmi. Jedynym wyjątkiem był Frank Blatty, z którym od czasu do czasu jeździł na polowania. Anah bardzo lubiła dziczyznę i kibicowała tym krótkim wyjazdom.

Aiello nie wydawał pieniędzy na żadne przyjemności. Wyglądał schludnie i zwyczajnie. O jego ubrania i jedzenie dbała wciąż jeszcze młoda żona. Anah miała trzydzieści cztery lata. Doskonale opiekowała się dziećmi i domem. Nie pracowała. Wolny czas spędzali na romantycznych spacerach po parku, na niedzielnych obiadach w miejscowej restauracji, wypadach do kina i teatru. Czytali sobie do snu książki i oglądali filmy przy butelce wina. Tak to podobno wyglądało. Gareth miał jednak coraz większą pewność, że wspomnienia te są takim samym kłamstwem, jak ich wycieczka nad Niagarę.

Z każdym dniem utwierdzał się w przekonaniu, że jego uczuciowy związek z kobietą, która jest jego żoną, to czysta fikcja. Tak naprawdę nic do niej nie czuł. Mało tego! Był przekonany, że wcale jej nie zna! Zaczął myśleć, że zwariował, miewał mdłości i zawroty głowy. Wtedy na ratunek pośpieszył mu Frank. Blatty od lat pracował jako psychoterapeuta i zajął się jego terapią. Przepisał mu tabletki, po których na jakiś czas życie Garetha wróciło do normy. Aiello zaprzestał prywatnego śledztwa i powiedział sobie, że jest w szczęśliwym związku, którego nie może zniszczyć ewentualna choroba umysłowa. Frank kazał mu znaleźć sobie nowe hobby, więcej malować. Wyjaśniał, że wszystkiemu winne jest zmęczenie, pracoholizm i stres.

Tydzień temu, tuż przed zaśnięciem, Gareth odważył się opowiedzieć o części swych podejrzeń Anah. Mówił także o tabletkach, strachu i wątpliwościach. Przyjęła to całkiem nieźle. Długo patrzyła na niego czarnymi oczyma. Później mocno go do siebie przytuliła. Całowała delikatnie jego głowę. Czuł wspaniały zapach jej ciała. Położył dłonie na jej miękkim brzuchu. Zamknął oczy, myśląc o tym, jak mocno kocha swoją żonę i że zrobi dla niej oraz dla ich dzieci absolutnie wszystko. Gdyby miał możliwość stanąć pod murem i zostać rozstrzelanym zamiast nich, uczyniłby to bez wahania. One musiały żyć. Jego trzy ukochane kobiety.

Anah pocałowała go namiętnie. Jej język szalał w jego ustach, a ręce coraz mocniej szarpały mu plecy, zostawiając czerwone pręgi. Zaczęli się kochać. Robili to z furją, a on myślał tylko o miłości. Pamiętał, że tamtej nocy wpijała mu się w szyję zębami i gryzła go po nogach. Delikatnie szarpała jego skórę, aż w oczach stawały mu łzy. W końcu dosiadła go i

wyginając ciało w szalonym pędzie uniesienia, doprowadziła go do stanu absolutnego szczęścia. Odpłynął, stając się z nią całością. W chwilę potem zasnął i zapomniał o wszystkim, co dręczyło jego umęczony umysł. Następnego dnia dowiedział się, że w związku z rocznicą, powinni wyjechać na weekend do domku jej ojca. Zgodził się, a teraz pierwszy raz w życiu obawiał się o swoje życie. Zaraz po przyjeździe jego fobie powróciły ze zdwojoną siłą.

Tuż przed przybyciem do domku zdecydował się odstawić tabletki przepisane przez Franka. Miał wrażenie, że dzięki temu z każdą godziną coraz bardziej rozjaśnia mu się w głowie.

Patrząc na nurkującą w jeziorze żonę, nie umiał już myśleć o miłości. Wydawała mu się dziwnie obca. Nie był już pewien niczego. Nawet tego, czy jego małe śledztwo faktycznie wykazało, że ich uczuciowe życie to fikcja.

Uniósł rękę do sztalugi i ponownie ją opuścił. Wczoraj zwiedził strych drewnianego domku, szukając tam zaginionej „Niagary”. Obrazu, który chciał odnaleźć, nigdzie nie było. Znalazł za to zupełnie inne dzieło. Duże, zakurzone płótno, zakryte szarym papierem i obwiązane sznurkiem. Oglądał je w świetle zapalniczki, bo w pokoju było ciemno. Obraz przedstawiał siedzącego na krześle mężczyznę. Obejmował podkulone nogi. Zadzierając głowę, odsłaniał szyję i kark. Tuż za nią w czarnej przestrzeni majaczył obły kształt. Coś wyraźnie obchodziło mężczyznę z boku i wyciągało w jego kierunku dłonie złożone z postrzępionych cieni. Gareth, oglądając obraz, całkowicie oniemiał. Rozpoznał swój styl, a w prawym dolnym rogu dostrzegł podpis. Niewielki, rozmazany, kreślony w pośpiechu. Najwyraźniej na zapisanie daty nie miał już czasu. Nie miał pojęcia po co i kiedy go stworzył...

Otarł czoło na to wspomnienie i nagle z zamyślenia wyrwało go głośnie chrząknięcie. Odwrócił się i przy drewnianym płotku otaczającym ich działkę zobaczył tęgiego mężczyznę w moro. Nieznajomy miał na głowie myśliwską czapkę. Przyjaźnie zamachał ręką.

- Witam sąsiedzie! - powiedział z lekka zachrypniętym głosem.

Zdjął czapkę, odsłaniając błyszczącą łysinę. Gareth przez chwilę patrzył na niego, nie reagując, aż wreszcie sobie przypomniał... Facet przy płocie nazywał się Bill Bludger. Miał działkę po drugiej stronie lasu. Znał ojca Anah. Spędzali sporo czasu na łowieniu łososi, które uwielbiała żona Merrida. Bill zmagął się podobno z rakiem krtani.

Gareth skinął mu głową i ruszył w jego stronę. Stracił żonę z pola widzenia.

- Cześć, Bill - powiedział, starając się, aby jego głos brzmiał normalnie.

- Nie spodziewałem się nikogo w okolicy w tym tygodniu - wycharczał Bludger. - Dawno przyjechaliście?

- Wpadliśmy na weekend - odparł Gareth. - Świętujemy piętnastą rocznicę ślubu.

- Tylko pogratulować - Bill wyszczerzył się w uśmiechu. - Dzieciaki podrosły, pewnie niedługo będą pełnoletnie, to można się nieco wyszaleć, co? - mrugnął porozumiewawczo okiem.

Gareth niechętnie odwzajemnił uśmiech. Czuł, że robi mu się gorąco. Na jego policzkach pojawiły się rumieńce.

- Co cię sprowadza, Bill? - zapytał w końcu, chcąc ominąć niewygodny temat.

- Ach, no tak... - odparł tamten, splunąwszy wcześniej na ziemię. - Nie widzieliście czasem w pobliżu jakichś obcych? - zapytał. - Sądzę, że przynajmniej kilku. Przypuszczam, że mogli mieć samochód.

Gareth zaprzeczył ruchem głowy.

- Oprócz mojej żony, jesteś pierwszą osobą, z którą rozmawiam od przyjazdu - powiedział. - Czy coś się stało?

- Tylko tyle, że skończyłem jakiś czas temu polować. Miałem sporo szczęścia. Ustrzeliłem dwie łanie. Zostawiłem je pod lasem i poszedłem po wóz. Kiedy wróciłem, już ich nie było. Ktoś musiał je sobie przywłaszczyć. Ślady przez chwilę ciągnęły się w tę stronę, później się urwały, zupełnie tak, jakby ci cholerni złodzieje załadowali na coś moje małe jelonki. Przepadły. Jak dopadnę gnojów, przysięgam, wpakuję im w dupy cały pakiet śrutu - ostatnie słowa wypowiedział już szeptem, bo gardło odmawiało mu posłuszeństwa.

- Niestety, Bill, nie widziałem w pobliżu nikogo podejrzanego, nie przypominam sobie także, aby gdzieś hałasował silnik samochodu - Gareth mówił szybko, chcąc pozbyć się niewygodnego rozmówcy, ale Bludger zdawał się już nie słuchać.

Stał nieruchomo, zapatrzony ponad jego ramieniem. Aiello odwrócił się, podążając za jego wzrokiem i ujrzał wychodzącą z wody Anah. Na moment przykucnęła na drewnianym pomoście. Ociekała wodą. Po chwili wyprostowała się, pozwalając obu mężczyznom podziwiać jej długie, zgrabne nogi. Słońce odbijało się w pokrywających je kropelkach wilgoci. Nie wyglądała na kobietę, którą urodzenie dwójki dzieci i opieka nad domem kosztowało zbyt wiele. Wciąż była piękna. Uniosła ręce i zaczęła wyciskać wodę z pasemek czarnych włosów. Jej indiańska uroda pasowała idealnie do otaczającej ich natury. Gareth przygryzł język, myśląc o tym, że nie zasługuje na taką kobietę...

- Trudno... - wycharczał wreszcie Bill. - Widzę, że ustrześliłeś swoją łanię, ale w żadnym stopniu nie przypomina ona mojej dzisiejszej zdobyczy. - Jego twarz wykrzywił uśmiech przechodzący w grymas smutku. - Pozdrów ją ode mnie - powiedział i odwrócił się na pięcie. Po chwili jednak zatrzymał się na moment. - Byłbym zapomniiał - wymamrotał zamyślony. - Pod lasem biwakuje Frank Blatty. Spotkałem go, szukając tropów. Powiedział, że wpadniesz do niego w odwiedziny. Trzymaj się, chłopcze. Prawdziwy z ciebie szczęściarz - zakaszlał przeciągle i powlókł się w stronę porastających jezioro wysokich traw.

- Powiedziałeś jej, że tutaj jestem? - Frank zacierał dłonie nad płomieniem gazowej kuchenki.

Wieczorami temperatury w tej części głuszy spadały do dziesięciu stopni powyżej zera.

- Nie miałem odwagi. - Gareth skulił się pod trzepoczącą na wietrze ścianą namiotu. - Wytłumaczyłem, że idę na spacer pomyśleć nad nowym obrazem. Dostałem buziaka na wyjście i tyle. Prosiła, abym się nie zasiedziało nad jeziorem, bo mnie przewieje, a jutro przecież robimy sobie tę całą miniuroczystość...

- Twoje nastawienie do niej nie zmieniło się ani trochę?

Gareth zmierzył go wzrokiem.

- Nie wiesz, co mówisz, człowieku - zaczął łamiącym się głosem. - Wczoraj znalazłem na strychu obraz! Jest koszmarny! Malowany w pośpiechu. Zupełnie nie pamiętam kiedy i po co go malowałem, rozumiesz? Z kolei to, co faktycznie pamiętam, a co dotyczy mojej żony, okazuje się nieprawdą! Chcesz przykładów? Proszę bardzo... Zdjęcia, które robiłem jej nago, w bieliźnie, ot, seksowna zabawa w fotografa i modelkę... Te fotografie nie istnieją! Twierdzi, że musiała je gdzieś schować, bo się ich wstydziła i teraz nie pamięta, gdzie mogą być. Idźmy dalej... Boże Narodzenie w Aspen, kiedy oboje uczyliśmy się jeździć na tym przeklętym orczyku, a ona co chwilę lądowała ze śmiechem w zaspie, i wieczór, kiedy spadła z piętrowego łóżka prosto na plecy. Kolejne kłamstwo! W domu nie ma nawet nart! Nie mam mapy z tamtego urlopu, w firmie nikt nie pamięta mojego wyjazdu! Nigdy tam nie byliśmy, a ja, do cholery, mam ze śniegiem tyle wspólnego, co nic! - Gareth mówił coraz głośniejsze.

Frank przyglądał mu się uważnie znad oprawek okularów. W końcu przerwał jego wywód gestem ręki.

- Chłopie, wyluzuj - zaczął mówić pewnym siebie głosem. - Wszystko, o czym opowiadasz, to najwyżej początkowe objawy schizofrenii albo jakiegoś rodzaju manii, rozumiesz mnie? To nie ma nic wspólnego z twoją żoną. To da się wyleczyć! Musisz mi tylko

zaufać i wziąć się w garść. Chcę ci pomóc, inaczej bym tu nie przyjechał i nie marzył w tym przeklętym namiocie. Jesteśmy kumplami od lat. Wiesz, że nie mam powodu wciskać ci żadnego kitu. Zanim jednak podejmę się twojego leczenia, musisz mi obiecać jedną rzecz. Nigdy więcej nie wspomnisz przy mnie o chęci zrobienia żonie krzywdy, dotarło? - w ostatnich słowach można było wyczuć cień źle skrywanej groźby.

Gareth pobladł. Jego usta ściągnęły się w grymasie strachu. Wytrzeszczał na Franka oczy.

- Ona nie jest sobą - wyjąkał. - Nie pytaj mnie, skąd to wiem, po prostu to wiem... Musisz ze mną zostać. Błagam cię! Zjedz z nami ten cholerny obiad!

Frank roześmiał się głośno, wyraźnie udając luz.

- Nie powinienem jeść z wami obiadu, tylko zadzwonić do szeryfa, który mógłby cię zgarnąć za te głupoty, które wygadujesz - powiedział. - Jesteśmy jednak kumplami, więc zamiast tego, postaram się pomóc. O obiedzie zapomnij. Niby jak wytłumaczysz jej moją obecność?

- Coś wymyślę - Gareth niemal zaskomlał.

- Stary, błagam cię, trzymaj nerwy na wodzy - Blatty zaczął szperać w swojej torbie. - Mam dla ciebie nowe proszki. Powinny złagodzić wszystkie napięcia, a jednocześnie nie zaszkodzą ci przy kuracji tabletkami z zeszłego tygodnia. Mam nadzieję, że nadal je bierzesz, co? - uniósł pytająco brew.

Gareth wolno kiwnął głową.

- Zostań na obiedzie, nie proszę cię o nic więcej! Będziesz miał okazję ją poobserwować. Wytłumaczę jakoś twoją obecność... - głos wyraźnie mu się łamał.

Blatty przestał szperać w torbie. Wyłamał sobie palce i rozprostował ręce.

- Jesteś kompletny wariat - powiedział, uśmiechając się kącikami ust. - Zrobię to, ale nie dla ciebie, tylko dla biednej Anah. Ty natomiast przyrzekniesz tu i teraz, na swoje życie, że nigdy więcej nie będziesz myślał o tym, aby ją skrzywdzić! Zrozumiano?! - jego głos przyjął ojcowski ton.

Gareth zapamiętale potakiwał głową. Na jego czole wystąpiły kropelki potu. Nabrał głęboko tchu, wsadzając ręce do kieszeni kurtki. Dziękował w myślach Bogu za to, że nie wspominał Blatty'emu o kuchennych nożach.

- Przyrzekam - powiedział niemal normalnym głosem.

Frank podał mu szklanę i dwie tabletki, po czym wyciągnął z plecaka butelkę wody i zaczął nalewać płyn przyjacielowi.

- Połknij obie naraz - powiedział. - Nie rozgryzaj. Obie smakują obrzydliwie.

W namiot uderzyła kolejna fala wiatru i gazowy płomyk lekko zamigotał. Gareth miał wrażenie, że po drugiej stronie płótna szybko przemieszczają się patykowate cienie.

Przygotowania zaczął koło południa, kiedy Anah ponownie poszła popływać. Słoneczny i gorący poranek zastąpiła wprawdzie drobna mżawka, ale woda w jeziorze, nagrzana przez ostatni tydzień, pozostała przyjemnie ciepła.

Gareth metodycznie przeszukiwał dom, chcąc znaleźć pozostawiony jeszcze przez ojca Anah pistolet na race. Musiał działać. Stwierdził, że poczuje się lepiej, mając broń w zasięgu ręki. Stary Merrid miał w życiu dwie obsesje: pierwszą była miłość do żony, drugą - bezpieczeństwo.

Rakietnicy i podręcznej apteczki nigdzie nie było. Zniechęcony Gareth udał się w końcu ponownie na strych, aby przetrząsnąć tamtejsze graty. Ostrożnie zamknął za sobą klapę w podłodze i ruszył w kierunku dachowego okna, z którego rozciągał się widok na jezioro. Woda była tak czysta, że absorbowała wszystkie kolory światła. Wielka, rozlana tafla była jednolicie granatowa. Anah nie było nigdzie widać. Gareth wytarł spocone ręce o spodnie. Nasłuchiwał przez moment, ale jego uszy nie wyłapały żadnego podejrzanego dźwięku. Strych wypełniał odgłos miarowo uderzających o dach kropel deszczu. W powietrzu czuć było duchotę, zupełnie jak przed nadciągającą burzą.

Aiello odwrócił się od okna i sięgnął do najbliższej szafki. Jego wzrok zatrzymał się na zakurzonej obrazie, o którym opowiadał Frankowi. Miał dziwne wrażenie, że skulona na krześle, nakreślona niedbale sylwetka, przedstawia jego samego. Przeniósł obraz do światła, ostrożnie wodząc po nim dłońmi. Zamazany podpis artysty nie dawał mu spokoju. Zupełnie, jakby komuś obsunął się palec. Nagle doznał olśnienia. To nie był jego podpis... Teraz widział wyraźnie. Koślawe litery ułożyły się w całość. Portret był dziełem Merrida...

Gareth niemal wypuścił obraz z ręki. Ciężko oddychając, zaczął uważnie oglądać ramę, do której przyczepiono płótno. To, czego szukał, nie znajdowało się jednak na koszmarnym obrazie. Znak został wyryty na obłuzowanej desce podłogi, którą wcześniej zakrywała sztaluga. Zatarły napis wydrapano czymś ostrym. Brzmiał, jak ze świata koszmaru: „Broń się”.

Pod deską od podłogi Gareth znalazł służbową broń starego Merrida. Zważył rewolwer w dłoni i na czoło wystąpiły mu krople potu.

Drzwi wejściowe trzasnęły dokładnie w chwili, gdy wszedł na schody. Przez moment zastanawiał się, czy nie wrócić na górę, ale wolał unikać niewygodnych pytań Anah. Nie

lubiła, gdy chodził na strych. Pistolet Merrida włożył sobie z tyłu za pasek od spodni. Czuł, jak zimna lufa rewolweru wbija mu się w skórę tuż przy kości ogonowej. Nie zdążył nawet sprawdzić, czy broń jest zabezpieczona. Pokonał ostatnie schodki najciszej, jak tylko potrafił. W chwili, gdy jego żona pojawiła się w korytarzu, stał już przy stoliku z telefonem. Za plecami miał drewnianą ścianę pokoju.

Anah przystanąła na moment. Gdyby nie narobiła hałasu wejściowymi drzwiami, pewnie w ogóle by jej nie usłyszał. Zawsze poruszała się niezwykle cicho i z gracją. Teraz płynnym ruchem ręki pozbyła się pajęczyny dyndającej przy jednym z pejzaży namalowanych przez jej ojca.

Musiała poczuć na sobie spojrzenie Garetha, bo odwróciła głowę. Pamiętał, jak bardzo zafascynowały go jej delikatne rysy twarzy, kiedy zobaczyli się po raz pierwszy. Kłopot polegał na tym, że teraz nie miał pewności, czy wspomnienie to jest prawdziwe, czy nie. Anah odziedziczyła swoją ciemną karnację po matce. Także ich dzieci były do niej niezwykle podobne. Śmiali się, że dziewczynki otrzymały urodę po mamie i babci, a wyobraźnię po tacie i dziadku. Gareth przeklinał to ostatnie.

Anah otrzepała dłonie i szeroko się uśmiechnęła. Zawsze, gdy była wesoła, mrużyła oczy.

- Nie uwierzysz, kogo spotkałam pod lasem - powiedziała, podchodząc do niego i wspinając się na palce, aby pocałować go w policzek. Gareth poczuł, że zahaczył o coś kolbą pistoletu Merrida i broń niebezpiecznie przesunęła się za paskiem.

- Chodzi o wścibskiego Billa?

- Nie, pudło - odparła, obejmując go za szyję. - Pod lasem rozbił obozowisko twój ukochany Frank!

Aiello rozciągnął usta w uśmiechu, ale gardło miał tak ściśnięte, że ledwo zdołał z siebie wykrztusić:

- Frankie? Co go tu przywiało, na Boga? - zapytał z udawanym zdziwieniem.

Modlił się w myślach o to, aby Anah przypadkiem nie objęła go w pasie, chcąc się przytulić.

- Twierdzi, że musiał się wyrwać na weekend z miasta. Chce wracać do domu pod wieczór. Nie wiedział, że tu jesteśmy. Zaprosiłam go na obiad - odparła, patrząc mu uważnie w oczy. - Gniewasz się? Jakoś dziwnie wyglądasz.

Natychmiast zaprzeczył ruchem głowy.

- Absolutnie! Jestem po prostu zdziwiony. Wiesz, jak lubię Franka. Znakomicie, że wpadnie. Zawsze kibicował naszemu związkowi, więc chyba nie zaszkodzą nam jego odwiedziny w tak ważną rocznicę.

Pocałował ją, najpierw delikatnie w czubek nosa, a później w czoło. Przymknęła oczy z zadowolenia.

- Na pewno nie przeszkodzi nam w udanym wieczorze, kochanie - powiedziała, przyciskając się do niego udami.

Gareth poczuł napływającą falę pożądania. Jej wciąż gibkie, silne ciało sprawiało, że krew uderzała mu do głowy. Przejechał dłońmi po plecach żony i zatrzymał się na pupie. Lekka sukienka w kwiaty podkreślała jej kobiece kształty. Miał ochotę wtulić się w jej biust, ale powstrzymał się w ostatniej chwili w obawie, że rewolwer Merrida wypadnie mu na podłogę. Chyba rzeczywiście zwariował, myśląc o tym, że mógłby ją zabić! W jej obecności dziwne fobie prawie natychmiast przestawały atakować jego umysł.

Patrzyła mu w oczy. Czuł niemal fizyczny nacisk jej spojrzenia. Czasami miał wrażenie, że jego żona patrzy na niego więcej, niż tylko jedną parą źrenic.

- A jak tam twoje wspomnienia? Frank pytał, jak się czujesz. Ja także mam pytanie - uśmiechnęła się. Musiała dostrzec napięcie malujące się na jego twarzy. - Pamiętasz jak to było, kiedy pierwszy raz się pocałowaliśmy?

- Pytasz poważnie? - uniósł brew.

Odszedł dwa kroki od ściany i wsunął jedną dłoń w rozcięcie sukienki na plecach Anah. Jej skóra była gładka i przyjemnie ciepła.

- Można powiedzieć, że pytam śmiertelnie poważnie, głuptasie - powiedziała.

Chrząknął nerwowo.

- To musiało być w czasie jednego ze spacerów... - zaczął. - Chyba wybraliśmy się do parku, aby obejrzeć nową fontannę. Pamiętam, że... Opowiadałem ci o tym, jak bardzo fascynuje mnie uczucie, które wyrosło pomiędzy Galą a tym zdziwaczalym artystą, Dalim. - Gareth miał wrażenie, że recytuje swoje wspomnienie.

Obrazy w jego głowie były niezwykle wyraźne. W jednej chwili niemal czuł woń otaczającego go parku.

- Byłem strasznie wzburzony - kontynuował. - W jednej z książek wyczytałem, że to, co ich łączyło, zostało we wspomnieniach Dalego mocno przerysowane. Jakiś mądrała napisał, że to autokreacja surrealisty. Zdenerwowałem się, bo sam szukałem u kobiet prawdziwego uczucia i sądziłem, że to, czego szukam, jest w tobie, że to pasja przypominająca miłość Dalego do Gali... Opowiadałem ci o tym podniesionym głosem, aż w

końcu zwróciłem uwagę na to, że od dłuższego czasu nic nie mówisz. Spojrzałem ci w twarz, a ty ścisnęłaś mnie za rękę. Dokładnie tak samo, jak Gala Dalego podczas spaceru po plaży, kiedy, nie będąc w stanie wyznać jej swoich uczuć, wybuchał tylko histerycznym śmiechem. Poczułem, że wypełnia mnie coś niezwykłego i chyba właśnie wtedy odważyłem się pocałować cię po raz pierwszy... - Gareth powiedział to wszystko niemal jednym tchem.

Anah promieniała na twarzy. Była szczęśliwa.

- Właśnie tak było, kochanie - powiedziała w końcu. - Kiedy mnie całowałeś, pryskała na nas woda z fontanny, ale my w ogóle nie zwracaliśmy na to uwagi!

Ponownie wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Tym razem długo i namiętnie. Dotykała językiem jego warg i zębów. Bez słowa protestu poddał się pieszczocie. Miał wrażenie, że jego rozszalały umysł ogarnia coraz większy spokój. Strach i niepewność ponownie skryły się gdzieś w ciemnych zakamarkach jaźni. W jednej chwili zapomniał o rewolwerze Merrida, o jego obrazie i napisie wyrytym na jednej z desek w podłodze strychu. Nie był w stanie jej skrzywdzić. Kochał swoją żonę.

Obiad był wspaniały. Anah uwijała się przy nim przez dobre trzy godziny. Przyrządziła ulubioną potrawę Garetha. Jego matka wiele lat temu powtarzała mu, aby broń Boże nie oświadczał się nigdy kobiecie, która nie będzie potrafiła upichcić mu przynajmniej trzech pozycji z katalogu jego ulubionych dań.

Wspominając matczyną przestrogę, wgryzał się w nieduże kawałeczki kurczaka ukryte pod chrupiącą panierką, oblaną przypominającym rosół sosem i czuł, że jest w siódmym niebie. O rewolwerze Merrida przestał myśleć już jakiś czas temu. Zostawił go w szufladzie szafki w sypialni. Doszedł do wniosku, że ukryta pod podłogą broń, to tylko kolejne dziwactwo byłego policjanta, mającego obsesję na punkcie bezpieczeństwa.

Frank zabawiał ich w czasie uczyty anegdotami typowymi dla myśliwych, opowiadając, jak to udało mu się upolować zająca łopatą. W chwili, kiedy talerz Garetha opustoszał, Blatty właśnie otwierał kolejną butelkę wina. Przez chwilę obaj prześcigali się w gratulacjach, wychwalając kulinarne zdolności Anah. Uśmiech nie zniknął z jej twarzy, co jakiś czas ścisnęła Garetha za rękę albo klepała go pod stołem w udo.

Przysięgał sobie w myślach, że od jutra będzie regularnie łykał wszystkie przepisane mu przez Blatty'ego pigułki. Miał już tego dość. Wystarczy tych wariactw! Chciał wznieść toast za swoją żonę i ich córki, kiedy nagle zauważył na jej szyi czerwoną pręgę. Szeroki na kilka centymetrów pas zaczerwienionej skóry ciągnął się od potylicy po obojczyki.

Zacisnął palce na kieliszku z winem. Frank musiał wyłapać jego zaniepokojone spojrzenie, bo przerwał zmagania z korkociągiem.

- Kochanie... - zaczął nieśmiało Gareth. - Zdaje się, że masz coś na karku, chyba się oparzyłaś...

Anah ponownie ścisnęła go krótko za rękę.

- Dziwne - odparła niemal beztrosko. - Nic nie czuję.

Aiello zbliżył dłoń do zaczerwienionego fragmentu skóry. Miał wrażenie, że odbarwienie stawało się coraz mocniejsze. Jakby coś działo się w ciele jego żony, w środku. W tej samej chwili poczuł, że jego łydki dotyka noga Anah. Wzdrygnął się. Dotknięcie było dziwne.

W pierwszej chwili był przekonany, że czuje jej stopę, a zaraz potem coś innego, bardziej chropowatego. Właśnie miał zareagować, kiedy wstrząsnęło nim ukłucie. Ból rozlał się tuż ponad kostką, niedaleko żyły. W ciągu trzech uderzeń serca po ciele Garetha rozeszła się fala gorąca. Ogarnęło go całkowite otępienie i bezwład. Jeszcze trochę i zwałiłby się z krzesła na podłogę. Stracił czucie. Końcówki nerwów przesyłały do jego mózgu jedynie informację o potwornym bólu. To już nie był ucisk w głowie. Kiedyś, gdy źle zrosła mu się noga, złamano mu ją na nowo i spiłowano kawałek kości. W trakcie zabiegu na moment przestały działać środki znieczulające. Takie samo cierpienie, jak wtedy, wstrząsnęło teraz jego całym ciałem. Wrzasnąłby, gdyby tylko mógł, ale nie był w stanie zlokalizować swojego języka. Jego twarz musiała zachować normalny wyraz, bo Frank na nic nie zwrócił uwagi.

Gareth chciał przewrócić oczyma. Bez powodzenia. Patrzył, nie mając pewności co do tego, czy nadal ma oczy. Słyszał, ale równie dobrze jego uszy mogły przed chwilą zostać odcięte i wyrzucone do śmietnika.

Zadzwoił telefon Blatty'ego. Frank wyjął komórkę i zaczął uważnie się jej przyglądać.

- Wybaczcie na chwilę - powiedział, wstając od stołu i wychodząc na korytarz. Zostali w jadalni sami.

W zasięgu spojrzenia Garetha pojawiła się śliczna twarz Anah. Odgarnęła włosy z czoła.

- Przepraszam, kochany - powiedziała równie spokojnie, co przed chwilą. - To silniejsze ode mnie.

Ruszyła w stronę korytarza, z którego dobiegały dźwięki telefonicznej rozmowy Blatty'ego. Spotkała się z nim w progu. Rozmawiali przez chwilę, szepcząc do siebie. Żona

Garetha chichotała. W końcu Frank powiedział głośniej „Rozumiem”, po czym oboje weszli do jadalni.

Gareth, nie czując, że robi cokolwiek, odwrócił głowę w ich stronę.

- Będę uciekał - powiedział Blatty, chrząkając wymownie. - Jeszcze raz dziękuję za przepyszny obiad! - pocałował Anah w policzek. - Wracam, bo jest drobny kłopot z jednym z moich pacjentów. Nie sądzę, abym był wam, aniołki, potrzebny w czymkolwiek, co związane jest z dalszą częścią wieczoru, więc zostawiam was samych bez większych wyrzutów sumienia - uśmiechnął się. - Będziesz grzeczny, stary byku? - pytanie zostało skierowane do Garetha.

Chciał krzyknąć z bólu, ale zamiast tego usta bez jego wiedzy powiedziały jedynie:

- Będę wzorowym mężem, chłopie! Do zobaczenia za tydzień... - Kiedy skończył mówić, zobaczył, jak jego ręka unosi się do góry i wykonuje pożegnalne machnięcie. Zupełnie, jakby w skórę wszyto mu linę, jak u drewnianej marionetki.

Frank skinął mu głową.

- To do szybkiego - powiedział i tanecznym ruchem odwrócił się na pięcie. - Ach, byłbym zapomniał... - przystanął.

Gareth był nadal biernym obserwatorem rozgrywającej się przed nim sceny.

- Ta dziewczyna, Ellie, twoja koleżanka... - zwrócił się do Anah. - Chyba się w niej zakochałem, wiesz? - roześmiał się. - Jak wrócić, musimy gdzieś razem wyskoczyć. Dzięki, że mnie z nią poznałaś! Wspaniała kobieta. Jestem niemal pewien, że tak wspaniała, jak ty!

- Cieszę się - odparła Anah, mrużąc ciemne oczy.

Czerwona plama obejmowała już niemal cały tył jej szyi. Przypominała Garethowi klepsydrę.

- Zmykam! - Frank ruszył do drzwi.

Po chwili hałasy w holu ucichły. Aiello słyszał dźwięk przekręcanego w zamku klucza i odgłosy zakładanego na drzwi łańcucha. Ból pętający jego ciało zaczął ustępować uczuciu całkowitego zagubienia i odrealnienia. Nie miał nóg, rąk ani brzucha. Przestał istnieć...

Do jadalni lekkim krokiem weszła jego żona. Zdjęła buty i rzuciła je w kąt. Przez chwilę nie widział jej twarzy, ale kiedy wreszcie odwróciła ją do światła, zobaczył, że czerwień zalewa także jej buzię. Ich spojrzenia się spotkały.

- Nie chcę, abyś mnie taką pamiętał, kochany - powiedziała i zgasła wiszącą nad stołem lampę.

Na moment otoczyła go kojąca ciemność. Stracił ją z oczu. Widział jedynie niewyraźny, ciemny kształt. Z jej gardła wyrwało się głębokie westchnienie rozkoszy pomieszanej z szaleństwem. Takie samo, które często wypełniało mu głowę, gdy się kochali. Rzucała się wtedy pod nim i wbijała mu w ramiona paznokcie, wyprężając całe ciało i wyrzucając z siebie szybkie, urywane oddechy.

Niewyraźny kształt, znajdujący się przed nim, nabierał konturów. Rozrastał się. Pęczniał, powoli zbliżając do niego. Na początku słyszał, jak stopy wykonują dwa kroki. Po chwili zdał sobie sprawę z tego, że szmerów towarzyszących przesuwanym się po podłodze kończyłom było znacznie więcej. Coś patykowatego pchnęło go do tyłu. Nic nie czując, przewrócił się razem z krzesłem. Później zaczął się przesuwać po podłodze. Ciągnęła go w stronę korytarza.

Obok wirującego mu w głowie uczucia oszołomienia, pojawiła się także dziwna pustka. Zupełnie tak, jakby ktoś nagle opróżnił większą część umysłu. Stało się to zupełnie nagle, jak spuszczenie wody w toalecie. Jego wspomnienia nie istniały, podobnie jak on sam. Pamiętał jedynie rocznicowy obiad. Z trudem przypomniał sobie swoje imię.

Po chwili byli już na dworze. Słyszał przed sobą dziwny tupot i miarowe posykiwanie. Tak jakby ktoś naciskał miech wypuszczający gorące powietrze. Nad sobą widział gwiazdy i pozaginane konary ruszających się na wietrze drzew. Jego korpus szurał po piasku. Gdzieś z przodu rozległ się plusk wody. Musieli być blisko jeziora. Zza chmury wyszedł księżyc i Gareth nie tyle poczuł, co zrozumiał, że unosi się na wodzie. Otoczył go chłód. Umysł spętał strach przed utonięciem. Chciał nabrać tchu i zacisnąć usta. Tafla wody zamknęła się nad jego głową.

Panika w końcu pozwoliła mu wydusić z siebie krzyk. Bąbelki powietrza uleciały do góry. Coś ciągnęło go w dół, w czarne odmęty jeziora. Opuszczał go paraliż.

Otoczający go chłód zmienił się w okropną falę zimna. Woda zalewała wytrzeszczone oczy. Oddech się wymykał i Gareth nie mógł nad nim zapanować. Zaczynał się dusić i wtedy impet siły, która ciągnęła go ku dołowi, wyraźnie zmalął.

Starął się zamachać rękoma, ale nadal bezskutecznie. Woda dookoła zawirowała i tuż przed nim ukazała się czarna, kosmata głowa. Otaczająca ją korona z włoskowatych narośli falowała rytmicznie. Na Garetha spojrzęło sześć par ciemnych oczu, które należały niegdyś do jego żony. Dziwny patykowaty twór dotknął jego twarzy i otoczył jego czoło trzęsącą się bańką powietrza. Gareth ostatni raz w życiu nabrał tchu. Pociągnęła go do przodu. Tuż przed nim pojawił się przypominający rozciągnięty balon kształt. Pod wodą, niczym kropla misternie upleciona z sieci, unosił się drgający kokon. Brunatne nici otaczały srebrne bąbelki.

Gareth zobaczył wewnątrz powykręcane truchła dwóch łań. Ich szklane oczy patrzyły wprost na niego. Wyciągnięte języki delikatnie falowały poruszone siłą czarnej toni. Coś brutalnie wpełzło go do środka. Siła wciskała go w martwe ciała zwierząt. Nie zdołał stawić jej oporu. Odwrócił głowę. Tuż ponad siecią miotał się ogromny kształt. Patykowate kończyny poruszały się w szalonym tańcu.

Resztką oddechu wydostała się z ust Garetha. Zaczynał tracić świadomość. Przed oczyma ostatni raz zamajaczyła mu śliczna twarz jego żony. Szeptala coś o tym, że najważniejsze jest przetrwanie ich dzieci, że ona umiera, tak samo, jak umierała jej matka. Podobnie umierać będą ich córki i córki innych podobnych do niej. Kiedy skończyła mówić wprost do jego umysłu, powoli oddaliła się poza zasięg jego wzroku. Odpływała dalej i dalej. Gareth zamknął oczy, po czym nadludzkim wysiłkiem otworzył je po raz ostatni. Zobaczył, że wpatrują się w niego dwie dziwne, pająkowate istoty. Pojawiły się zupełnie znikąd. Teraz to one szeptały mu wprost do ucha.

Zanim pierwsza z nich rozerwała mu ciało, miażdżąc kości i wrywając kawał mięsa, przekrzykując się nawzajem, obie opowiedziały o trawiącym je głodzie. Mówiły o tym, że już niedługo będą przygotowane do macierzyństwa i że powinien być dumny ze swoich córek. Z tą myślą Gareth odpłynął w niebyt, a jego resztki opadły na dno jeziora.

PRZYJDZIE
I PO CIEBIE...

Then it all crashes down
And you break your crown
And you point your finger
But there's no one around
Just want one thing
Just to play the king
But the castle's crumbled
And you're left with just a name...

Metallica

Miałem sen, sen o tym, jak wyglądał świat przed nadejściem mrozu. Posklejane na chybił trafił wspomnienia, które sprawiają, że ściska mnie w żołądku. Czas, gdy byłem nikim - pogardzanym i odpychanym. Zawsze, kiedy moje życie wisi na włosku, przywołuję w myślach ten koszmar i nagle wracają mi siły.

Zdobycy Bieguna Północnego podczas swych wędrówek przez lodową pustynię nucili w myślach teksty piosenek, rozmyślali o obejrzanych w życiu filmach i o książkach, które zostały im do przeczytania.

Wszystko po to, aby zwalczyć w sobie narastające uczucie obojętności. Aby nie zwariować od otaczającej ich zewsząd bieli. Przy temperaturze minus czterdzieści stopni nawet wyjęcie czegoś z kieszeni staje się walką z obojętnością. Tak przynajmniej opowiadała mi pani bibliotekarka. Ostatnio czyta mi do snu pamiętnik jednego z takich podróżników. Lubię słuchać tych historyjek, choć w moim przypadku wygranie tej wewnętrznej walki ze słabościami jest znacznie prostsze. Wystarczy mi kilka wspomnień sprzed pięciu lat i zaczynam działać jak automat.

Zima przyszła nagle. Pamiętam, że wszyscy byli nią zaskoczeni. Temperatury okazywały się nie do zniesienia. Pękały rury od ogrzewania, psy zamarzały w budach, a idąc z mieszkania do piekarni, można było nabawić się na odsłoniętych policzkach poważnych odmrożeń. Pojawiały się zawsze w postaci obrzydliwych, białych bąbli. Nie była to jednak pierwsza tak ostra zima w historii, więc nikt specjalnie nie przywiązywał do całej sprawy wagi. Prawie rok później biel śniegu była obecna już niemal w każdym miejscu naszego globu, a zima trwała nadal. Wtedy pojawili się oni...

Obcy... Przybyli dokończyć to, co zaczął mróz. Nie było żadnej walki. Kolejne punkty oporu padały bardziej pod naporem wiatru, który z temperatury zerowej może uczynić minus dwanaście, niż w związku z wyjątkowo skuteczną ofensywą najeźdźców. Doskonale znali nasze słabe punkty. Musieli planować ten najazd od bardzo dawna. Zakuci w czarne pancerze. Kiwający się na swoich krótkich nogach, barylkowaci i na pierwszy rzut oka niezdarni. Zupełnie, jakby w zbroję ubrać pingwina... Po latach okazało się, że skojarzenie to nie jest

wcale aż tak szalone, jak mogłoby się wydawać. Nie byli wprawdzie pingwinami sensu stricto, ale ptaki te okazały się dla nich tym, czym dla ludzi były szympansy - nieco przygłupimi kuzynami. Pełniły rolę żywej sondy badawczej, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, po co są na ziemi. Przez stulecia spokojnie testowały dla nich naszą planetę.

Prawdę mówiąc, pingwiny zawsze wydawały mi się dziwne...

„Charlie, one i człowiek to jedyne kręgowce, które chodzą wyprostowane” - powiedziała mi kiedyś pani bibliotekarka. Nie do końca pojmowałem znaczenie jej słów, ale cóż mi było po takiej wiedzy? Nie prowadziłem badań nad obcymi. Ja ich zabijałem...

Kłopoty zaczęły się w chwili, gdy dotarłem na teren Ojczulka. Ukryty między ruinami kościoła spokojnie czekałem na odpowiedni moment, aby przedrzeć się w stronę centrum miasta. Zwykle działałem sam, ale tym razem miało być inaczej. Wtargnąłem na śmieci wielebnego niechcący. Całe szczęście, że zawsze miał do mnie słabość. Inaczej kule śmigłyby mi nad uszami.

Pamiętałem jednak doskonale, że on jeden nigdy nie podniósł na mnie głosu, nigdy nie obraził. Przed nadejściem mrozu nie szanował mnie jak inni, ale przynajmniej czuł do mojej osoby litość. Teraz, kiedy wszystko się zmieniło, właśnie wspomniana litość zapewniała mi spokój. Mieliśmy dobry układ, mimo to zwykle nie zapędzałem się w okolice kościoła. Chwilowo jednak nie miałem wyjścia.

Jak dotąd obcy nie pokazywali się w większych grupach. Małe skurwiele czekały, aż załatwi nas zima. Wysyłali tylko małe patrole - po dwa, trzy osobniki. Pojawiali się zawsze tam, gdzie robiło się ciepło. Zapalona zapalka jeszcze ich nie przyciągała, ale ognisko potrafili odnaleźć w kilka minut. Widać ciepłoko skubańcom nie służyło. Idąc do centrum, prawie wpadłem na jeden taki patrol. Dosłownie w ostatniej chwili schowałem się za zaspą zmrożonego śniegu.

Moje zamarznięte ubrania zdawały się ważyć tonę. Co chwilę wstrzymywałem oddech, żeby kryształki lodu nie dostały mi się do płuc. To mógł być mój koniec. Zacząłem już rozmyślać o przeszłości, aby dodać sobie otuchy i wtedy na patrol napatoczyły się niedźwiadki. Mimo że miasto mieliśmy nieduże, przed najazdem działało w nim całkiem niezłe zoo. Po zmianie klimatu, żyrafy i słonie trafił szlag, ale para polarnych misiów szybko się zaaklimatyzowała.

Możecie mi wierzyć - nawet pancerny pingwin nie jest na tyle głupi, aby zadzierać z dwoma wkurzonymi niedźwiedziami. W naturze w ogóle nie przypominają one tych potulnych i słodkich pluszaków z reklam coca coli - w naturze jedno uderzenie łapy takiego

niedźwiedzia potrafi przeciąć człowieka na pół. Kroiliście kiedyś arbuza? Tak to właśnie wygląda.

Pancerni, widząc zbliżające się misie, wzięli nogi za pas. Gdy tylko odeszli na bezpieczną odległość, poczłapałem w stronę kościoła. Wejście do środka zagradzała spora część zwalonej dzwonnicy. Mróz powoli kruszył kamienie. Na szczęście znałem przejście.

Trzeba uczciwie przyznać, że Ojczulek wcale nieźle się urządził. Żaden pancerny Pingwin nie dostałby się do wnętrza jego świątyni, chyba że te małe gnojki nauczyłyby się wreszcie latać. Podziwiałem starego za obrotność. To akurat się w nim nie zmieniło. Obrotność i skłonność do litowania się. Ostatniej cechy mógłby się już pozbyć...

- Musisz to robić? - zapytał, gdy tylko przysiedliśmy za ołtarzem, a ja, czując wyraźną ulgę, ściągnąłem wreszcie z głowy przerobiony wedle mego pomysłu narciarski kask.

- Nie twój interes, Ojcze - odparłem sucho.

Podał mi kubek z parującą wodą.

- Nie odrzucaj nadziei synu, zawsze jest nadzieja, przebaczenie i nadzieja. Ty możesz być jednym i drugim.

Gorąca woda smakowała dziwnie metalicznie.

- Nie ma żadnej nadziei ojczulku - odpowiedziałem, uśmiechając się krzywo. - Sam powinienes o tym najlepiej wiedzieć. Zjadłeś już całą panią Totti? Oby małe co nieco jeszcze z niej zostało, nieprędko upoluję dla księdza coś nowego.

Splunąłem, bo on odwrócił głowę i nie patrzył mi w oczy. Znowu ta jego litość, a dziwce się należało. Słaba i zrzędliva jędza, która kiedyś pracowała dla fiskusa. Pani bibliotekarka powiedziała mi, że to prawie tak samo, jak gdyby pracowała dla Śmierci. Nie wiem dlaczego się nie lubiły. Kłopot lady Totti polegał na tym, że ja lubiłem Ojczulka i panią bibliotekarkę. Zabiłem ją szybko, bez uprzedzenia, żeby się nie przestraszyła, bo wtedy mięso robi się niesmaczne.

Tatusiek znowu spojrzął mi w oczy.

- Poprowadź nas - powiedział tym swoim natchnionym głosem. - Tobie się uda!

Roześmiałem się na to całkiem szczerze.

- O nie! - odparłem. - Nie mogę wami dowodzić. Nie chcę! Mógłbym wtedy nabrać złych manier i zabić księdza za nieposłuszeństwo, za niewykonanie rozkazu, za niepodporządkowanie się... A tak, nie ma zasad, jestem tylko ja i wy.

Pokiwał smutno głową.

- No, to idź, jeśli musisz... Wiesz gdzie go szukać?

- Pewno - odparłem. - A żarciem niech się ojciec nie martwi, póki ja tu jestem, jakoś sobie poradzimy.

Wymknąłem się cichaczem z kościoła, pokrzepiony gorącą wodą i solidnym łykiem brandy, którą Ojczulek składował w szafce na mszalne wino. Daleko jednak nie uszedłem. Przyciemniane gogle w zimie to podstawa, inaczej przy słońcu i śniegu ślepotą murowana. Niestety przez kilkanaście minut zaraz po założeniu ciemnych okularów nie wszystkie rzeczy natychmiast się dostrzega. Ja z pewnym opóźnieniem zobaczyłem jednego z pancernych koleżków. Widać któryś z wesołków odłączył się od stada umykającego przed misiami.

Przydybałem gnojka na tym, jak stał nieruchomo i wgapiał się w zamarznąłą miejską fontannę. Pamiętałem jeszcze, jak ją stawiali. Mer miasta był z niej bardzo dumny, ponoć zaprojektował ją ktoś nieprzyzwoicie sławny. Teraz siedziały na niej pingwiny z naszego zniszczonego zoo. One też szybko odnalazły się w nowej rzeczywistości. Pancerny przyjaciel stał kilka metrów od nich i obserwował je wyraźnie zafascynowany.

To mnie uratowało. Wycofałem się najciszej, jak się dało i ukryłem za wrakami samochodów przy głównej ulicy. Nie zabrałem ze sobą zbyt wiele broni, bo jej ciężar opóźniałby tempo mego marszu. Tak oto kryłem się za jakimś zrujnowanym furgonem uzbrojony jedynie w mój ukochany sportowy łuk.

Pancerz obcych był cholernie twardy, ale wprawny strzelec mógł z odpowiedniej odległości trafić w szczelinę pod jednym ze „skrzydeł”. Najskuteczniej zabijały ich zapalone strzały. Co do samych skrzydeł, to nazywam tak coś w rodzaju osłony na rączki. Nasi kosmiczni koledzy mieli bowiem dłonie. Małe, skórzaste, chwytne rączusie wyposażone w kciuk! Tak jest, kciuk i jeszcze dwa palce. Taki prezent od ewolucji dawał im możliwość całkiem sprawnego posługiwania się bronią. Nie da się w kilku słowach objaśnić działania ich pukawek, starczy powiedzieć, że technicznie bili nas na głowę. Likwidowali ludzi tym, na czym znali się najlepiej i czego mieli pod dostatkiem - lodem.

Pan ciekawski także trzymał flintę. W bezpośrednim starciu, bez kilku sekund na to, aby dobrze wymierzyć i strzelić, nie miałem z nim szans. Dodajmy do tego jeszcze konieczność zapalenia strzały w prawie pięćdziesięciostopniowym mrozie. Byłem załatwiony.

Obmyślałem właśnie dogodną strategię działania, kiedy nagle moją uwagę zwrócił ruch po drugiej stronie ulicy. Księżulo wylazł ze swojej nory. Najwyraźniej także zauważył naszego badacza przyrody, bo przemykał się pomiędzy ruinami, utrzymując bezpieczny dystans. Robił to zresztą dość niezgrabnie, bowiem gruby kombinezon, który miał na sobie,

znacznie spowalniał jego ruchy. Dał mi jakieś znaki i wnet pojąłem jego boski zamysł. Stary krzeszał ogień.

Kilka minut później zapłonęła z sykiem jedna ze starych beczek, które walały się ze sto metrów dalej. Płomień wprawdzie tylko na chwilę wystrzelił do góry, ale to wystarczyło, aby odwrócić uwagę pancernego. Niezgraba uniósł swą broń i kiwając się na boki, począł w kierunku gorąca. Ja natomiast starałem się najlepiej jak umiałem wykorzystać dany mi czas. Znowu polowałem.

Łuk zatrzeszczał w sposób, który słyszałem już setki razy. W szkole byłem świetnym strzelcem. To jedyne, czego się tam nauczyłem. Oczywiście strzelanie z łuku, gdy na rękach ma się puchowe rękawice, nie jest prostą sprawą. Ja jednak po prostu miałem do tego talent.

Strzała pomknęła w kierunku celu. Zdawało mi się, że po drodze zgasła, ale końcówka i tak musiała być nadal rozgrzana.

Trafiłem w dziesiątkę. Wbiła się w skubańca prawie po same lotki. Musiał być tym faktem mocno zdziwiony. Przypominająca sraczkę posoka wytrysnęła spod zbroi. Obcy zrobił dwa nieporadne kroczyki. Łeb odchylił do góry, zupełnie jakby w ostatniej minucie życia zachciało mu się spojrzeć w niebo. Wreszcie zatoczył małe kółko i runął z chrzęstem w śnieg.

Minutę później byłem już przy nim. Nigdy nie zdierałem z nich pancerza, ale gdy zdychali, lubiłem patrzeć przez szybkę hełmu na puste, nieruchomiejące oko. Robiło się tak samo szklane, jak u umierającego człowieka.

Gdzieś z przodu księżulo szybko zasypywał śniegiem ogień. Już miałem wyszarpnąć z obcego strzałę i wyjść mu naprzeciw, kiedy nagle pancerny zagadał. Dźwięk dochodził z pudełeczka przyczepionego na jego torsie. Wcześniej takich nie widziałem. Wcześniej żaden z nich nie gadał...

- Człowiek... - wyskrzecztał i zdechł.

Nic więcej, tylko jedno słowo, ale i tak zrobiło to na mnie pewne wrażenie. Głos miał wyraźnie przetworzony. Przypominał ten, który słyszy się w kreskówkach, ale może nieco bardziej metaliczny.

Ojczulek nawet nie podchodził. Wiedział, że za chwilę może się tu zjawić reszta przyjemniaczków. Pomachał mi z daleka i tyle go widziałem. Znikł za jednym z rumowisk, a ja ruszyłem w dalszą drogę.

Miałem do wykonania konkretne zadanie. Zabijanie pancernych traktowałem niemal jak pracę. Przyzwyczailem się do tego. No i co tu dużo kryć, byłem w tym dobry. Hobby opierało

się jednak na czymś nieco innym. Hobby miało pomóc mi w tym, aby raz na zawsze pozbyć się koszmarów - snów o przeszłości, kiedy to traktowano mnie gorzej niż psa.

Cóż to za trywialny cel w życiu? - powiecie pewnie. Przecież nie ma niczego strasznego w byciu poniżanym. Człowiekowi mogą przydarzyć się gorsze rzeczy.

Doskonale znacie to uczucie z roboty, z rodzinnych spotkań, z wizyty na poczcie, z byle egzaminu. Przyznać się zaraz, które z was nie jest winne płaszczeniu się i uleganiu fanaberiom swojego szefa lub szefowej? Które z was nie wchodziło w tyłek panu policjantowi, gdy okazywał swą władzę, wypisując mandat? Wszyscy to kiedyś robili, na każdego coś się znajdzie. Powiedzcie, ile razy będąc w podobnej sytuacji, przeklinaliście w myślach tego, kto was upokarzał? Nie marzyliście czasem o tym, aby wasz szef na chwilę przestał być szefem, tak aby szanse się wyrównały? Lubię o tym marzyć. On mówi - wynoś się śmieciu, ja zaś zamiast tylko trzasnąć drzwiami, łapię skurwiela za łeb w jego własnym gabinecie i walę tłustą mordą o blat, raz, drugi i trzeci. Krew malowniczo zalewa niepodpisane jeszcze umowy.

Tyle razy marzyłem o tym, aby role w moim życiu się odwróciły. Mówiłem sobie - Charles, weź się w garść, kiedyś jeszcze zapłacą za to, że uczynili cię nikim, że ich pycha zmarnowała ci życie.

I oto, o ironio - niemożliwe stało się możliwym. Co prawda nie przewidziałem tego, że przyjdzie wieczna zmarzlina, a wraz z nią pojawią się pancerni, ale cóż z tego? Teraz ja jestem na górze, teraz to mnie się słuchają. A jestem jedynie prostym chłopakiem z przedmieścia. Nie zawistnym, ale pamiętliwym. Zacząłem sobie z czasem przypominać, kto wyrządził mi kiedyś krzywdę i z kim powinienem wyrównać rachunki. Pomysł na takie hobby przyszedł mi do głowy niespodziewanie.

Oto kilka miesięcy temu idę sobie ulicą, żeby zapolować, a tu nagle z walącego się teatru, w którym prawdę mówiąc, nigdy nie byłem, wypada jakiś facet. Jego gęba wydała mi się znajoma. Przez kilka sekund nie mogłem jednak zaskoczyć, skąd go znam. Zmyliła mnie broda i kombinezon. Pamiętałem oczy tego skurwiela. Małe, świńskie oczka, które tyle razy patrzyły na mnie z pogardą. Okazało się, że to mój obrońca z urzędu! Przydzielił mi go system, który złapał mnie za pobicie pewnego gnojka. Pana prawnika zupełnie nie obchodziło, czy tłukąc tamtego bydlaka, miałem rację, czy nie, a Bóg mi świadkiem, że zasłużył sobie nawet na większą karę. Ja byłem ten zły, ten z biednej dzielnicy, wyrzutek, po którym nikt nawet nie zatęskni. „Popelnisz u nas jeden błąd i po tobie synu” - tak działał ich system, zbiór zasad niemających żadnego sensu. Wiedząc już, kim jest gość z teatru, długo się nie zastanawiałem.

Miał pecha, bo akurat wtedy targałem do swojej jamy torbę pełną kijów do golfa. Chwilę wcześniej znalazłem je gdzieś zagrzebane. Nigdy nie rzucałem takim kijem, ale jak już mówiłem, mam talent do pewnych rzeczy. Trafiłem pana adwokata prosto w plecy. Zatoczył się, wpadł na kubel i już był mój. Nie miał żadnych szans. I ten rozkoszny wyraz na jego twarzy, gdy zrozumiał wreszcie z czyjej ręki zginie... Gdyby nie lód, wbiłbym mu głowę w ziemię...

Tak się zaczęło. Nasze miasto nie było znowu aż tak wielkie. Dużo ludzi zginęło w ciągu pierwszych dwóch lat mrozów, ale paru z mej osobistej listy rachunków do wyrównania miało szczęście przeżyć. A kiedy moja nowa społeczna pozycja dostatecznie się już ugruntowała, informacje na ich temat same do mnie przychodziły. Ostatnią przekazała mi pani bibliotekarka. Okazało się, że dyrektor szkoły, z której niegdyś mnie wyrzucono, wciąż jest na chodzie. Zajmował czołowe miejsce na liście. Zasłużył na poważną rozmowę z jednym ze swoich byłych uczniów. Miejsce jego pobytu znałem od wczoraj i to właśnie ono stało się celem mojej wędrówki przez miasto.

Profesor Oswald mieszkał kiedyś przy ulicy Parkowej. Niegdyś było to urocze miejsce, otoczone z trzech stron zielenią, bezpiecznie ukryte za murem strzeżonej dzielnicy. Obecnie staruch chował się podobno na komisariacie policji.

Robiłem co mogłem, aby dotrzeć tam przed zmrokiem. Po zachodzie słońca temperatura spadała o kolejne trzydzieści stopni i na odsłoniętej przestrzeni zabijał dosłownie pierwszy oddech. Nie miałem najmniejszej ochoty sprawdzać, jak to jest, gdy z zimna odpadają nos i uszy.

Na miejsce dotarłem w ostatniej chwili. Stary żelbetonowy budynek wykonano solidnie jeszcze w czasach, gdy największym światowym zagrożeniem był terroryzm. Wprawdzie schody prowadzące do gmachu rozsypały się w proch, ale wejście przez podziemny garaż stało dla mnie otworem.

Posuwałem się ostrożnie. Nie chciałem robić zbyt wiele hałasu. Ostatecznie przecież w środku mógł być ktoś jeszcze. Co prawda nie sądziłem, aby ktokolwiek zechciał się wtrącać w moje osobiste sprawy, ale na posterunku policji broni nie brakowało. Ja zaś nie miałem na sobie pancерnej zbroi, a jedynie pokryte warstewką lodu ubranie, skompletowane w ruinach sklepu dla ludzi zajmujących się wysokogórkimi sportami. Ciepłe, ale nie kuloodporne.

Sprawnie pokonałem schody przeciwpożarowe i bez problemów dostałem się do środka. Wszędzie wały się pokryte szronem, porzucane sprzęty. Im bliżej centrum

budynku, tym mniej zimna. - Proszę, proszę - pomyślałem z niejakim podziwem. Ostatecznie profesor nie był więc aż tak wielkim idiotą, jak mogłoby się wydawać.

Schronił się w dawnym pomieszczeniu przesłuchań. Na pewno widzieliście je setki razy w policyjnych filmach - dźwiękoszczelny pokój z weneckim lustrem. Podejmując niewielkie ryzyko, mógł w nim nawet rozpalać ognisko! Pancerni zapewne nie widzieli ciepła przez tak grube ściany jak te.

Tam go właśnie zastałem. Był w środku, a ja przyglądałem mu się, bezpiecznie ukryty za szybą. Klęczał na podłodze i szarpał się z puszką. Widać miałem mu przerwać kolację. Wyposażył swoją norę także w świece i piecyk. To ci dopiero! Cwany lis musiał tu być stosunkowo od niedawna, inaczej ktoś przede mną na pewno spróbowałby pozbawić go takich komfortów. Wyobrażałem sobie, jak okutany koczykiem staruch siada przy piecyku, wcina konserwę i wmawia sobie, że jest tak jak kiedyś. Brakowało tylko tego, żeby poczytywał sobie książkę!

Pan wygodnicki wreszcie otworzył konserwę, a ja postanowiłem jak najszybciej przenieść się do jego lokum razem z panią bibliotekarką. Ostatecznie nie była znowu wcale taka stara. Piecyk profesora mógłby ją znacznie ożywić. Razem dawalibyśmy sobie mnóstwo ciepła - piękna wizja. Pozostało mi tylko jedno, zabić Oswalda.

Naturalnie miał broń. Musiałbym być idiotą, zakładając, że zgromadził wszystkie dobra, nie trzymając pod poduszką czegoś, co strzela do bliźnich. Kiedy myślałem o tym, jak wygodnie zdołał się tu urządzić, przez moment czułem do bydlaka nawet odrobinę sympatii. Zupełnie jakbyśmy byli do siebie trochę podobni. Tylko trochę...

Chwyć za gnata w chwili, gdy pojawiłem się w drzwiach. Ogień odbijał się w jego łysinie i okularach w grubej oprawie. Kiedyś miał inne, te albo znalazł albo zdarł z trupa. Dałem mu fory i czas na reakcję, ale jak to mówią - uczeń przerasta mistrza. Profesora zgubił wiek i ciepło. Wyraźnie nie był w formie. Widać co najmniej od kilku już dni nie walczył o życie. Zdaje się, że uspiło to jego czujność. Nie był też dość szybki. Pierwsza strzała przeszła mu ramię. Wrzasnął, upadając do tyłu. W chwilę potem przyglądałem się jego twarzy. Czekałem na to samo spojrzenie, którym obdarzył mnie mój adwokat.

- Charles... - wystękał Oswald.

- Profesorze...

- To ty, to naprawdę ty!

Byłem pod wrażeniem. Nie sądziłem, że tak dobrze mnie zapamiętał.

- To ja - odparłem, szczerząc się okropnie, bo radość dosłownie mnie przepelniała. - Witam, witam! Cieszę się, że utkwilo panu w pamięci moje imię. Czyżby kwiecisty język, jakim się do pana zwracam, nie przypominał języka starego dobrego Charliego, co?

Uniósł brew, chyba nie do końca rozumiejąc.

- Mieszkam teraz w gmachu biblioteki, wie pan? Sporo czytam... - wyjaśniłem. - Ale pan, profesorze, nie dał mi kiedyś szansy rozwinąć skrzydeł.

- Słucham?

W oczach miał szaleństwo. Ja tymczasem sam się nakręcałem.

- Zrobiłeś ze mnie śmiecia, Oswald, wiesz?! - wrzasnąłem. - Ty, belfer, pogrzebałeś mnie jako pierwszy. Skreśliłeś i zapomniałeś! To był początek mojego końca! - darłem się strasznie.

- Ale, ale... - jękał się tamten.

Nie dałem mu jednak dojść do głosu i zdzieliłem w twarz.

Zupełnie tak, jak to sobie wyobrażałem, siedząc przed laty w jego pokoju i słuchając wywodu na temat tego, dlaczego nie da mi jeszcze jednej szansy. On - mądry pan profesor, wiedział o mnie przecież wszystko, byłem dla niego jeszcze jednym podpisem na papierze, decyzją o wyrzuceniu... Co działo się ze mną później, nie było już jego sprawą. Mały, żaloszny skurwiel już się nad tym więcej nie zastanawiał.

Uderzyłem ponownie i jeszcze raz, i jeszcze.

- Widzi pan ten czołg na moim biurku? - zapytał mnie kilka lat temu, gdy ogłupiały patrzyłem na niego, ściskając w rękach plik dokumentów. - Jeśli pan go rozpędzi tak, że od tego krzesła dojedzie do drzwi wejściowych, to zostawię pana w szkole. - Później roześmiał się wymownie, a ja wstałem bez słowa i wyszedłem.

Teraz nadal biłem. Z chwili na chwilę było mi od tego coraz cieplej. Uderzałem, czując na rękach krew. Poleciały zęby, kilka razy trafiłem w oko, ale wciąż nie wyływało. Boże, co za rozkosz! Wreszcie dorwałem tego bydlaka!

Wprost nie posiadałem się z radości. Gdyby nie był taki stary, może nawet pokusiłbym się o zjedzenie porządnie wypieczonego kawałka tego ścierwa! Skupiłem się na zadawaniu mu bólu. Po kilkunastu minutach jego twarz była już tylko rozpaćkaną miazgą połamanych kości, które mieszały się z krwią i skórą. Zapewne gnojek nic już nie czuł, ale i tak biłem go nadal. Wszystko to musiało najwyraźniej uspić moją czujność, bo wcale ich nie usłyszałem...

Ujrzałem wesołków kątem oka, dopiero gdy zasapany podnosiłem się z ziemi, zostawiając wreszcie truchło profesora. Było ich pięciu. Całkiem spore stadko, jak na

pancerniaki. Ciekaw jestem, od kiedy stali za moimi plecami, ale obstawiałem, że od dość dawna. Ogień odbijał się w ich czarnych zbrojach. Lekko kiwali się na boki, jakby niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. Nie miałem żadnych szans. Zarówno łuk, jak i broń profesora leżały poza moim zasięgiem. Szkolny błąd. W końcu największy z obcych wysunął się nieco do przodu. Przekrzywił odrobinę głowę, jakby chciał się czemuś lepiej przyjrzeć. Może patrzył na mnie, może na trupa, któremu jeszcze miarowo podskakiwała lewa noga, nie wiem. Dość, że głośnik na jego korpusie zatrzeszczał i usłyszałem jedno jedyne słowo...

- Zwierzęta - zaskrzeczał metalicznie obcy, a później jego kumple zaczęli strzelać...

W ten oto sposób chyba już po raz ostatni przywołuję wspomnienia z czasów przed nadejściem mrozów, przed przybyciem pancernych. Ostatkiem sił staram się zwalczyć zalewającą mnie obojętność. Tę samą, która dopada zdobywców Bieguna.

Tuż obok mnie leży martwy profesor. Chociaż wcale nie, żaden z niego profesor. Ja także nie jestem już jego uczniem. Nie ma dzielących nas zasad, pierwszy raz jesteśmy naprawdę równi. Równi w obliczu napierającej obojętności. Cieszcie się - po was też przyjdzie...

BOHATER 1916

A proud and gallant chevalier
A high man's scion of gentle mean
A fiery blade engaged to reap
He'd break the bravest in the field
'Se mo laoch mo Ghile Mear
'Se mo Chaesar, Ghile Mear...

*ze starej piosenki Mo Ghile Mear (Our Hero),
w wykonaniu Stinga i grupy The Chieftains
z płyty The Long Black Veil*

Tuż przed północą dotarli na południowy kraniec pustego okopu. Odcinek, który spieszenie przemierzali, leżał praktycznie przy samej linii ziemi niczyjej i na co dzień nie znajdowali się w nim żadni żołnierze. Jesienne deszcze, które zdawały się być wizytówką ostatnich miesięcy wojny, wypełniły go tak wielką ilością wody, iż dowództwo nakazało go na jakiś czas odciąć.

Szeregowy Fritz Gekho, zanurzony po kostki w przypominającej konsystencją bardziej zupę niż wodę ciemnej mazi, zastanawiał się, czy Anglicy i Francuzi muszą walczyć w takich samych warunkach, co on i jego koledzy? Miał już tego wszystkiego szczerze dość. Gdy dwa lata temu po szaleńczym biegu przez hamburską Speicherstadt dopadł pociągu mającego zawieźć go na front, jego wizja wojny była całkiem inna. Miał być bohaterem, zwycięzcą, otrzymać szansę, aby przeżyć swoje pięć minut, tymczasem każdego ranka dochodził do wniosku, że żadne pięć minut na niego nie czekało. Tęsknił za porannymi przechadzkami brzegiem Łaby, za starą portową dzielnicą, w której się wychował i całkiem niezłe nauczył angielskiego i francuskiego. Ciekawe, czy podczas wojny nie zastrzelił przypadkiem syna któregoś z marynarzy, którzy tak chętnie uczyli go wtedy swoich języków i dzielili się z nim opowieściami ze świata? Pewnie nigdy by nie przypuszczali, do czego w końcu Fritz wykorzysta ich wspólne nocne spotkania.

Zwolnił nieco kroku, pozwalając się dogonić sierżantowi Dumpfowi i wlokącemu się okopowemu łącznikowi. Dumpf szedł, uważnie stawiając kroki i pilnując, by wszechobecna maź nie przedostała się do wnętrza jego wysokich butów, natomiast dwudziestokilkuletni łącznik szedł ze smętnie opuszczoną głową, sprawiając wrażenie, jakby prowadzono go na egzekucję.

Fritz krzywo uśmiechnął się pod nosem. Wiedział doskonale, że jeżeli jego misja się nie powiedzie, potencjalnym rozstrzelanym nie będzie ani sierżant Dumpf, ani przygarbiony łącznik, kulkę dostanie właśnie on, Fritz.

Z rozmyślań wyrwał go aż za dobrze znany świszczący furkot. Francuzi rozpoczęli kolejne kilka minut kanonady. Dźwięk niebezpiecznie się nasilał i Fritz instynktownie rzucił się pod ścianę okopu. Wybuch nastąpił dość daleko od miejsca, w którym obecnie się znajdowali, ale największe zagrożenie stanowiły odłamki. Zwykła bomba, eksplodując, robiła

lej, a „furfoty”, hałasując niczym stado wściekłych os, jeszcze przez kilkadziesiąt sekund orały ziemię w odległości nawet kilkuset metrów od wybuchu. Uderzały na ślepo. Zabijały, tnąc człowieka na pół lub gruchocząc mu kości - wtedy najczęściej umierało się z bólu. Zwykle jednak tylko wrywały kawałki ciała, rozrzucając je w kałużach błota, które po pewnym czasie zakwitały smrodem zgnilizny. Fritz wiedział już, że jeżeli zapytano by go, jaki odgłos wydaje śmierć, odparłby, że śmierć furczy.

Ziemia tu i ówdzie rozprysła się, wpadając z pluskiem do błotnistej mazi okopu. Schylony sierżant zrównał się wreszcie z szeregowym. Nieogolony i brudny na twarzy, nieustannie marszczył wysokie czoło, przez co przypominał Fritzowi nauczyciela arytmetyki, który lał go niegdyś do krwi trzcina po rękach.

- Przynajmniej przestało padać, Gekho - powiedział, patrząc mu w oczy. - Jesteś gotowy?

Fritz wyprostował się i jeszcze raz rzucił okiem na okop, przypominający spleśniały, gnijący kawał mięsa. Z tyłu rozległa się kolejna kanonada, ale tym razem pociski tylko buczały.

- Zrobię, co do mnie należy - odparł.

W tej chwili wszystko wydawało mu się lepsze od kolejnego dnia w tym okropnym, cuchnącym śmiercią miejscu. Na moment stanął mu przed oczyma campus z rannymi, skąd wnoszono rzeźniczkę wiadra, w których otoczone szkarłatnym sosem pływały blade ludzkie stopy. Przypomnił mu się też moment szarży na stanowiska karabinów przeciwnika, kiedy to wybiegał z okopu, mając przy sobie czterdziestu kolegów, a wracał z jednym, bo pozostali powoli umierali w błocie za jego plecami.

Sierżant podał mu niewielkie zawiniątko. Była to owinięta w zabłocony papier ciemnoszara maska gazowa.

- Pamiętaj - powiedział. - Kiedy francuzi przestaną strzelać, będziesz miał jakieś pięć minut na bieg i szukanie schronienia. Usłyszysz, że ostrzał kończy nas, zaraz chowaj się w jakiejś dziurze, a jeśli uda ci się dotrzeć na ich połowę, wyrzuć broń i nie zapomnij o tej cholernej masce. Nie oglądaj się za siebie, a gdyby nagle zechciało ci się wracać, rób to na raty, tylko przypadkiem nie wal prosto na nas, bo chłopaki cię rozniosą. Jeżeli zrezygnujesz, wracaj do tego okopu, ktoś tu będzie na ciebie czekał. Spiesz się, tyle szumu będziemy robić tylko tej nocy. Dygnitarze wyjadą, a my przestaniemy marnować amunicję... I na Boga, jeśli ci się uda...

- Mam dać sygnał.

- Daj sygnał, daj sygnał, synu, że ci się powiodło, bo inaczej rano będzie rzeź.

Fritz poczuł, jak o jego pelerynę znowu zaczęły uderzać krople deszczu. Po chwili rozpadało się na dobre. Nie chcąc dłużej zwlekać, jeszcze raz obrzucił Dumpfa nerwowym spojrzeniem i przygotował się do wyjścia z okopu. Maksymalnie skupiony starał się wyrównać oddech i po chwili nie słyszał już sierżanta ani łącznika, który wreszcie ich dogonił i plótł coś trzy po trzy. Nadszedł jego czas.

Ostatni aliancki wybuch, tym razem znowu ozdobiony „furkotami”, rozległ się dość daleko po lewej stronie. Fritz Gekho zebrał się w sobie i równo z pierwszą niemiecką salwą ruszył naprzód. Zaczepił nogę o drewniane wzmocnienie ściany okopu i wyczołgał się na pole walki. Ulga, jaką poczuł, wyciągając zdrętwiałe stopy z zimnej mazi, przez którą lał przez ostatnie dwadzieścia minut była tak wielka, że niemal się roześmiał.

Przez jakiś czas biegł, prawie się nie zatrzymując. Co chwilę musiał ścierać z twarzy zalewające oczy fale deszczu i modlił się w duchu, aby nie poślizgnąć się i nie skreślić sobie nogi. Wyobrażał sobie, jak byłoby to straszne - leżeć tak bezradnie samemu i czekać, aż rozpocznie się aliancka salwa, która albo rozerwie go natychmiast, albo będzie zabijać na raty, po kawałku, odłamek po odłamku, kęs po kęsie. Przełknął ślinę, znów podejmując próbę zapanowania nad szalejącym oddechem.

Nowy mundur doprowadzał go do pasji. Ubranie było trochę za małe i tu i ówdzie obcierało, powodując dokuczliwy ból. Przy tych łachach tyle razy przeklinany przez niego niemiecki uniform wydawał się być mięciutkim i znakomicie dopasowanym surdudem. Teraz jednak Fritz miał na sobie mundur angielski, a każdy kolejny krok miał mu przypominać, że za chwilę nie będzie już Fritza Gekho. Jego miejsce miał zająć ktoś inny.

Skupiony sunął dość równym tempem przez zmasakrowane pociskami pole, w miarę skutecznie pokonując wyrastające mu co rusz na drodze serpentyny drutu kolczastego. Wszędzie dookoła leżały dziesiątki powykręcanych ciał. Biegając w strugach deszczu, co chwilę stawał na czyjejs ręce lub potykał się o wygiętą nogę, wreszcie dotarł do właściwej linii zasieków, które rozpięte były na powbijanych w ziemię drewnianych palikach. Z daleka przypominały zwyczajny płot. Oplatający go niczym dzikie róże drut, na skutek wiszących na nim od dłuższego czasu trupich ciał był w niektórych miejscach mniej napięty. Fritz prędko odszukał jedno z takich miejsc i korzystając z ostatniej minuty niemieckiej kanonady, przelazł na drugą stronę. Za „płotem” rzucił się całym ciężarem do najbliższej jamy powstałej po wybuchu. Charcząc, łapał oddech i masował zadrapanie lewe kolano.

Teraz przyszła kolej Francuzów, więc pozostało mu tylko czekać i modlić się, aby żaden aliancki pocisk nie zabłąkał się w pobliże jego kryjówki. Mógł też w miarę spokojnie pomyśleć, a naprawdę było o czym...

Trwała wojna pozycyjna i każdy zdobyty metr pola walki jego koledzy przypłacali ogromnymi stratami. Na dodatek coraz częściej Anglicy i Francuzi odnosili sukcesy. Mówiono, że na tym odcinku frontu walczą szczególnie zaciekle. Długo nie było wiadomo dlaczego, aż wreszcie dowództwo, na które sypały się gromy ze strony najwyższych władz, poznało prawdę, w którą zresztą nie chciano do końca uwierzyć. Alianci mieli bohatera. Te kilka marnych oddziałów święcie wierzyło w jakiegoś rudego irlandzkiego durnia, którego ponoć nie imaly się kule. Nazywali go Święty Geoff. Był to żołnierz, który po szczególnie zartych walkach miał nocą pojawiać się na polu bitwy i zbierać z niego wszystkich alianckich rannych. Kule nie były mu straszne i z poświęceniem ratował każdego, kto jeszcze żył, odnosząc go na własnych plecach do okopu. Ów Geoff dbał podobno także o zmarłych. Mówiło się, że spotkanie z nim, jeśli tylko miało się śmierć godną bohatera, to pewna droga do zbawienia.

Fritz miał na temat Geoffa własną teorię: jeśli każdego ranka kretyni siedzący w namiocie dowództwa mogą kazać biec ci na pewną śmierć, a wczoraj widziałeś, jak kula urwała ucho twojemu kompanowi, zaczynasz wierzyć we wszystko, nawet w skaczącego po polu bitwy irlandzkiego świętego. Zresztą, podobno na samym początku wojny było ich dwóch - irlandzcy bracia w brytyjskich mundurach, którzy przybyli na ten odcinek frontu wraz z nielicznymi posiłkami, aby wesprzeć wykrwawiających się Francuzów. W którymś ataku jeden z braci zginął, a drugi doznał objawienia... Tak przedstawiała się cała historyjka. Kiedyś były anioły z Mons, teraz znalazł się Święty Geoff.

Dla Fritza cała sprawa przedstawiała się niezwykle prosto, tymczasem jednak do niemieckiego obozu przybyła specjalna komisja, która miała za zadanie zbadać postępy w rozwiązywaniu „problemu wyjątkowo ciężkiego odcinka frontu” i w tej sytuacji ludzie ze sztabu byli gotowi podjąć wszelkie kroki, aby zadowolić władze i nie stanąć przed sądem wojennym.

Fritz nieraz już wyśmiewał tę całkowicie niedorzeczną bajkę, ale kiedy zaproponowano mu związaną z nią możliwość wyrwania się z własnego okopu, zapełnianego każdego dnia poległymi towarzyszami i ogółem bezsensu, zgodził się natychmiast. Wobec kompletnego zastoju na liniach frontu dowództwo chciało skorzystać z każdej możliwości, byle tylko złamać niezrozumiały opór brytyjskich i francuskich żołnierzy. Dlatego postanowiono, że jeżeli alianci chcą bohatera, to go dostaną. Świętym Geoffem,

pojawiającym się zawsze w zakrywającej twarz gazowej masce, miał zostać Fritz. Durne francie i angole z pewnością wpuszczą go do okopu, gdy nocą pojawi się samotnie, prosząc ich o pomoc i chwilę odpoczynku, a on przedostanie się do dwóch leżących obok siebie śmiertelnie groźnych stanowisk karabinów maszynowych i sprawi, że zamilkną. A nawet jeśli nie uda się dotrzeć do karabinów, spowoduje dość zamętu, aby nadchodzący atak jego kompanów wreszcie przełamał opór wroga i zadowolił cholernych polityków. Misja wydawała się równie szalona jak ci, którzy go na nią wysłali, ale cóż miał do stracenia? Wszystko było lepsze od kolejnego roku we własnym okopie.

Leżał nieruchomo na plecach i wsłuchiwał się w odgłosy wybuchów. Deszcz zelżał, a nad krawędziami jamy, w której się ukrywał, pojawiła się mleczna smużka wilgotnej mgły. Ciągające się sekundy ciszy dawały znać, że czas się podnieść i ruszać dalej.

Fritz ostrożnie wyjrzał z wnęki. Pół metra od niego leżało dwóch Niemców - jeden bez nóg, a drugi częściowo wbity w ziemię siłą wybuchu. Widział ich ciała tylko w burzowych rozbłyskach na tle ciemnego nieba. W tej części pola trupów było już znacznie mniej.

Nagle uderzyła go szalona myśl. Sunąca ku niemu powoli mleczna smużka, na którą nie zwracał dotąd szczególnej uwagi, mogła wcale nie być mgłą!

- Ależ z ciebie skończony głupiec! - szepnął przerażony.

Prędko nałożył maskę, łapczywie chwytając kolejne porcje cuchnącego gumą i nasączoną moczem gazą powietrza. Wreszcie, obserwując przez zaparowane szkła maski, jak mleczny obłok wolno zbliża się do niego i spływa do środka jamy, wziął się w garść.

- Co robić? - myśli mknęły mu przez głowę. Może to wcale nie jest gaz? Słyszał kiedyś, że nie rozpyła go się w czasie deszczu, a nadal kropiło. Do góry, musi wyjść z tej cholernej wnęki, im wyżej, tym bezpieczniej, tak mu powtarzano.

Wygramolił się wreszcie z dziury i nieznacznie pochylony ruszył dalej, przy okazji przypominając sobie o nieznośnym bólu w zranionym zasiękami kolanie. Przynajmniej ustało krwawienie. Na moment przystanął, aby się rozejrzeć. Przeklęta zaparowana maska utrudniała widzenie, poza tym musiał wyrównać oddech. To chyba była jednak tylko mgła, gaz miał znacznie bardziej gęstą konsystencję - przynajmniej tak mu się zdawało. Widział jego śmiertelnie groźną chmurę tylko raz w życiu i to z daleka. Wyglądała jak kałamarnica ulepiona z burzowych obłoków. Jej długie, odstające macki wiły się, wolno pełzną po ziemi, sprawiając wrażenie, jakby cała chmura żyła i działała jak inteligentne stworzenie...

Nagle zdał sobie sprawę, że nie wie, w którą stronę musi iść, a trzeba było przecież się spieszyć! Ciemna noc, mgła i to, że co chwilę biegł w inną stronę, omijając zasięki, sprawiło, że stracił orientację. O tym, że maszeruje w dobrym kierunku przekonały go dopiero smugi

niemieckich pocisków, które zawtórowały dalekim dźwiękom gromów. Głupio byłoby zabłądzić na polu bitwy - myślał, czując znów swędzące dreszcze strachu. To byłaby doprawdy idiotyczna śmierć. Zmarnował na to całe rozmyślanie stanowczo zbyt dużo czasu, stanowczo za dużo...

Para trochę zeszała ze szkieł. Otrząsnął się i pobiegł dalej. Kiedy znów przystanął, serce kolejny już raz tej nocy skoczyło mu do gardła. Zachłysnął się powietrzem, niemal wypuszczając broń i zrywając z głowy maskę - coś dotknęło jego lewej, zakrwawionej nogi. Wróg czy przyjaciel? Opanował się i obejrzał za siebie. Na ziemi leżały cztery ciała. Francuscy żołnierze. Jeden z nich poruszył niemrawo ręką i spróbował chwycić za but.

- Pomocy... - wyszeptał. Gekho nie znał za dobrze francuskiego, wybrano go na misję ze względu na jego znakomity angielski, ale nietrudno było zrozumieć, o co chodzi. - Pomóż mi - rozległo się znowu.

Niebo przecięły kolejne smugi niemieckiego ataku. Dwa pociski wybuchły niebezpiecznie blisko, a to oznaczało, że jest już prawie u celu. Fritz odwrócił się do leżącego i nieznacznie pochylił, aby mu się przyjrzeć. Chłopak miał paskudnie rozprute jedno udo i dziury w brzuchu. To, że jeszcze nie wykrwawił się na śmierć, zakrawało na cud. Nagle jego twarz, wykrzywiona do tej pory w grymasie bólu, rozjaśniła się nieznacznie. Oczy mu błysnęły.

- To ty - powiedział.

Fritz przez chwilę nie rozumiał, o co chodzi, aż wreszcie pojął, co oznacza nagła zmiana na twarzy rannego. To przez tę nieszczęsną maskę. Maskę, która najwyraźniej nie była mu potrzebna, bo ranny Francuz dość spokojnie oddychał mimo mgły.

- Tak się cieszę - szepnął znowu tamten. - Czy teraz zabierzesz mnie do nieba?

Gekho miał ochotę głośno się roześmiać. Rzeczywiście został tym cholernym bohaterem - przynajmniej w oczach jęczącego chłopaka. Wybuchy umilkły i dotarło do niego, że teraz ma szansę dotrzeć do celu całej wyprawy. Znowu rzucił okiem na rannego - był najwyżej osiemnastolatkiem, typowym piechurem, jednym z setek, które umierały każdego tygodnia. Przez chwilę wahał się - z rannym na plecach nie miał szans zdążyć dobiec do okopu przed kolejnym atakiem swoich kolegów. Zabranie go ze sobą oznaczało więc pewną śmierć. Gdyby jednak przyniósł aliantom rannego, ci z pewnością chętniej widzieliby w nim świętego... Cóż, może uda mu się znaleźć jakiegoś umierającego bliżej okopów wroga. Teraz nie mógł ryzykować. Nic nie mówiąc, wyprostował się i szarpnął ranną nogą. Francuz nie stawiał oporu. Uścisk jego ręki zelżał. Odchodzącemu Fritzowi wydawało się, że widzi wolno

opadającą bladą dłoń, ale wyobraźnia musiała płatać mu figle - nie odwracał się przecież. Nie miał zamiaru się odwracać. W milczeniu pobiegł dalej.

Mgła zgęstniała i podniosła się na niepokojącą wysokość, sięgając Fritzowi już nieco ponad łokcie. Przed sobą ujrzał niesymetrycznie porozstawiane zasieki wroga. Znajdował się teraz w najbardziej niebezpiecznej części linii frontu - to właśnie tu uderzała większość niemieckich pocisków. Biegąc, zahaczył nagle o jakiś wystający z ziemi kawałek drewna i stracił równowagę. Przez ułamek sekundy bał się, że upadając, nabije się na któryś z pozostawionych przez martwych kompanów bagnet - brudny, zardzewiały, ale nadal śmiertelnie ostry. Mleczna powłoka zakryła go, gdy runął do któregoś z lejów po bombie. Poczł, że mundur rozdziera mu się na łokciu i po chwili uderzyła go fala bólu. Ręka dosłownie paliła, nie śmiał jednak krzyknąć. Upadkowi towarzyszyło tylko krótkie mlaśnięcie błota.

Obrócił się na bok, dziękując Bogu, że nie skręcił sobie kostki. Czas naglił, więc prędko zaczął się podnosić, a następnie gramolić na zewnątrz pełnej błota dziury i nagle zamarł. Mięśnie mu stężały. Przysiągłby, że z mgły kilkanaście metrów przed nim ktoś wybiegł. Mleczny obłok jeszcze wirował, gdy postać znikwała w ciemności. Fritz zmrużył oczy. Ktoś biegł w stronę okopu wroga. Po co? Czy nie tylko jemu powierzono szaloną misję? Czyżby nic mu nie mówiąc, wysłali jeszcze kogoś, na wszelki wypadek? A jeśli tak, to kogo?

Z zamyślenia wyrwał go tubalny świst. Zbliżały się „furfoty”, niemieckie furkoty. Nie czekając na eksplozję, wtulił się w ścianę wilgotnej ziemi. Nawet przez maskę czuł odór ludzkiej zgnilizny. Błoto rozprysło się na wszystkie strony, a powietrze przeciął metaliczny śpiew odłamków. Fritz zacisnął zęby. Pocisk wybuchł tuż-tuż. Obok przeleciał kawałek drewna, zapewne część kolczastego ogrodzenia. Skupiony, oczekiwał sygnału danego przez organizm - bólu, krwi, dreszczy i serii ukłuc, która na koniec zamienia się w zalewającą człowieka falę ciepła. Jeżeli ciepło nie ustaje, zaczyna się umierać, tak mówili mu starsi koledzy.

W końcu wszystko ucichło. Tym razem organizm go nie ostrzegał. Odrobinę tylko piekła lekko rozcięta przed chwilą ręka. Gekho podniósł nieco głowę tylko po to, by zobaczyć, jak kolejny pocisk, tym razem buczący, rozsadza niewielki pagórek jakieś czterdzieści metrów od jego kryjówki. To jednak nie wszystko, zobaczył również gdzieś z boku biegnącą w jego stronę sylwetkę. Pędzącą postać rozświetliła na żółto kolejna eksplozja, ale wybuch ani na moment jej nie spowolnił - dość zręcznie uskoczyła przed nim, nie dbając

ani o wznoszący się w górę snop ziemi, ani o żar bijący od pocisku. Fritz gapił się na nią jak zahipnotyzowany.

- To nie może być prawda - szeptał do siebie.

Mundur i maska gazowa nałożona na twarz - biegnącego nie można było pomylić z nikim innym. Po chwili żołnierz szalonym skokiem przesadził kolejną rozpadlinę i ponownie skrył się we mgle.

Gekho jęknął przeciągle.

- To nie może być prawda! - powtarzał w kółko. Kto to był, do wszystkich diabłów, no kto?!

Ryzykując, podniósł się i wbił wzrok w jak mu się zdawało jeszcze gęstsze niż przedtem białe wiry. Nie zdążył wyczołgać się z kryjówki, kiedy postać pojawiła się kolejny raz - zgarbiona, niosła coś na plecach. Fritz zerwał z głowy maskę. To był ranny żołnierz, ten sam, którego kilkanaście minut wcześniej zostawił na pewną śmierć. Chłopak krzychał, a może się śmiał, Gekho nie słyszał go wyraźnie, bo kolejna bliska eksplozja niemal całkowicie go ogłuszyła. Dym szczypał w oczy. Tymczasem człowiek w masce biegł - zręcznie wymijał przeszkody, niemal nienaturalnymi susami pokonywał kolejne zalane błotem wyrwy i ani na sekundę nie zwalniał. Wtedy rozległ się strzał.

Fritz właściwie nie słyszał samego wystrzału. Stał odrobinę zgięty, nieobecny, trzymając w sztywnych rękach długi karabin. Wylatująca z niego łuska upadła tuż obok jego ciągle krwawiącej nogi.

Ranny chłopak przestał krzyczeć, a dźwigająca go postać odrobinę zwolniła. Przy kolejnym kroku nagle ostro zniosło ją w bok, aż wreszcie zachwiała się i runęła na ziemię. Fritz stracił ją z oczu. Działał teraz jak zwierzę. Cisnął gdzieś karabin i ruszył w stronę miejsca, w którym, jak mu się zdawało, tamci musieli upaść.

- Świąty czy nie, ty leżysz, a ja stoję! - warczał do siebie. - Nie ma miejsca dla nas dwóch na tej wojnie, nie ma miejsca!

Nie zwracał już uwagi na wybuchy, na to, kto strzelał i w którą stronę. Nie była już ważna ani mgła, ani maska ściskana w dłoni. Nerwy zupełnie mu puściły, pragnął jedynie zobaczyć dwa martwe, nieruchome ciała. Wreszcie je znalazł - leżały na dnie rozpadliny. Widać dobrze wymierzył, bo kula przeszła na wylot przez rannego i trafiła też tego drugiego. Obaj zastygli w powykęcanych, nieruchomych pozach, jedynie błoto dookoła ciał delikatnie falowało. Fritz zsunął się w ich stronę.

Sprawdził puls Francuza - trup, zimny trup z wykrzywioną w grymasie gębą. Kula przeszła mu przez plecy. Został jeszcze Święty. Fritz pochylił się nad nim. Ciało leżało twarzą do ziemi, maska ugrzęzła w brunatnej mazi.

- Wielki jesteś, draniu - zawołał Fritz. - Jesteś wielkim, martwym draniem!

Sięgnął trzęsącą się ręką do maski poległego. W lewym szkłe zabłysnął grzmiący gdzieś wybuch. Fritz cofnął rękę. Wybuch odbity w szkłe...

Niemiec splunął i cofnął się.

Nie ma co zwlekać - myślał. - W dziurze leżą dwa zimne trupy, a ty masz coraz mniej czasu. Teraz jest twoje pięć minut, Gekho - powtarzał sobie.

Biegł już nieco sprawniej, nie przeszkadzała mu nawet boląca noga. Wciągnął na głowę maskę i wypatrywał umocnień wroga. Minuty mijały i przeklinał znów okropnie gęstą mgłę. Zaczął nawet machać rękoma, aby ją przegonić, ale ta nie uciekała. Wręcz przeciwnie - miał wrażenie, że się do niego lepi, mokra i cierpka w smaku. Wtedy właśnie stracił grunt pod nogami.

Nie zdążył nawet krzyknąć. Z głuchym plaśnięciem uderzył o ziemię. Prawa ręka niepokojąco zaboląła w nadgarstku. Nie zważał jednak na to, zerwał się na nogi i znieruchomiał z wrażenia. Był w okopie - wydrążony tunel, specjalna deska, na której można było stać, strzelając, drewniane umocnienia ścian - wszystko było na miejscu, brakowało tylko załogi. Gdzie się podzieli broniący go żołnierze? Czemu, biegnąc, nie dostrzegł stanowisk karabinów, umocnień z worków z piaskiem, betonowych ścian bunkrów? Gdzie się podziały broniące dostępu serpentyny kolczastego drutu? Fritz zdezorientowany spojrzał za siebie. Ślepy koniec, mógł iść tylko do przodu. Wykop wydał mu się dość świeży. Może właśnie dlatego nikogo w nim nie było - myślał. - Może to nowy odcinek, który dopiero jest umacniany, albo odnowiona część zalanego okopu, podobnego do tego, z którego wyruszył na tę całą niedorzeczną wyprawę? Jeśli tak, to musi przecież łączyć się w pewnym miejscu z główną odnogą.

- Gdziekolwiek bym nie był, z pewnością cel już blisko - powiedział zachrypłym głosem i utykając, ruszył przed siebie.

Tunel lekko schodził w dół. Fritz skupił wzrok na okalających go ciemnościach. Powyżej krawędzi okopu była tylko mgła, było też zupełnie cicho. Czyżby chwilowa przerwa? Może nie dojechała dostawa pocisków? A może któreś stanowisko działowe miało wypadek? Nie oglądając się, szedł dalej.

Wreszcie z przodu zamajaczyły jakieś kształty. Zmrużył oczy, próbując odgadnąć, co to może być? Rozróżniał już poszczególne kontury, to była jakaś budowla ze sterczącym u

góry krzyżem. Kaplica. Widocznie właśnie z jej powodu ta odnoga była pusta i odcięta. Podchodząc bliżej, dostrzegł poustawiane na sobie worki z piaskiem i utrzymujące całość grube, drewniane belki. Aby dostać się do drugiej części okopu, trzeba było przejść przez jej wnętrze. Nie zastanawiając się długo, wszedł do środka i odniósł przedziwne wrażenie, że ciemność zapełniająca wejście zalewa go jak woda. Maską dokuczała mu coraz bardziej i postanowił ją na chwilę zdjąć. We wnętrzu okopu cuchnęło jeszcze gorzej niż przy namiocie niemieckiego szpitala.

- Jak oni tu wytrzymują, na Boga? - myślał. - I czemu, do diaska, jeszcze nie wyszedłem na zewnątrz?!

Wędrował dalej, coraz bardziej zaniepokojony. Wyczuwał ściany dookoła siebie, ale nie odważył się wyciągnąć rąk w ciemność, aby ich dotknąć. Wreszcie odniósł wrażenie, że tunel zaczął opadać.

- Jak to możliwe? - powiedział drżącym głosem.

Zaprzagnął nagle odwrócić się i pobiec do wyjścia, ale nieprzenikniona ciemność za nim zatrzymała go równie skutecznie, co granitowy mur.

- Gdzie jestem? - zapytał głośno. - Hej! Jest tu kto?

Nie odpowiedziało mu nic prócz ciszy.

Był już zupełnie pewien - korytarz, bo tak trzeba było nazwać to miejsce, zwięzał się i opadał. Jeszcze jeden niepewny krok i drugi, kamień pod butem, później kolejne dwa kroki... Smród stał się nie do wytrzymania i Fritz natychmiast założył maskę. Przed nim otwarła się jakaś przestrzeń. Postawił kolejny niepewny krok i wydało mu się, że dotychczasowa ziemista podłoga stała się bardziej gładka i miękka. Drżącymi rękoma wydobył z kieszeni spodni twarde, kartonowe pudełko i zapalił zapałkę.

Widok zaparł mu dech w piersi. Gdyby miał siły, aby krzyżeć, darłby się jak patroszone zwierzę. Krzyczałby, ile się da i może ten krzyk obudziłby go w łóżku w Hamburgu, daleko stąd. Krzyku jednak nie było, zamiast niego rozległy się tylko jęki. Nagle zrozumiał, dlaczego jego but się ślizga. Stał na ciałach. Stał na nagich ciałach setek ludzi. Pod nim wykrzywiał się jakiś chłopak, może dwudziestoletni, blady, pozbawiony oczu i włosów. Ciała wyścielały całe pomieszczenie. Z każdego zakamarka przyglądały mu się nieruchome twarze, patrzyły na niego dziesiątki szklanych, zimnych oczu, wyciągały się dziesiątki zakrzywionych, połamanych rąk...

Gekho wypuścił zapałkę, ale zanim ta zgasła, zobaczył, że na końcu sali na tronie z ludzkich ciał coś siedziało, zwróciło się w jego stronę i odezwało się w jego głowie, sprawiając, że z ust popłynęła mu ślina, a dłonie skreśliły się w niemiłosiernym bólu.

- BOHATER CZY UMARŁY...? - zapytał głos.

Fritz nie odpowiedział, trząsał się spazmatycznie, aż nagle coś zmusiło go, aby się odwrócił. Tuż za nim stał Święty. Resztki płomienia zapalki migotały w szklanych oczach jego maski. Na ramieniu miał Francuza, tego, którego Gekho przestrzelił na wylot. Uniósł jedną rękę i złapał Fritza za szyję. Drugą dłonią zdjął maskę i oczom Niemca ukazała się trupia głowa. Z jej pustych oczodołów wolno sączyła się niemal czarna, lepka krew. Ciekła w dół twarzy, na końcu swej drogi wpływając do kącika lekko rozwartych, sinych ust.

Święty zbliżył swój utracony nos do twarzy Fritza i wgryzł się w jego ciało. Gekho bezradnie zamachał rękami i oczy mu zgasły. Dookoła była już tylko ciemność.

Czyste ulice rodzinnego miasta. Równo poprzycinane drzewa, codziennie dogładane przez hamburskich ogrodników - ich obraz zdawał się być tak wyraźny, że aż łzawiły mu oczy. Cudownie pachnące sady Alteslandu, dźwięki muzyki dobiegające z gotujących się na wystawienie śniadań małych kawiarenek przy Reeperbahn... Czuł, jak ciepłe łzy spływają mu po policzkach. Na rogu ulicy dało się słyszeć znajome stukanie, to Konrad Witt ze swoim wyładowanym mlekiem wózkiem jak co dzień budził do życia zasnąłą okolicę. Łzy dotarły do brody i wtedy Fritza Gekho obudziła fala okropnych boleści.

Otworzył oczy, które niemiłosiernie piekły i pulsowały, jakby chcąc oswobodzić się z czaszki i wydostać na zewnątrz. Drzewa i ulica znikły, zamiast nich był tylko mrok, a na jego końcu Fritz dostrzegł mały, błękitny punkcik. Każdy, nawet najmniejszy ruch sprawiał mu ból nie do zniesienia. Oparł się plecami o nierówną ścianę i poszukał wzrokiem tego, co musiało być kawałkiem nieba. Teraz dotarło do niego także, że słyszy wybuchy - nadal był więc na froncie, lecz ktoś z niezrozumiałego powodu umieścił go w bardzo głębokiej dziurze. Od czasu do czasu, kiedy któraś z eksplozji miała miejsce dostatecznie blisko, z góry spadały na Fritza grudki ziemi. Wyciągnął dziwnie zeszywniałą rękę do góry, chcąc się podciągnąć, ale ramię opadło bezwładnie z powrotem. Nagle jego uwagę przykuł jakiś ruch. Mimo ogromnego bólu odwrócił głowę i dostrzegł człowieka, który wolno sunął w jego stronę na czworakach. Gekho odruchowo spróbował się cofnąć, ale ściana za plecami skutecznie go powstrzymała. Wreszcie, gdy na pokraczną sylwetkę padła odrobina światła, Fritz zamarł, czując, że strach podchodzi mu do gardła, a język kołowacieje, nie pozwalając na krzyk. To był Święty od poległych - żołnierz w masce. Żołnierz, którego własnoręcznie zastrzelił...

Wspomnienia powróciły w jednej chwili i Fritz spróbował się skulić.

Nad nimi rozległa się seria wystrzałów i błękit został częściowo zakryty przez nasypaną ziemię. Fritz dostrzegł na jego tle ciemne kontury kilkakrotnie zaciskającej się i otwierającej dłoni, która wreszcie znieruchomiła. Tymczasem Święty był już tuż przy nim.

Jedną nogę bezwładnie ciągnął za sobą. Bliski szaleństwa Fritz zdołał w końcu wydobyć z siebie dźwięki, które ledwo przypominały słowa.

- Odejdź - wychrypiał. - Nie zbliżaj się!

Słyszając to, Święty przystanął i jak kot zaczął przekrzywiać głowę, przyglądając się Fritzowi poprzez swe czarne szkła.

- Nn... Nic cii nnie zrobię - odparł wreszcie stłumionym przez maskę głosem. - Nnnic się już nnie da zrobić...

- Kim jesteś? - zapytał Fritz, szybko odwracając wzrok od szkła tamtego. Zobaczył w nich bowiem swe odbicie - śmiertelną maskę, która zastępowała jego dawną twarz.

- Jestem taki jak ty. Jestem umarłym, jestem sługą naszego pan...a...

Fritz jęknął.

- Odejdź!

- Dokąd, dooookąd chcesz, żebym odszedł, głupcze? - Święty mówił już niemal normalnym głosem. - Nie możemy odejść! Musimy mu służyć! Teraz nnn...asz czas się kończy, zaśniemy, aż jego kolejne wezwanie znnnn...ów przegoni sen i ruszymy w wir walki po jeee...go dzieci.

- Jak, o czym mówisz?! Wypuść mnie z tej dziury, ty nie istniejesz! Zabiłem cię! - Gekho szeptał, nie mogąc zdobyć się na krzyk.

W odpowiedzi Maska roześmiał się, co przypominało odgłos psiego skomlenia.

- Jesteś martwy, głupcze! - zawył Święty. - Nie żyjesz, jak ja, i powinieneś dziękować mi, że nie zostawiłem cię z innymi, a zabrałem ze sobą. Zaraz uśniesz, aaa... a kiedy nastąpi odpowiednia chwila, głos w twojej zgniłej gg...głowie kolejny raz przemówi i pójdiesz na pole po należnych mu zmarłych. Przyniesiesz mu ich, a oooo...n wybierze z nich bohaterów... Wyberze prawdziwych żołnierzy, których rydwanem zabierze ze sooo...bą, w nagrodę za ich ooo...dwagę, reszta zostanie, by gnić i pochłonie ich ziemia... Nic więcej ci nie pozostało...

Gekho słuchał tego wszystkiego, czując narastające odrętwienie. Mówił do niego zmarły, widział jego ranę postrzałową, widział, że jego bezwładna prawa noga jest w kilku miejscach naderwana i brakuje jej sporego kawałka uda. Widział to wszystko, ale nie rozumiał, przekraczało to możliwości jego pojmowania.

- I ty ich mu przynosisz, tak? Ty, Święty od zmarłych - szepnął łamiącym się głosem.

- Tak, ja mu przynoszę...

- Czemu więc opowiadają, że odnosisz też żywych rannych do okopów, dlaczego wymyślili tę historię... On też tak kazał?

Tym razem Maska nie odpowiedział od razu. Podciągnął pokiereszowaną nogę i oparł się o ścianę obok Fritza.

- Nie kazał - powiedział wreszcie.

- Jak to?

- Ja sam to robię... - Głos był teraz ledwie słyszalny. - Ratuję ich, bo kiedyś byłem inny. Kiedyś on nie chciał mnie zabrać... Ja nigdy nie byłem bohaterem... Bohaterem był mój brat, aaa...le czasem myślę, że jeśli dużo ich uratuję... To kiedyś, gdy on przybędzie na...aaa ostatnią z bitew, spojrzy na mnie i powie: bohater, a ja będę wreszcie wolny... - znów zaskomlał.

Ziemia nad nimi zatrzęsała się i błękit znikł zupełnie.

- I prócz tego nie ma już nic? - spytał Fritz, czując, że głos się w nim zapada.

- Nic... Nie ma już nic... Czaaa...sem tylko zastanawiam się, czy nie iść na linię ognia dział. Czy gdy mnie rozerwą, będę woóo...lnoy... Ale boję się i wtedy nie zostaje już nnn... naprawdę nic...

Fritz nie odpowiedział.

PEŁNA

K_I_E_S_Z_E_Ń

Been selling off eternal youth. They all got afraid,
because I am the living proof. My name is Einstein,
do you know time is a curve?
I said: stop old man! You got a nerve.
Cos there is only one rule that I observe -
Time is money and money I serve.

Peter Gabriel

Bardzo lubię pracować z fizykami. Zawsze byłem zdania, że są to ludzie o wiele ciekawsii od matematyków. Można powiedzieć, że matematyk po prostu odwała za nich czarną robotę. Tworzy narzędzia, które następnie wykorzystuje fizyk, aby bawić się światem i robić coś z niczego. Może trochę za bardzo to upraszczam, ale fizycy byli dla mnie zawsze filozofami wśród matematyków. Z jednym z nich miałem spotkać się właśnie tego ranka. Był piątek, chwila po godzinie ósmej rano, początek przepięknego lipcowego dnia roku 1930 w mieście zwanym Hauptstadt Breslau.

Siedziałem sobie spokojnie w kawiarence, która przylegała do rynku miasta i delektując się zapachem włoskiej kawy, obserwowałem ludzi krążących dookoła ratusza. Dopiero co wróciłem z krótkiej wycieczki. Oglądałem zakończenie budowy Mostu Pomorskiego Północnego na Odrze. Jutro miałem zwiedzić także Północną Elektrownię Wodną. Dziś jednak czekała mnie praca innego rodzaju.

Rozparłem się wygodnie na krześle, bo słoneczne promienie właśnie dotknęły mojej ręki. Uniosłem głowę, mrużąc z zadowoleniem oczy. Bicie zegara na ratuszowej wieży spłoszyło gołębie, które wykonały kilka akrobacji w powietrzu. Kiedy dzwony ucichły, ptaki jak gdyby nigdy nic wróciły na swoje miejsce. Gruchały wyjątkowo pięknie, więc uznałem, że muszą to być zadomowione w mieście cukrówki. Do moich uszu dochodził także stonowany gwar ulicy. Przekupki zachwalały swe produkty, a panowie we frakach, zbici w małe grupki, dyskutowali na temat porannych doniesień, na które natknęli się, wertując gazety.

Roznosząca napoje i jedzenie dziewczyna nachyliła się nad moim stolikiem, podając mi pączka. Kosmyki blond włosów wystające spod szerokiego, białego czepka podkreślały jej urodę. Nie mogłem także nie zauważyć uśmiechającego się do mnie dekoltu, którym skutecznie przyciągała męskie spojrzenia. Opinająca biust szara bluzka była napięta do granic możliwości.

- Seine Kuche, Herr Kaspar - powiedziała, podsuwając mi talerzyk z ciastkiem.

Taktownie przeniosłem spojrzenie na jej oczy i grzecznie podziękowałem. Właśnie chciałem ją zagadnąć, gdy nagle za jej plecami dostrzegłem swego pierwszego klienta.

Marcel Gelbst - młody, bardzo zdolny fotograf, a przy okazji hulaka i dziwkarz, stanął właśnie za kelnerką, wyraźnie wpatrując się w jej krągłości. Marcel już wiele razy okazał się dla mnie wielce użyteczny. Tym razem sam chciał ubić interes.

Słabo uściskał mi rękę na przywitaniu. Jego dłoń była gładka i delikatna jak kartka papieru. Nie wyglądał najlepiej. Podkrążone, rozbiegane oczy, zapadłe policzki i raz po raz wysuwający się pomiędzy wąskich warg język, którym co chwilę zwilżał usta. Dość niezgrabnie usiadł naprzeciwko mnie. Zanim zdążyłem się odezwać, nachylił się w moją stronę i powiedział konspiracyjnym tonem.

- Mam to...

Uniosłem brew.

- Co takiego Marcel? - pytam. - Chcesz kawy?

- Szlag z kawą! - niepotrzebnie podniósł głos. Sięgnął do kieszeni płaszcza, który nieco zsunął mu się z ramion. W dłoni pojawiła się brązowa koperta. - Patrz na to - powiedział wyraźnie podniecony. - To zdjęcia z ostatniego seansu spirytystycznego Madame Woltz. Dokumentowałem całe spotkanie fotografiami. Nie płaciła za dobrze, ale...

Wyjął dwa czarno-białe zdjęcia. Na obu widać kobietę w czarnej sukni, siedzącą na rzeźbionym fotelu pośrodku salonu. Ciemne włosy upięła w okazały kok. Na oko musiała być już po czterdziestce. Domyśliłem się, że to ona jest medium, czyli słynną w niektórych kręgach wdową Woltz.

- I co z nią? - zapytałem po chwili. - Aromat kawy mile drażnił moje nozdrza.

- Jak to co? - obruszył się. - Co z ciebie za dziennikarz?! Podobno jesteście spostrzegawczy! Przypatrz się uważnie. Widać je tuż nad lewym ramieniem!

W pierwszej chwili także niczego nie dostrzegłem, ale przy późniejszej obróbce widziałem je już wyraźnie.

- Pracuję teraz nad odbitkami w powiększeniu - dodał szybko.

Spojrzałem na wskazany fragment fotografii. Faktycznie znajdował się na nim jakiś zamazany kształt. Bez powiększenia trudno było jednak powiedzieć dokładnie, co to takiego.

- Marcel, o czym ty mówisz? Seanse spirytystyczne, media... Mam tu może zobaczyć ducha? Pamiętaj, że już dziesięć lat temu zdemaskowałem tego angielskiego fizyka, jak on się nazywał... William Crookes. Fotografował się w towarzystwie ducha niejkiej Katie King, ale mimo że do dziś lubię wertować jego dzieło „O badaniach nad fenomenem spirytualizmu”, ani przez chwilę nie bałem się ujawnić prawdy o jego sztuczkach. Wyśmiali go, Marcel. Jego reputacja legła w gruzach. Tego chcesz...?

Wyrwał mi fotografię. Ponownie sięgnął do kieszeni, wyciągając pióro. Pomazał zdjęcie i ponownie mi je podsunął.

- Patrz ślepcze! - wycodził. - Są tutaj, zakreśliłem je, abyś nie skupiał uwagi jedynie na Madame Woltz i jej biuście.

Spojrzałem raz jeszcze i teraz nie miałem już wątpliwości. Wiedziałem już, co przypominał mi kształt tuż nad lewym ramieniem kobiety... To były ręce. Dziwnie zniekształcone, rozmyte dłonie, wyciągnięte w jej stronę.

- Nieźle - powiedziałem. - Ale trąci to fotomontażem, Marcel. Próbujesz mi sprzedać jakiś kit?

Aż zadrżał ze zdenerwowania, słysząc moje słowa.

- Do cholery, Kaspar! - niemal krzyknął i kilka osób spokojnie debatujących przy gazecie, odwróciło głowy w naszą stronę.

Uciszyłem go gestem ręki.

- Kaspar - powiedział już spokojnie. - Współpracujemy od lat. Ufasz mi. To żaden fotomontaż. Biorę ostatnio fuchy, ale nigdy nie posunąłbym się do oszustwa. Zresztą, wieczorem pokażę ci powiększenie!

- Dobrze, już dobrze - powiedziałem uspokajająco, dopijając kawę. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, były wybuchy złości rozemocjonowanego Marcela. - Ile za to chcesz? - zapytałem, wskazując na fotografię. - Za chwilę będę musiał iść, mam umówiony wywiad. Sądzę, że da się z tego zrobić jakiś artykuł... Jeśli tylko ubarwimy nieco historię życia Madame Woltz. Ile za to chcesz? Tylko nie wydziwiaj!

Obrzucił mnie nieufnym spojrzeniem. Najwyraźniej zastanawiał się, czy nie chcę go po prostu zbyć... Chciałem.

- Minimum połowa twojej miesięcznej pensji - odparł, a ja cicho się roześmiałem.

- Chcesz ze mnie ściągnąć tyle pieniędzy w zamian za niewidzialne ręce na fotografii z seansu spirytystycznego? Oszalałeś? Mogę ci za to dać najwyżej piąta.

Zacisnął ręce w pięści.

- Dwadzieścia marek, dostaniesz także resztę odbitek i powiększenia. Mam sporo długów do spłacenia - dodał półgębkiem.

Sięgnąłem po zegarek na łańcuszku, który tkwił w kieszonce mojej kamizelki. Nacisnąłem przycisk i zdobiona koperta podskoczyła. Czas powoli zaczynał mnie naglić.

- Dobra, niech będzie. Piętnaście marek, ale mam na to wyłącznie, rozumiano?

Kiwnął głową. Odliczyłem mu banknoty. Prędko zwinął je w rulon i schował do kieszeni płaszcza.

- Wieczorem przyjdź po resztę - powiedział i bez pożegnania ruszył w kierunku placu Solnego.

Zostałem przy stoliku sam. Złożyłem gazetę i ułożyłem kilka monet, chcąc zapłacić za kawę i ciastko. Czekać na kelnerkę, przypaliłem papierosa, aby się nieco ożywić. Zanim zapalka zgasła, podpaliłem fotografie Marcela i wrzuciłem je do popielniczki. Płonęły szybko, zwijając się w czarne rulony. Wkrótce pozostała po nich już tylko kupka popiołu. Wypuściłem nosem dym, mieszając go z dymem spalonych zdjęć. Pierwsze spotkanie miałem z głową. Teraz czekał mnie jeszcze wywiad z fizykiem.

Idąc spacerem do mieszkania profesora Kalubera, wspominałem swoją pracę na Uniwersytecie w Princeton. Przydzielono mnie wtedy do zespołu opiekującego się Albertem Einsteinem. Odpowiadałem za kontakty z radiem i prasą. Miałem także poznać pacyfistyczne teorie Alberta i stworzyć strategię, która pomogłaby mojej firmie poradzić sobie z jego antywojennym nastawieniem. Oczywiście mieliśmy z nim dobry kontakt od dawna, ale w przypadku takich geniuszy, trzeba zawsze mieć rękę na pulsie. Towarzyszyłem mu więc podczas jego pierwszej podróży po Stanach. Pamiętam, że zbierał wtedy pieniądze na założenie Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, a na Uniwersytecie Columbia odebrał medal Barnarda - nieskromnie dodam, że zrobiłem z nim wtedy całą serię znakomitych wywiadów.

Po krótkim spotkaniu z prezydentem Hardingiem, które także umożliwiła moja firma, odwiedziliśmy Chicago, Boston i w końcu także Princeton. Einstein dał cztery wykłady o teorii względności. Nie spieszyliśmy się ze zrobieniem z niego gwiazdy. Osiągnięcia z fizyki procentują po latach, a moje szefostwo ma całą masę czasu. Śmiem twierdzić, że niemal wieczność. Nobel dla Alberta przesądził sprawę. Sądziłem, że mamy go w kieszeni, ale nie podobnego. Jego antywojenne nastawienie tylko przybrało na sile. Trzeba go było trochę przystopować, bo zaczynał stawać się krnąbrny. A przecież wszyscy wiedzieliśmy, że nie dokona już żadnych ważnych odkryć. Miał sobie po prostu żyć i nie przeszkadzać. Dwa lata temu dostał od nas ostrzeżenie i przez jakiś czas był z nim spokój. Kilka miesięcy temu Einstein zaczął jednak znowu działać - podpisał Manifest Międzynarodowej Ligi Kobiet, w którym wzywał do światowego rozbrojenia. Dostałem przez to oficjalną reprimendę, pierwszą w czasie trwania mojej służby.

Drugą miałem otrzymać dopiero za kilka lat. W 1939 znowu go nie dopilnowałem. Einstein napisze wtedy cholerny list do Roosevelta, w którym „zwraca uwagę na militarne konsekwencje badań nad bronią atomową”... Tak napiszą o tym gazety... Dobre sobie! Na

niczym nie można zarobić tyle, co na technologii wojennej. Nie zajmowalibyśmy się bombą atomową, gdyby nie można było jej dobrze sprzedać. Ten list był błędem, ale uda nam się wszystko obrócić na własną korzyść. Dzięki niemu będę mógł doradzać Oppenheimerowi. Znajdzie się pod moją opieką już za kilka lat. Łebski z niego gość...

Wpadka z Einsteinem nauczyła mnie jednego - trzeba zawsze uważać na fizyków, z którymi się pracuje. Nie wolno niedoceniać ich artystycznych dusz i pasji. W końcu, kto by pomyślał, że sześćoletni Albert, który rzucił w guwernantkę dziecięcym krzesłem, stanie się zatwardziałym pacyfistą...

Rozmyślając o tym wszystkim, dotarłem wreszcie do właściwej kamienicy. Tuż obok drzwi wejściowych znajdował się kamienny pręgierz, na którym niegdyś karano publicznie złoczyńców i oszustów szkodzących reputacji miasta. Jeszcze raz rzuciłem okiem na ratuszowy zegar. Profesor Klauber powinien był już na mnie czekać. W jego sprawie mogłem działać na własną rękę, wedle uznania. Jak dotąd wiedziałem o nim niewiele. Fizycy to jednak zadziwiające istoty... Nawet ci pozornie mniej ważni, którzy nie zapiszą się na kartach historii. Nie dla wszystkich jest tam bowiem miejsce, a już w szczególności nie dla tych, którzy wyprzedzają swój czas. Byłem ciekaw tego spotkania i tego, czy Klauber choć trochę przypomina krnąbrnego Einsteina.

Z wyglądu był zupełnie inny. Wyprostowany i dość barczysty, od czasu do czasu skubał w zamyśleniu bujne bokobrody i głośno pociągał bulwiastym nosem, poprawiając zsuwające się okulary.

Mieszkał z ratlerkiem, który natychmiast przystąpił do obwąchiwania nogawek moich czarnych spodni. Gospościa miała dziś wolne, więc nikt nie powinien nam przeszkadzać w rozmowie. Ta zaś zapowiadała się moim zdaniem nad wyraz interesująco.

Klauber poprosił mnie do salonu, gdzie na niewielkim stoliku z marmurowym blatem stała taca z herbatą i pudełko cygar. Grzecznie podziękowałem mu za poczęstunek i zająłem miejsce w wygodnym fotelu naprzeciw niego. Piesek przysiadł pod stołem, patrząc mi od czasu do czasu w oczy. Sięgnąłem po notatnik i coś do pisania.

Klauber chrząknął nerwowo. Jak dotąd, jako naukowiec nie wykazał się niczym niezwykłym. Od lat współpracował z niejakim Kleinem, prowadząc badania nad grawitacją. Byli przyjaciółmi i wspólnie opublikowali kilka prac. Obaj urodzili się w małej wiosce Reichenstein, położonej niemal sto kilometrów od Breslau.

Swoją pozycję Klauber budował powoli. Ciężko na nią pracował. Przeglądając jego życiorys, nie widziałem w nim drugiego Einsteina, ale najwyraźniej każdy może się mylić.

Wiele wskazywało na to, że w jego życiu mógł mieć właśnie miejsce moment przełomowy. Wskazywała na to między innymi także korespondencja, którą prowadził z Albertem. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy wcześniej. Firma potraktowała to jak anomalie.

- Cóż - zaczął, mieszając powoli w swojej filiżance. Łyżeczka znalazła się dokładnie pośrodku naczynia. - Jak udało się panu tak szybko mnie namierzyć?

- Och, to proste - odparłem. - Wie pan, my pismaki mamy swoje sposoby - dodałem z uśmiechem. - A tak naprawdę... Znam się dobrze z profesorem Einsteinem i opowiedział mi o pańskiej teorii oraz o listach. Bardzo mnie to zaintrygowało. Od lat pisuję artykuły na temat wybitnych fizyków.

Na jego twarzy pojawił się nieznaczny grymas. Widać miłe polechtałem jego ego. Ręka ponownie sięgnęła do bokobrodów.

- Profesor Einstein wciąż zastanawia się nad poparciem mojej teorii - powiedział w końcu. - Moje obliczenia są jednak całkowicie słuszne, być może pański artykuł pchnąłby sprawę do przodu. Bardzo by mi na tym zależało, wie pan...

Spojrzał na mnie uważnie, a ja już wiedziałem, że wydłużający się okres oczekiwania na sukces zaczął go wyraźnie męczyć. Chciał ugruntować swoją pozycję w świecie nauki, nie pragnął niczego innego, jak tylko przełomu w życiu. Miał to wypisane na twarzy. Prawdopodobnie dlatego tak szybko zgodził się na rozmowę.

- Pana teoria jest faktycznie bardzo interesująca profesorze. Sam nie jestem fizykiem... Dlatego, czy mógłby mi pan przedstawić ją możliwie przystępnie i w miarę prostymi słowami? To znacznie ułatwiłoby mi późniejszą pracę nad artykułem.

Łyżeczka uderzyła o spodek. Klauber wyjął kostkę cukru z cukiernicy w kształcie słonia szczęścia i rzucił ją pod stolik. Pies natychmiast zajął się skubaniem zdobyczy.

- To dość proste, wie pan... - zaczął nieśmiało, lecz mojej uwadze nie uszedł błysk w jego oku. - Einstein zakłada, że mamy cztery wymiary, które widać jak na dłoni - kontynuował. - Zna je pan znakomicie, wystarczy popatrzeć w górę, w dół, w lewo, w prawo, do przodu, za siebie i pamiętać o czasie. Zupełnie jakby szukał pan zagubionego adresu domu i rozglądał się na ulicy, poszukując właściwego numeru. To wszystko znamy aż za dobrze. - Opowiadając, gestykułował coraz bardziej ożywiony. - Aby jednak udowodnić panu, że otaczający nas świat jest dużo bardziej skomplikowany, pozwolę sobie objaśnić panu pewien prosty eksperyment - powiedział.

Rozstawił nasze filiżanki od herbaty, tak że znalazły się po przeciwległych stronach posrebrzanej tacy.

- Niech pan sobie wyobrazi, że to dwa domy, po dwóch stronach przepaści. - Zmierzył mnie wzrokiem, ale musiałem wyglądać na zaniepokojonego, więc niespiesznie mówił dalej. - Gdyby rozwiesił pan między tymi domami wąż ogrodowy i zaczął go obserwować z odległości czterystu metrów, wszystko byłoby jak u Einsteina. Wąż wydawałby się jedynie płaską, czarną kreską. Jeżeli jednak położy pan na tym wężu mrówkę i zacznie ją pan obserwować, na przykład przez lunetę... Wtedy zaobserwuje pan, Herr Kaspar, niezwykle ciekawą rzecz... - Uśmiechnął się zadowolony do samego siebie.

- Niech pan mówi dalej, panie profesorze, na razie nadażam - powiedziałem żartobliwie, ale Klauber, pochłonięty opowieścią, zdawał się nie zwracać na mnie uwagi.

- Otóż, patrząc przez lunetę, zobaczy pan, że wspomniana mrówka porusza się w lewo i prawo, czyli pośród wymiarów profesora Einsteina, ale od czasu do czasu może także zacząć chodzić dookoła węża, po jego średnicy, po linii okręgu! - mówił wyraźnie podniecony.

Zaczynał mi przypominać swoim zachowaniem Marcela, z którym rozmawiałem jakąś godzinę temu. Poczułem dziwny niepokój.

- Ten okrąg jest dla nas w pierwszej chwili niewidoczny! - dodał Klauber. - Musimy się bardzo skupić, aby zauważyć jego istnienie. Zdamy sobie sprawę z jego obecności dopiero dzięki zachowaniu mrówki i ogromnemu zbliżeniu, jakie daje nam luneta. To jednak nie koniec Herr Kaspar... Nasz wąż ogrodowy ma w sobie ogromną ilość takich idealnie płaskich okręgów! To właśnie moja teoria! A raczej jej część. Oto wymiary, których na co dzień nie widzimy. To wymiary schowane pomiędzy wymiarami Einsteina! Tak małe, że trudno je dostrzec, ale jednak istniejące! Nie ma dziś sposobu na to, aby je badać. Nie posiadamy odpowiedniego oprzyrządowania, ale moje obliczenia mówią same za siebie. Mógłbym zacząć panu opowiadać, co można w tych wymiarach zmieścić. O tym także pisałem w listach, o których pan wspominał. Profesor Einstein sprawdził moje obliczenia bardzo dokładnie i odpowiadając mi za pierwszym razem, zachwycił się moim pomysłem! Dopiero później jego zapał dla poparcia mojej teorii, w niewyjaśniony sposób osłabł. - Mówiąc to, patrzył na mnie w skupieniu, z lekko skwaszoną miną.

Tymczasem odłożyłem na stolik czysty notatnik i przygotowane do pisania pióro. Za oknem zegar ratusza głośno wybijał kolejną godzinę.

- Tak... - odparłem spokojnie. - Widziałem zarówno pańskie obliczenia, jak i listy napisane do Einsteina. Ta teoria jest doprawdy fascynująca panie profesorze. - Słyszając to, uśmiechnął się wyraźnie zadowolony. - Ale... - kontynuowałem. - Przykro mi było dowiedzieć się, że nie jestem jedyną osobą, z którą pan o niej rozmawiał, Klauber. Podzielił się pan wiedzą na temat swego odkrycia z doktorem Kleinem, to jeszcze zrozumiałe, ale

rozmowa z pewnym brytyjskim dziennikarzem... To już było trochę nie fair. Nie sądzi pan? Czasem trzeba trzymać język za zębami. Czasami trzeba być dyplomata w skórze fizyka...

Klauber otworzył usta ze zdziwienia.

- Co się zaś tyczy teorii... - mówiłem, wstając z fotela. - Wymiary, o których pan opowiada, wcale nie są tak małe, jak mogłoby się wydawać. Oczywiście - mają swoje ograniczenia, faktycznie są bardzo płaskie, no i cholernie trudno je dostrzec. Fakt ich istnienia jest jednak niezaprzeczalny.

Wyszedłem na środek salonu. Fizyk nie odrywał ode mnie wzroku.

- Skąd pan o tym wie? - zapytał, a głos zaczął mu wyraźnie drżeć.

Nie słyszałem już, co do mnie mówi. Ocenilem spokojnie jego wagę. Wyszło mi jakieś siedemdziesiąt pięć kilo, czyli całkiem sporo - zaczynało się robić niebezpiecznie. Stałem w lekkim rozkroku i strzepnąłem z rąk niewidzialny pył - zupełnie jak przygotowujący się do występu iluzjonista. Wyciągnąłem prawą rękę przed siebie, złapałem za coś i zacząłem ciągnąć. To, co trzymałem w dłoni było niemal idealnie przezroczyste. O tym, że przedmiot ten istniał naprawdę, a nie był jedynie niewidzialnym rekwizytem mima, świadczyło jedynie słoneczne światło odbijające się od jego krawędzi. Było to najcieńsze ostrze, jakie człowiek mógł sobie wyobrazić. Za sto lat będzie o nim uczyć fizyka kwantowa...

Pies Klaubera zaczął na mnie szczekać. Profesor zaczął wolno podnosić się ze swojego fotela.

- Co pan wyprawia?! - zapytał nieswoim głosem, ale ja byłem już przy nim.

Ostrze błysnęło, okręciłem się na pięcie i głowa profesora zakołysała się powoli. Na usta wystąpiły mu krwawe bańki. Wytrzeszczone oczy wpatrywały się we mnie w niemym wyrazie zdziwienia. Na tle białek widziałem wyraźnie czerwone żyłki. Głowa Klaubera przechyliła się nienaturalnie do tyłu. Ciąłem szybko, ale niedokładnie, dlatego jeden pasek skóry wciąż jeszcze trzymał się szyi. Pękł z cichym młaśnięciem, gdy głowa profesora zsunęła się na jego plecy i w końcu spadła na dywan. Potoczyła się pod stół i teraz w zdziwione oczy fizyka spoglądał jego pies. Przestał szczekać. Upadający tułów Klaubera udało mi się w ostatniej chwili pochwycić i delikatnie ułożyć na posadzce. Wszystko odbyło się cicho i bez rozlewu krwi. Musiałem pamiętać, aby krwawe bańki z ust nie zabrudziły dywanu.

Schowałem ostrze w powietrzu. Następnie chwyciłem zwłoki profesora za nogi i zaciągnąłem je do łazienki. Opukałem wannę. Był to solidny emaliowany produkt, ale to nie wystarczało. Z kieszeni wydobyłem złożoną w kostkę płachtę kamionkowej folii, którą

wynajdzie za kilkadziesiąt lat niejaki Troy Duffy. Wbrew temu, co mogło się wydawać, wcale nie ważyła dużo. Starannie wyłożyłem nią wannę. Teraz powinna była wytrzymać.

Z pewnym wysiłkiem przeniósłem ciało do łazienki i umieściłem je w lśniącej teraz kryształowo Badewanne. Następnie wróciłem po głowę. Pies lizał ją właśnie po policzku. Było mi go trochę żal.

Głowa wylądowała na brzuchu Klaubera. Po chwili w wannie znalazły się także wszystkie dotyczące jego teorii notatki, wzory i obliczenia. Zadanie ułatwiało mi to, że profesor wszystko notował bardzo skrupulatnie i trzymał zapiski w jednym miejscu. Ślady jego pomysłu musiały być zlikwidowane. Trochę się z nim pospieszył. No i to nastawienie na sukces...

Opieka nad Einsteinem i Oppenheimerem sporo nas nauczyła. Nowe odkrycia musiały być ściśle kontrolowane. W końcu żyliśmy z tego, że wiedzieliśmy więcej. Odsprzedawanie patentów to dobry interes. Gorzej, jeżeli cenne patenty zostaną odkryte przez potencjalnego klienta za darmo.

Wróciłem do pokoju. Ponownie przyjąłem właściwą pozę. Oczy przesunęły mi się nieco w bok. Zobaczyłem to, co chciałem zobaczyć i sięgnąłem w przestrzeń. Czarna, płaska rzecz rozwijała się jak rulon kartonu. Zaniósłem ją do łazienki i cisnąłem do wanny. Później odkręciłem gorącą wodę i prędko wyszedłem do salonu. Potężna reakcja chemiczna sprawiła, że w wannie wszystko się gotowało. Ciało Klaubera podskakiwało do góry palone kwasem. Otworzyłem okna na oścież, żeby się wywietrzyło. Duża ilość ludzi na rynku oznaczała, że dzień targowy rozpoczął się na dobre.

Po chwili w wannie znajdowało się już tylko kilka litrów czarnej, kleistej substancji. Nie znosiłem jej drażniącego zapachu. Miałem ochotę znowu zapalić, ale czekała mnie jeszcze chwila pracy. Posypałem coś, co kiedyś było Klauberem proszkiem z niebieskiej ampułki, którą trzymałem w kieszonce przy zegarku. Kwas został zneutralizowany. Odsunąłem kamionkową folię Troya i wyjąłem tkwiący w wannie korek, ciągnąc za srebrzysty łańcuszek. Rury zaburczały, wciągając gęsty płyn.

Kilka notatników profesora musiałem zabrać ze sobą. Okazało się, że Klauber wpadł na parę pomysłów, które mogły okazać się cenne także i dla nas. Spakowałem je do cienkiej teczki, która z daleka wyglądała jak duża karta papieru. W korytarzu przystanąłem, uważnie przyglądając się otoczeniu. Moi ludzie byli tuż obok. Zapukałem. Przy prawym ramieniu nagle pojawił się jakiś kształt. Zmierzał powoli w moją stronę. Znikąd wysunęły się ręce o długich, cienkich palcach. Były białe i delikatne, jak ręce na zdjęciu Marcela. Ostrożnie odebrały przesyłkę i po chwili już ich nie widziałem. Aż strach pomyśleć co byśmy zrobili

bez tych wszystkich dodatkowych wymiarów, bez naszych kieszeni. Ludzie nie byli jednak jeszcze gotowi na to, aby dowiedzieć się, ile ich jest i czym się charakteryzują. Nie byli jeszcze odpowiednio przygotowani do tego, aby z nich korzystać - ale kto wie... Może za kilkaset lat sprzedamy im także i ten patent.

Złożyłem folię, dokładnie splukałem wannę i zamknąłem okiennice. Nieprzyjemny zapach już zupełnie wywietrzał. Pozostawała jeszcze kwestia psa Klaubera. Postanowiłem zabrać go ze sobą. Miał szczęście, że nie szczekał. Małe, jazgocące zwierzęta wyjątkowo mnie irytują.

Na odchodnym jeszcze raz rzuciłem okiem na mieszkanie. Wyglądało na dokładnie wyczyszczone. Zyskaliśmy trochę czasu, aby podbić ceny teorii Klaubera. Byłem pewien, że z Einsteinem jednak uda mi się jakoś dogadać i nie piśnie słowa na temat zapisków profesora. Cieszyłem się, że już wyzdrowiał po naszym ostrzeżeniu. Szczerze mówiąc, nie przepadałem za takimi metodami działania. Wołałem przypomnieć Albertowi, że swego czasu ułatwiliśmy mu pracę w biurze patentowym, tak aby miał odpowiednio dużo czasu na badania, które prowadził również dla nas. O takich przysługach nie powinno się zapominać. To w końcu także dzięki nam komisja zajmująca się jego pracą doktorską nie zwróciła uwagi na błędy w obliczeniach, które niestety popełnił. Gdyby nie zrobił doktoratu w odpowiednim terminie, moglibyśmy mieć spory kłopot...

Brytyjskim dziennikarzem, o którym mówiłem profesorowi, zająłem się już jakiś czas temu. Pozostawało mi jeszcze wysondować, jakim człowiekiem jest Klein i ile wiedzy na temat swoich obliczeń przekazał mu Klauber. Stary był chyba zazdrosny o swoją teorię, więc pozostawała nadzieja, że Klein wie jednak niewiele. Od lat starałem się nie zabijać w tygodniu więcej niż dwóch klientów. Moim zdaniem monotonia prowadziła zawsze do niedbalstwa.

Wziąłem ratlerka na ręce i wyszedłem na korytarz. Chłopaki mieli za chwilę pojawić się jeszcze na moment w mieszkaniu Klaubera, aby zabezpieczyć drzwi od wewnątrz i usunąć ewentualne ślady mojej bytności. W końcu mogłem coś przeoczyć. Trzeba dmuchać na zimne. Pracując dla firmy, wciąż jeszcze wiele razy popełniamy drobne błędy. Korzystanie z kieszeni jest bardzo wygodne i nie wymaga od nas zbyt wiele wysiłku. Czasem jednak, kiedy któryś z nas je otwiera albo zabiera przez nie rzeczy na drugą stronę - zdarza nam się na przykład przestawiać przedmioty z wymiaru podstawowego. Ludzie odkładają dokumenty na biurko, wychodzą z pokoju, a po powrocie okazuje się, że portfel leży w zupełnie innym

miejscu. Tak, czasem popełniamy błędy, ale jesteśmy coraz bardziej skuteczni. Firma wymaga tego w bezwzględny sposób.

Kiedy wychodziłem z bramy, było już kilka minut po południu. Słońce stało w pełni. Tuż obok mnie przebiegli dwaj chłopcy z gazetami, które nie sprzedały się rano.

Dzień zapowiadał się wspaniale. Obiecałem sobie spacer po Ostrowie Tumskim. Niestety wciąż pozostawała mi do zrobienia jedna rzecz. Wcześniej starałem się o tym nie myśleć, ale wszystko wskazywało na to, że muszę złożyć wizytę biednemu Marcelemu. Nie wiem, czy ktokolwiek uwierzyłby w jego historię, ale ryzyko zawsze w tych sprawach bywa spore. Całe szczęście, że ludzie zwracają dużo mniejszą uwagę na innych znikających ludzi niż na znikające z ich życia przedmioty.

Podrapałem psa Klaubera w głowę. Przy jednym z kawiarnianych ogródków pojawił się ubrany we frak magik, iluzjonista. Właśnie wyciągnął z powietrza kolorową chustkę. Ludzie bili mu brawo i rzucali pieniądze do kapelusza. Przyglądałem się przez chwilę prezentowanym przez niego sztuczkom, po czym sam wyjąłem z powietrza papierosa i zapalną. Magik, widząc to, zamachał do mnie i uśmiechnął się szeroko. On także był fachowcem w swoim zawodzie...

** W opowiadaniu wykorzystano pomysł na teorię piątego wymiaru, stworzoną przez fizyka polskiego pochodzenia Theodora Kaluzę. W tekście pojawiają się także autentyczne fakty z życia Alberta Einsteina. Wydarzenia historyczne mieszają się jednak w „Kieszeni” z sytuacjami czysto fikcyjnymi, co mam nadzieję nie urazi żadnego znawcy fizycznych badań i biografii Alberta Einsteina.*

FOTEL

Once that you've decided on a killing
First you make a stone of your heart
And if you find that your hands are still willing
Then you can turn a murder into art.

„Murder by numbers" The POLICE 1983

1

Silnik ryczał niczym pochwycona w sidła dzika bestia. Za każdym razem, kiedy Borys nerwowo dociskał pedał gazu, ryczący i rozklekotany samochód wpadał w poślizg. Niebezpiecznie znosiło go na usypane po obu stronach oblodzonej drogi zaspy śniegu. Do spotkania pozostało już tylko czterdzieści minut. Nie chciał się spóźnić. Nigdy się nie spóźniał. Stąd właśnie brała się jego zawodowa reputacja; dlatego wszyscy zleceniodawcy szanowali go, przekonani o tym, że każde zadanie wykona fachowo. Borys, rozmyślając o tym, jak wielkim jest specjalistą, krzywo się uśmiechnął i energicznie podrapał po brzuchu. Był środek zimy, temperatura spadła poniżej dwudziestu stopni, a wiatr spotęgowany prędkością auta uderzał w szyby z taką siłą, jakby próbował je zmiażdżyć i wepchnąć do środka. Borys dopiero teraz zaczynał rozumieć, jak bardzo jest zimno, i że powinien założyć na siebie coś jeszcze, poza spodniami od dresu i zabrudzonym podkoszulkiem...

Wychodząc z mieszkania, był tak pijany, iż z pewnością nie poczułby nawet rany postrzałowej, a co dopiero zimna, które teraz dokuczało mu coraz mocniej. Zdzielił wolną ręką dmuchawę powietrza. Plastik zatrzeszczał pod uderzeniem potężnej dłoni i urządzenie, dławiąc się, zaczęło pracować. Ciepło wprawiło go w tak dobry humor, że oddał się myślom o tym, jak ceniona jest w jego zawodzie pomysłowość. Nie, nie pomysłowość - pan Vladimir Kuszczew nazwał to kiedyś inaczej... „Kreatywność i finezja” - tak właśnie powiedział. - „Borysie, to właśnie w tobie podziwiam”. Później uśmiechnął się do niego szeroko i przyjaźnie poklepał po ramieniu. Miłe wspomnienie. Mało ich było w jego życiu.

Z rozmyślań wyrwał go kolejny szaleńczy ryk silnika. Zmrużył oczy, aby lepiej widzieć. W oddali zamajaczyły nagle światełka jednej z podmoskiewskich wiosek. Do spotkania pozostało trzydzieści minut. Na miejsce przechwycenia Polaczka wybrał boczny odcinek jednej z głównych dróg, który serpentyną przechodził przez niewielki las. Światełka nieznacznie urosły. - Tak, zrobi to w... „finezyjnym” stylu - myśl wywołała krzywy uśmiech na jego kanciastej, niedogolonej twarzy - cokolwiek to znaczy...

Po chwili samochód minął pierwszy, nieduży budynek. Kolejne niewyraźnie majaczyły za zbliżającym się zakrętem. Polaczek był przemytnikiem, sprawdził go dokładnie. Mówili, że przestał być ostrożny i więcej zatrzymywał dla siebie, niż dostarczał odbiorcom. - To dla nich typowe - parsknął. - Zdaje im się, że są tacy sprytni jak Żydzi. Różnica jest jednak taka, że Żydzi nie kryją się ze swoim cwaniactwem i robiąc z nimi interesy, każdy bierze to pod uwagę, a Polaczki wmawiają sobie, iż są na tyle dobrymi cwaniakami, że nikt ich przekrętów nie widzi. Źle myślą, zdaje się... - ktoś jednak widzi...

Wozem lekko zarzuciło, a jego słabe, z trudem przebijające się przez śnieżną zasłonę reflektory oświetliły dwoje bawiących się przy drodze dzieci. Lepiły na poboczu wielkiego, roześmianego bałwana. Borys przetarł zaczerwienione oczy, właśnie coś przyszło mu do głowy. Nie bardzo wiedział jak „to” sprecyzować, ale był pewien, że pomysł zawierał się w wirującym mu w głowie wyrazie „finezja”. Dodał gazu, by po chwili ostro pociągnąć za ręczny hamulec. Wpadający w poślizg samochód obróciło bokiem do bawiących się i do nieruchomego, teraz wykrzywionego w żółtym świetle bałwana. Auto, przyskając spod kół śniegiem i kawałkami lodu, z rozpędu uderzyło w pierwsze dziecko.

Silnik zgasł. Chłopiec oślepiony reflektorami nie zdążył nawet krzyknąć. Jedyne z głuchym uderzeniem i czymś, co przypominało westchnienie, przeleciał po masce, zostawiając na przedniej szybie krwawą smugę. Drugie z dzieci stało nieruchomo. Chłopczyk tymczasem zupełnie już bezgłośnie wpadł w zaspę po drugiej stronie drogi. Samochód przestał się kręcić i stanął nieruchomo. Borys jak w transie napał całym ciałem na drzwi, które z chrzęstem się otwarły, i stękając, wygramolił się na zewnątrz.

Starając się utrzymać równowagę i nie wywrócić na lodzie, niezgrabnie ruszył w stronę dziewczynki. Spróbowała się zerwać do ucieczki, ale silny cios w małą twarzyczkę pchnął ją w tył, na bałwana. Z nosa trysnęła krew i szybko zaczęła wsiąkać w śnieg. Dziecko zemdlalo. Borys podniósł je jedną ręką, przewiesił przez ramię i wrócił do wozu. Kopniakiem otworzył bagażnik i jak pusty worek wrzucił małą do środka.

Do spotkania pozostało już niecałe dziesięć minut. Auto, jak mu się zdawało, wyjątkowo umiejętnie schował w lesie i teraz próbując się rozgrzać, żwawo podskakiwał przy poboczu. Dziewczynka z zaklejonymi czarną taśmą oczyma i ustami oraz związanymi rękoma i nogami, leżała nienaturalnie wykręcona w zaśnieżonej trawie. Odzyskawszy przytomność zaczęła trochę pojękiwać, więc Borys szturchnął ją mocno butem i kazał się zamknąć. Czuł się mile podniecony. Adrenalina zaczynała coraz mocniej działać na pobudzony alkoholem umysł i gorączkowo myślał nad tym, jak załatwi całą sprawę. Jak zrobi to z klasą i stylem.

Uśmiechnął się znów do siebie, na razie szło mu całkiem nieźle. Tuż obok dziewczynki położył wyjęty przed chwilą z bagażnika krótki kij do bejsbola.

Światła na drodze, przy której podskakiwał, pojawiły się zupełnie nagle, choć z drugiej strony, może gdyby był bardziej trzeźwy, zauważyłby je wcześniej. Zmrużył bolące oczy, próbując przebić wzrokiem zasłonę kolejnych fal ciężkich, białych płatków, które uderzały go w twarz. Bez wątplenia był to samochód, na który czekał. Czarny mercedes, stary model limuzyny. Kiedyś sam chciał mieć takiego, zresztą, może nawet będzie mieć go już wkrótce. Wyglądało na to, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Znów jakby w transie, przestał skakać, schylił się po dziecko i kij. Mała szarpnęła się, ale uścisk przemarzniętych rąk był bezwzględny. Kiedy nadjeżdżające auto znalazło się od nich w odległości około pięciuset metrów, napiął wszystkie mięśnie i niczym kulę od kręgli, cisnął dziewczynkę na środek szosy. Gdy jej rozplaszczona, miotająca się na boki sylwetka znalazła się w zasięgu światła, kompletnie zaskoczony kierowca gwałtownie zahamował.

Borys tylko na to czekał. Ścisnął mocniej kij i wyskoczył na drogę. Silnik samochodu zgasł i auto, jedynie przy akompaniamencie chrzęszczącego śniegu, najechało na przeszkodę. Właśnie wtedy przerażony kierowca podniósł wzrok i zobaczył Borysa. Ten pokonał już odległość dzielącą go od wozu i z rozpędu wskoczył na maskę. Szczęściem typowym dla ludzi pijanych zdołał jakoś utrzymać równowagę na śliskiej powierzchni i zamachnął się kijem. Potężne uderzenie wbiło całą przednią szybę do środka pojazdu i z trzaskiem łamanych kości zmiażdżyło prawą część twarzy zdezorientowanego szofera. Rosjanin zeskoczył na drogę i ruszył do tylnych drzwi. Ustawił się nieco z boku i z rozmachem strzaskał boczną, przyciemnianą szybę. Z wewnątrz rozległo się sześć strzałów. Jeden za drugim pociski przebijały pogięty i odrapany metal. Żaden nie sięgnął celu. Zgodnie z przypuszczeniami pasażer próbował się bronić, a kiedy magazynek był już pusty, przeładować broń. Dalsze czekanie nie miało sensu. Borys dwa razy zdzielił kijem zamek i szarpnął za drzwi, prawie je wyrrywając. Nawet nie przypuszczał, że jest tak silny. Wolną ręką sięgnął do środka i przyciągnął chowającego się w kącie wozu grubasa.

2

Szczęśny obudził się, ale pchnięty nagłą zachcianką stwierdził, że jeszcze nie będzie otwierał oczu. Bardzo nie lubił patrzeć na świat bez okularów, a musiał to robić każdego ranka przed ich założeniem. Chodziło jednak o coś jeszcze. O sen. Miał jakiś niesamowity sen i nie mógł go sobie wyraźnie przypomnieć.

- Zaraz, zaraz - dumął. - O co w nim chodziło? - Obrazy z wolna zaczęły wracać i Szczęśnemu zaschło w gardle. To nie był sen, to raczej koszmar, przeszło mu przez myśl.

Zacisnął powieki. Wszystko przez tę przeklętą pracę, kiedyś wreszcie będzie musiał z tym skończyć. Ale co to było tym razem? Spróbował uporządkować obrazy i ogarnęła go fala strachu. Wypadek samochodowy, strzały, krzyk kierowcy i jeszcze coś... Ciemna, rozmyta w cieniu postać, która przyszła znikąd i przyniosła śmierć. Wzdrygnął się na to wspomnienie i dopiero wtedy poczuł, że siedzi, a nie leży, oraz że gardło, przeguby u rąk i kostki u nóg pulsują mu miarowym bólem. W końcu zupełnie zdezorientowany i lekko oszołomiony kolejnym przyływem strachu zdecydował się zwalczyć słabość i otworzyć oczy. Bez okularów niestety nie widział zbyt wiele, zorientował się jednak, że ktoś posadził go w ogromnym, obitym skórą fotelu. Zrozumiał też, z czego wynikał pulsujący ból. Tajemniczy prześladowca nie tylko bowiem umieścił go w tym cholernym fotelu, ale także przywiązał mocno stalową linką. To właśnie ona boleśnie wrzynała się w skórę i prawie zupełnie uniemożliwiała dostanie się krwi do niektórych części jego tłustego ciała. Jeszcze bardziej przerażony tymi odkryciami chciał krzyknąć, lecz głos zdecydowanie odmówił mu posłuszeństwa, zamierając w nabrzmiałej krtani. Pot zaczął mu powoli spływać z szerokiego czoła, zbierając się w kącikach ust i kapiąc na podarte ubranie. Szczęśny spróbował się uspokoić.

Bez nerwów, myślał. Nie panikuj. Ktoś chce cię tylko nastraszyć, przecież bywało gorzej, bywało... Ale kto się wkurzył, no kto? Ci polscy idioci? Ruski? Może Niemcy, cholera!

Coś zaszurało i wszystkie myśli, skomląc, przysły. W rozmytej przestrzeni przed nim mignął jakiś ruch. Zmrużył oczy, wyężając wzrok tak mocno, że pociekły mu łzy. Oblizął wargi z cierpkiego potu. Niewyraźne „coś”, jak rozlewająca się po wodzie plama czarnego oleju, zaczęło nabierać kształtów. Był to człowiek. Wysoki, mocno zbudowany mężczyzna wolno sunął w jego stronę. Trzymał jakiś długi przedmiot. Pałkę? Kij? Tak, teraz Szczęsny widział wyraźniej. Bez wątpienia kij. Obraz nieco się wyostrzył i Polak, nie bacząc na fale bólu, z furią szarpnął się na fotelu. Rozpoznał go bez problemu, to była rozmyta postać, koszmar z jego snu. Podchodząc bliżej, człowiek uśmiechnął się, dając pokaz, jak się wtedy Szczęsnemu wydało, rzędów rekinich zębów, a potem przemówił spokojnym, matowym głosem.

- Vladimir Szczęsny, prawda? Nazywam się Borys. Jesteś tu, bo oszukałeś pana Kuszczewa. Wiesz dobrze, że tak nie wolno. Oszukałeś, a ja zabiję...

Wolną ręką Borys wyjął zza pleców nieduży, czarny przedmiot. Broń błysnęła, bo gdzieś za fotelem pojawiło się czerwone, zimowe słońce. Mężczyzna przeładował ją, wkładając kij pod pachę, i strzelił. Jeden raz, w czoło. Zamek pistoletu odskoczył do tyłu i z komory wyleciała gorąca łuska. Szeroko otwarte oczy Polaka stały się szklane i nieruchome.

3

Łuska zawirowała w powietrzu i z cichym stuknięciem upadła na podłogę. Borys próbował śledzić jej lot kątem oka, ale jak zwykle między jednym a drugim mrugnięciem osłonka pocisku znikła w którejś z nierówności podłogi. Klnąc, opuścił broń i ponownie rozejrzał się po zabrudzonym parkiecie. Ani śladu zguby. Rozdrażniony przeniósł wzrok na trupa. Z dziurki pośrodku czoła wypłynęła cienka strużka krwi i powoli wijąc się, dotarła do czubka jego pękatego nosa. Borys westchnął, zaczynało go to już nużyć. Zawsze było tak samo. Podeszedł do fotela i odwiązał stalowe linki, przytrzymując zwłoki, by nie zsunęły się na podłogę. Zawsze ten sam scenariusz, klient się budził, dowiadywał o wyroku, dostawał strzał w głowę, wreszcie zdychał, a on szukał przeklętej łuski, która zawsze gdzieś znikła.

Nudna sztuka przestaje być sztuką, myślał, przerzucając sobie trupa przez ramię. Potrzebował jakiejś odmiany i to natychmiast. No i jeszcze fotel, bez niego przecież w ogóle nie byłoby sztuki. Z drugiej jednak strony kończący się właśnie tydzień był chyba najlepszym w całej jego karierze. Wyrok na Polaczkę zdecydowanie pobił rekord zeszłego roku. To faktycznie mogłoby oznaczać, że nadszedł czas na zmiany.

Ciężko stąpając po drewnianych schodach, niósł ciało do piwnicy. We wtorki „piwnicznych mieszkańców” odbierał jego młodszy brat. Sąsiedzi wprawdzie czasami narzekali na smród, ale nikt o nic nie pytał, każdy miał swoją część piwnicy i nie tylko z jego części czasami śmierdziało. Zza drzwi klitki przy schodach na parterze dochodziły kobiece krzyki. Zaraz po tym dołączyły do nich wrzaski mężczyzny i krzyki zmieniły się w cichy jęk.

Małżeństwo spod numeru 4, zawsze robili tyle hałasu, Borys strasznie tego nienawidził, krzyki bowiem czasami zbyt wcześnie budziły mu klientów. Obiecał sobie, że kiedy będzie się stąd wyprowadzał, zabije starego, żeby baba nie darła już mordy. Reszta mieszkańców przynajmniej wydawała się w miarę normalna, nie oni jednak byli jego zmartwieniem. Najgorszy był rezydujący w śmieciach na tyłach budynku żebrak. To aż śmieszne, ale pewnego dnia Borys uświadomił sobie, że zwyczajnie boi się tej cuchnącej,

zakrytej szmatami i spowitej w spleśniałe kartony postaci. On, Borys, bał się żebraka. Naturalnie nikomu o tym nie wspominał, jego reputacja z pewnością ległaby od tego w gruzach. Oczywiście kilka razy próbował sobie z tym niedorzecznym problemem poradzić. Nie dalej jak dwa dni temu znów zebrał się w sobie i wieczorem wymknął się na tyły bloku, aby zwyczajnie go zastrzelić. Drżącą ręką przewalał kartony. Były puste i kiedy już z ulgą stwierdził, że może wracać, bo jak to sobie tłumaczył - „Tym razem ten śmierdziel miał cholerne szczęście, że go tu nie ma!” - śmierdziel, chudy i zgarbiony niczym zjawa, wyszedł z cienia za jego plecami. Borys odwrócił się niepewnie i zamarł. Przerazenie, jakie odczuł, widząc błyszczącą łysinę, kościstą twarz i spróchniałe, krzywe zęby było zupełnie nie do opanowania. Chciał krzyknąć, ale gardło wyschło na wiór. Przez chwilę patrzyli na siebie, jeden z pełną rezygnacją i obojętnością, drugi z szaloną trwogą. W końcu Borys trochę się opanował i ciężko wsparty o poręcz schodów, wszedł do budynku, kierując się w stronę mieszkania. Gdy już do niego dotarł, wypił cały zapas alkoholu z szafki. Potem żebrak nawiedził go w pijackim śnie, miał twarz jego ojca, jedyne go człowieka, którego Borys naprawdę się bał.

Zniósł trupa i wrócił do pokoju. W chwili, gdy zmieniał zakrwawione ubranie, opanowała go dziwna zachcianka. Przelotnie popatrzył na fotel i z pewnym zdziwieniem stwierdził, że choć nigdy tego nie robił, ma teraz ogromną ochotę w nim usiąść. Przystanął w pół kroku, gapiąc się na mebel, który, to musiał przyznać, w pewien sposób fascynował go od zawsze. Miał wrażenie, jakby zagięcia skóry na fotelu kusiły go, by usiadł, jakby znów namawiały go do czegoś, co normalnie jest zakazane i nieosiągalne.

Uczucie to nie było czymś nowym ani obcym. O nie, poznał jego smak zaraz po tym, gdy fotel znalazł się w jego posiadaniu. Znalazł go na dole, w piwnicy, do której znosił trupy. Kilka miesięcy temu jego brat z jakiegoś powodu przez dłuższy czas nie odbierał klientów.

Dlatego też w pewnym momencie w tak wygodnej dotąd piwnicy zrobiło się nagle wyjątkowo ciasno. Tak ciasno, że zwyczajnie nie miał już gdzie pakować ich w worki i układać. Właśnie wtedy, choć mógł przysiąc, że wcześniej go nie było, pierwszy raz dostrzegł fotel. Stał tam, ogromny, rozlazły, niepokojący, w ciemnym kącie pod ścianą. Pchnięty nagłą myślą, usadził na nim nowego trupa i ze zdziwieniem odniósł wrażenie, że wiotkie ciało i ciężki, samotny mebel doskonale do siebie pasują. W jakimś sensie, którego nie był w stanie pojąć, uzupełniają się.

Od tamtej pory zaczął regularnie sadzać w nim klientów. Oczywiście przez chwilę zastanawiał się, czy ktoś mebla nie podrzucił, czy nie widział ciała, ale rutyna kolejnych dni i chyba sama obecność fotela - szybko go uspokoiły. Zaczął nawet swoistą zabawę „w

sadzanego", i kiedy już miejsce w piwnicy się zwolniło, nadal korzystał z mebla. Z bezwładnie opierających się na poręczach rąk, niemrawo dyndających nóg oraz spuszczonej głów tworzył swoiste, fotelowe układy. To było jak puenta kończąca każde zlecenie. W końcu zaczął czuć się od tego procederu uzależniony, a kolejne myśli, pewnie dzięki pojawiającym się coraz częściej w nocy dziwnym snom, kazały mu w końcu zanieść mebel na górę, do mieszkania. Tam zaczął sadzać w nim nie trupy, lecz jeszcze żywych klientów, tuż przed egzekucją, i dopiero wtedy wykonywać wyroki. Był pewien niesłychanej oryginalności tych zabiegów. Te teatralne sceny, moment wiązania, opowiadania o wyroku i w końcu szukania łuski po strzale. Nigdy nie miał tyle satysfakcji z zabijania. Nigdy też tyle o tym nie myślał. Był z siebie dumny, a fotel zaczął jakby coś do niego szeptać...

Najgorzej było, kiedy zapadał zmrok i spętany nagłym przypiływem kojącego zmęczenia Borys kładł się spać. Wtedy, czasami zdawało mu się, że słyszy drażniące ucho ciche szmery. Leżąc w ciemnościach, gapił się wówczas na fotel i nie wiedząc czemu, czuł się coraz bardziej nieswojo, jakby tam pod spodem, chowając się pod krótkimi rzeźbionymi w ciemnym drewnie nogami, coś się czaiło. Jakieś czarne, włochate stworzenia, niczym mrowie nieustannie poruszające się między szarością podłogi a czernią obicia. Patrzące na niego matowymi, czerwonymi oczyma. Nie bał się ich, w pewnym sensie czuł z nimi jakąś nieopisaną więź, ale w każdej z takich chwil dopadało go uczucie niepewności. Nie wiedział, co stałoby się ze światem, gdyby pod fotelem rzeczywiście coś było. Nie wiedział nawet, dlaczego nagle zaczął się zastanawiać nad takimi rzeczami. Nigdy więc nie odważył się zejść z łóżka i zajrzeć pod mebel, by odgonić omamy. Wolał usnąć i śnić o tym ciągłym ruchu tysięcy sylwetek, o szemraniu, a fotel podsuwał mu myśli.

Tak więc Borys stał i gapił się na fotel, choć można by odnieść wrażenie, że jest na odwrót. Pragnienie usadowienia się w jego miękkich, skórzanych ramionach uderzyło go z podwójną siłą. W końcu nie wytrzymał. Podeszedł bliżej i bardzo powoli opadł na skórzane oparcie. Było wygodne, nawet niepokojąco wygodne i nagle przeszył go spazmatyczny dreszcz. Coś dziwnego zaczęło uwierać go w plecy. Zerwał się na równe nogi i odskoczył jak oparzony. Fotel nawet się nie poruszył, nie skrzypnęła żadna ze sprężyn. Borys zaczął wyłamywać sobie palce, aż w końcu wziął się w garść i znowu zbliżył do nieruchomego mebla. Ostrożnie wyciągając rękę, delikatnie przejechał dłonią po szerokim oparciu. Zaczynając od zagłówka, dokładnie pośrodku, przez całą jego długość biegł wąski pasek wypukłości. Jakby ktoś wszył coś do środka. Coś, czego nigdy wcześniej nie zauważył. Całość miała formę pałaka złożonego z wielu kostek rozłączonych wklęsłościami. Borys zmusił się, by znowu dotknąć oparcia. Skojarzenia, które pojawiły się w jego głowie, zdawały

się być szalone i nedorzeczne. Musiało minąć przynajmniej pół godziny, zanim kolejny raz zdecydował się zbliżyć do mebla i rozpocząć nieśmiało badania. Zwrócił wtedy uwagę także na inne części fotela. Każda wyglądała teraz odrobinę inaczej. Jakby ktoś umiejętnie pofałdował całe obicie. Myśli w jego głowie szaleńczo ścierały się ze sobą, tworząc niesamowity mętlik i przyprawiając o ból w skroniach. Wreszcie przestał w ogóle zastanawiać się nad racjonalnym wyjaśnieniem. Wszystko, co mógł zrobić, to usiąść na łóżku i powtarzać sobie, że nie zwariował, gapić się na mebel. Czuł się zupełnie bezradny. Nogi przypominały mu kamienne bryły. Nawet nie próbował ich rozprostować. W końcu w przepływie jasności umysłu doszedł do wniosku, że powinien natychmiast wyjść z mieszkania. Wyjść, zaczerpnąć świeżego powietrza i najlepiej jeszcze gdzieś wstąpić na szybkiego. Przewycięzył bezradność i ruszył do drzwi. Chwycił za klamkę, a wtedy pokój zniecka zawirował. Borys stęknął, po czym zwałił się na ziemię.

Obudził się w nocy, krzykiem wyrывая umysł z kolejnego koszmaru. Chciał usiąść, lecz kiedy tylko przypomniał sobie o fotelu, niedawna bezradność spadła na niego z podwójną siłą.

Jak ludzka mucha na czarnej, smolistej pajęczynie, przeszło mu przez myśl. Sam już nie wiedział, co bardziej go przeraża, obce mu myśli, czy to, iż pokój znów zaczął wirować. Zanim stracił świadomość, przeszył go jeszcze jeden spazm strachu, nie mógł poruszać nogami.

Skulony leżał tak przez wiele godzin. Kiedy znów się przebudził, słabość trochę ustąpiła. Zdezorientowany spróbował wstać i udało mu się.

- Jestem chory - sapnął. Wczołgał się na łóżko i leżąc, spojrzał na fotel. Spojrzenie sprawiło, że poczuł w oczach ból. Wokół coś się działo, ruch w powietrzu dookoła, w narastających boleściach głowy i rąk. Chciał się im oprzeć, a jego opór powędrował w stronę ukrytego teraz w cieniu mebla. Rozumiał to, choć nie potrafił wyjaśnić, skąd bierze się to zrozumienie. Były to ostatnie chwile, które przeżył, pamiętając kim jest i gdzie się znajduje. Później jego zachowanie przypominało bezduszny automat. Fotel wypełniał mu cały umysł. Raz większy, raz mniejszy, raz w brudnej, błotnej mazi, a już po chwili w przypominającej świńską, ciemnej skórze pełnej porów. Wszystko przestało dla niego istnieć. Z trudem oddychał i czasem przetykał ślinę... W nieznanym mu sposób znów znalazł się w objęciach mebla. Siedział w nim zupełnie nieruchomo, nie zwracając uwagi na cierpiące stopy i ręce, a fotel wydawał się powolutku zmieniać. Rozwijał się, jak pączkująca roślina w czasie ciepłego deszczu. Raz przyspieszał, po godzinie znowu zwalniał, obserwował, syczał i nabierał nowych kolorów. Następane dwa dni wyglądały tak samo. Borys nie opuszczał mieszkania, nie

jadł i nie pił. Raz tylko pozwolono mu wstać i zadzwonić do brata. Wycharczał do słuchawki, że jest chory i że zleceń na razie nie przyjmuje, potem wrócił na fotel. Ostrożność przestała istnieć. W głowie pojawiły mu się teraz nowe wizje, szybkie, uciekające do tyłu obrazy wszystkich mordów, w których brał udział. Strzały, krew, uderzenia szpadłem, kopanie, obcięte palce, wrzaski, podcięte gardła - migwały jeden za drugim, od pierwszego w życiu do ostatniego: chłopiec, dziewczynka, kierowca, Polak...

Wreszcie pewnej nocy Borys, pchnięty dziwną siłą, nie widząc w myślach już nawet fotela, wstał, przeszedł przez pokój i zwałił się na łóżko. Skórę miał wysuszoną, każda kość była na wierzchu, a szeroko otwarte, zapadnięte do środka oczy drgały wpatrzona w nicłość. Wtedy ciężkie i piekące powieki opadły. Sen, który natychmiast nadszedł, w zwariowanym tańcu zmieniających się obrazów porwał go w koszmarną podróż. Widział blade, martwe twarze, szklane, nieruchome oczy, widział nienaturalnie ogromną piwnicę o zabrudzonych rdzawą krwią ścianach i wciąż czuł na sobie łakome spojrzenia wijących się w ciasnej gromadzie, małych, czarnych istot. Ich spojrzenia, teraz już bez cienia ciekawości, zwyczajnie chciały się w niego wgryźć. Wgryźć i w swym niesamowitym tańcu objeść jego ciało do zimnej bieli kości, aby najeść się do syta...

Tymczasem fotel, którego sylwetkę senne mary skrywały przed oczyma Borysa, zaczął zmieniać się coraz bardziej i coraz szybciej. Zdawał się niemal falować w nieustannym, drżącym ruchu. Zagłówek, wykrzywając się, jęczał, skóra trzeszczała, ledwo wytrzymując napięcia, aż wreszcie z sykiem rozrywanego ciała wszystko się skończyło.

Borysa obudziło szuranie. Powoli podnosząc się z łóżka, odruchowo sięgnął ręką, by otworzyć żaluzje i po chwili pomieszczenie zalało światło chłodnego, zimowego poranka. Czuł się pusty. Fotela nie było. Zamiast mebla na podłodze leżało jakieś oślizgłe ścierwo. Borys przełknął ślinę i wytrzeszczając oczy, spojrział w lewo. Niedaleko płamy stało krzesło, całkiem zwykłe, drewniane i najwyraźniej przyniesione z kuchni. Zamrugał zaczerwienionymi oczyma.

Na krześle siedział on sam. Nagi, wyprostowany, jakby „wybacząco” uśmiechnięty. Oczy przypominały dwie wąskie szparki. W normalnej sytuacji Borys z pewnością sięgnąłby po zapasową broń przyklejoną do oparcia łóżka, teraz jednak nie pamiętał o niczym. Chciał otworzyć suche, popękane usta i nabrać tchu. Wtedy zobaczył, że jego odbicie wyjęło zza pleców pistolet i wymierzyło w niego. Znów odruchowo, jak w wodzie, jego ręka wolno popłynęła do oparcia łóżka - pusto, broni nie było. Potem rozległ się strzał. Jeden, czysty, prosto między oczy. Borys opadł w pościel, a biel poduszki starła się z wciąż napływającą czerwienią. Odbicie bacznie śledziło lot wirującej łuski, którą nieznacznym ruchem dłoni

złapało tuż nad podłogą. Chwilę jeszcze obserwowało trupa, po czym wstało i zaczęło się ubierać w wiszące w szafie ubrania. Pasowały idealnie. Cicho wyszło z mieszkania. Później zeszło po schodach do drzwi prowadzących na tyły budynku. Kiedy było już na zewnątrz, wzięło potężny zamach i kopnęło w leżące tam kartony. Ulicą poniósł się ludzki skowyt, po którym padł strzał. Po nim zapadła cisza.

ΚΛΑΤΩΑ Ζ Ο.Ο.

Podobno tuż przed śmiercią w głowie umierającego następuje „przegląd życia”. Mówią, że wygląda to, jak przewijanie szpuli z filmem po skończonym seansie. Naukowcy twierdzą, że jest to emocjonalna obrona przed myślą o samozagładzie. To nie do końca tak... Tuż przed śmiercią w naszych głowach rzeczywiście pojawiają się wspomnienia, ale ich miraż zabiera nas w sentymentalną podróż tylko do momentu, w którym popełniliśmy pierwszy błąd na drodze ku śmierci. Czasami jest to podróż wstecz liczona w latach, niekiedy są to tylko miesiące. Dla Wiktora Little było to dokładnie siedem dni - tyle samo, ile Bogu zajęło stworzenie świata.

Wszystko zaczęło się w niedzielę. Wik od rana zwiedzał miejski park, czekając, aż zwolni się miejsce na jego ulubionej ławce. Zieloną ławeczkę, z której można było obserwować sztuczny staw, okupowała młoda dama z dzieckiem. Niemowlę spało w nosidełku, a mama z pisakiem w ręku rozwiązywała krzyżówkę w kolorowym czasopiśmie. Pan Little miał okazję uważnie przyjrzeć się temu procederowi, bowiem w ciągu ostatnich dwudziestu minut mijał miłośniczkę krzyżówek przynajmniej trzy razy.

W weekend zaczął się jego urlop. Żona, z którą Little mniej lub bardziej szczęśliwie przeżył ostatnie piętnaście lat, pojechała z koleżanką ze studiów na dwa tygodnie do Egiptu. Wik nie protestował. Wręcz zachęcał ją do kosztownego wyjazdu, samemu wymawiając się nadmiarem pracy na uniwersytecie, gdzie wykładał literaturę romantyczną. Własny urlop chciał spędzić samotnie. Planował wykorzystać ten czas na to, aby zakończyć romans, w który wplątał się już jakiś czas temu. Obiecał sobie, że gdy tylko porzuci kochankę, skupi się na małych przyjemnościach. Jedną z nich było właśnie spędzanie czasu na ławce w otoczeniu zieleni. Wiktor uwielbiał siadać sobie w parku z numerem magazynu dla wędkarzy. Od czasu do czasu podgryzał soloną bułkę i zapijał ją gorącą herbatą. Mijający go ludzie sprawiali, że czuł się bezpiecznie, a spadające z drzew złotawe liście przypominały mu romantyczne historie, o których tyle razy opowiadał studentom, prezentując na wykładach obszerne fragmenty *Zamku Otranto* czy *Rozważnej i Romantycznej*.

Jedynym problemem pozostawała tylko kobieta z dzieckiem. Przy trzecim okrążeniu parku, zrezygnowany Wik zaczął szukać innej ławki, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że

kompromis tego rodzaju zniszczyłby harmonię pierwszego dnia urlopu. Kilka minut później rzeczywistość sama podsunęła mu rozwiązanie.

W parkowym koszu na śmieci grzebał przygarbiony kloszard. Wiktor podszedł do niego i na próbę wciągnął głębiej powietrze. Omotany brudnym szalem osobnik cuchnął odpowiednio okropnie. Little skrzywił się i podjął działania zmierzające do przejścia ławki. W zamian za piątką, nieznajomy zgodził się usiąść na chwilę obok damy z dzieckiem.

Miejsce zwolniło się niemal natychmiast. Wzburzona dama zwinęła gazetę w rulon, chwyciła dziecięce nosidełko i nie oglądając się za siebie, pomknęła przez park w stronę bramy wjazdowej. Kloszard zachęcony sukcesem, zażądał kolejnego piątką, tym razem w zamian za zwolnienie ławki Wikowi.

Kiedy Little rozsiadł się w końcu wygodnie i z westchnieniem ulgi założył nogę na nogę, zza chmur wyszło słońce i uczynnie ogrzało jego krągłą twarz ciepłymi promieniami. Wiktor wyjął najnowszy numer „Rybki”, odkręcił termos i na próbę zaciągnął się zapachem herbaty. Zaczął szperać w kieszeni płaszcza, szukając okularów i nagle poczuł, że spoczywa w niej spora koperta. Najwyraźniej musiał zapomnieć o tym, że opróżnił rano skrzynkę pocztową. Wyjął znalezisko i zaczął mu się uważnie przyglądać. Na białej kopercie wypisano czarnym tuszem jego imię, nazwisko oraz adres. Znaczek wskazywał na to, że list wysłano z miasta, w którym obecnie mieszkał. Nadawcą była firma o dźwięcznej nazwie *Pathos*. Wiktor miał nadzieję, że jest to list z wydawnictwa, informujący o publikacji kompletu artykułów, które w zeszłym miesiącu rozesłał w kilka miejsc. Drżącymi palcami rozpieczętował kopertę, zacinając się przy tym w opuszek palca, i po chwili jego oczom ukazała się następująca informacja:

Szanowny Panie

Pathos Incorporated informuje, że rzucono na Pana klątwę czwartego stopnia w ogólnie przyjętej skali. Klątwa nosi nazwę Trivium i rozpocznie swe działanie dokładnie dwudziestego października, w poniedziałek o godzinie jedenastej. Informacja, którą Panu przesyłamy do niczego Pana nie zobowiązuje. Firma Pathos Inc. prowadzi jedynie działalność doradczą.

Życzymy wszystkiego dobrego.

Eric Van Denn Haas
Dyrektor do spraw obrzuconych

Wiktor Little zmarszczył czoło. Treść listu wydała mu się tak bardzo abstrakcyjna, że musiał się z nią zapoznać raz jeszcze. Nawet po drugim czytaniu nie do końca dotarło do niego, co właściwie napisano na białej kartce papieru. Obrzucił ją ponownie nerwowym spojrzeniem. W górnym prawym rogu wyraźnie wypisano jego imię i nazwisko. Na dole umieszczono firmową pieczęć tajemniczej *Pathos Inc.* Jej logotyp przedstawiał schemat serca, na którym widniały biała i czarna kropka - podobne nieco do chińskiego znaku równowagi. Wiktor czuł jednak, że w tym przypadku chodzi o coś innego niż zwykle *yin i yang*.

Przygryzł dolną wargę. Czyżby przesyłka była częścią którejś z agresywnych akcji promocyjnych wprowadzanego na rynek produktu? Jego uwagę zwrócił także brunatny odcisk palca na dole listu. Little zbliżył nos do kartki, aby uważniej się przyjrzeć. Akurat w tej chwili słońce przysłoniły chmury i dookoła zrobiło się nieco ciemniej. Wiktor wpatrywał się w odcisk i powoli nabierał pewności, że na liście pozostawiono ślad krwi...

- Tego już za wiele - bąknął nieśmiało do samego siebie. - Głupie żarty...

Nie zdążył dodać nic więcej, bo zerwał się silny wiatr i odłożona na bok „Rybka” zatrzepotała kartkami, wzbijając się w powietrze. Spadła z ławki i turlając się po parkowej ścieżce, dotarła nad staw. Wicher zadał ponownie i gazeta uderzyła z pluskiem w granatową taflę wody. Wik patrzył na to wstrząśnięty. W końcu zerwał się z ławki, potracając przy tym termos z gorącą herbatą. Nakrętka nie była dokręcona i płyn chlusnął wprost na nogawki jego spodni. Wiktor wrzasnął. Gorąca herbata parowała, szybko wsiąkając w ziemię, a oparzona łydka zapiekła nieprzyjemnie, sprawiając, że Little podskoczył na jednej nodze.

- Jasna, pieprzona w dupę cholera! - ryknął z całych sił, dając upust złości.

Miał ochotę rozwinąć wykrzyczane epitety w coś naprawdę oryginalnego, ale nagle zwrócił uwagę na policjanta, który raźnie maszerował w jego stronę parkową aleją. Funkcjonariusz miał wredny wyraz twarzy. Wiktor bez słowa zamknął usta. W ręce nadal ścisnął list. Spojrzał na białą kartkę. Pierwszym słowem, na którym zatrzymał się jego wzrok, było słowo „kłątwa”.

Wchodząc do budynku, czuł się nieswojo. Siedziba tajemniczej firmy *Pathos* mieściła się w bankowej dzielnicy miasta, w jednym ze szklanych wieżowców o nowoczesnej, powykręcanej architekturze.

Przywykły do literackich opisów wrzosowisk oraz do całkiem rzeczywistego bałaganu, który zalegał w jego gabinecie, Little czuł się we wnętrzu szklanego kolosa niczym John McLane.

W windzie, która pędziła na trzydzieste piętro, zrobiło mu się duszno i dopadł go klaustrofobiczny lęk. Zaczął kaszleć. Jego kaszel był mokry i nieprzyjemny do tego stopnia, że rzucający mu zaniepokojone spojrzenia pasażerowie zdecydowali się czym prędzej wysiąść na najbliższym piętrze. I tak oto, pozostając tylko z własnym odbiciem, zawiniętym dookoła stalowych uchwytów windy, Little dojechał na miejsce.

Przemierzył niepewnie szeroki korytarz i dotarł do recepcji. Za kontuarem nie siedziała sekretarka, lecz młody człowiek w garniturze. Na głowie miał słuchawki, a pod nosem sterczał mu patykowaty mikrofon. Na ścianie za jego plecami wisiała szklana konstrukcja, przedstawiająca serce z zaznaczonymi symbolicznie dwiema komorami - białą i czarną.

- Czym mogę służyć? - zapytał mężczyzna, zakrywając ręką mikrofon.

Wiktor przez chwilę rozważał różne warianty odpowiedzi na to proste z pozoru pytanie. Wreszcie, przypominając sobie, że jest filologiem, odparł z lekko ściśniętym gardłem.

- Ja w sprawie klątwy...

- Naturalnie - odparł mężczyzna. - Czy chce pan zamówić usługę?

Wik poczuł się zbity z tropu.

- Nie... - powiedział, chcąc wyrażać się precyzyjnie i zmniejszyć szansę wyjścia na kretyna. - Klątwę rzucono na mnie... - dodał, spodziewając się wybuchu śmiechu i nadbiegającej ekipy telewizyjnej z kamerami.

Nic takiego jednak się nie stało. Mężczyzna ze słuchawkami na głowie uśmiechnął się dobrotliwie.

- Rozumiem - powiedział, odsuwając się od swego stołu, aby sięgnąć do czerwonego telefonu.

Wiktor zauważył, że młody człowiek porusza się na elektrycznym wózku.

- Moja przygoda z firmą zaczęła się od tego samego - dodał uprzejmie młodzieniec i bąknął coś niezrozumiale do czerwonej słuchawki. - Pan Van Denn Haas chętnie pana przyjmie. To on odpowiada za te sprawy. Pokój 113, pierwsze drzwi po lewej na końcu korytarza - wskazał drogę wolną ręką. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

Van Denn Haas był potężnym mężczyzną w średnim wieku. Miał smoliście czarne włosy i orientalne rysy twarzy. Lewą ręką bawił się dwiema stalowymi kulkami, które wirowały pomiędzy jego palcami, pobrzękując od czasu do czasu. Za każdym razem, kiedy

rozlegało się ciche „dzyń, dzyń”, Haas krzywił się z wyraźnym niezadowoleniem i wywracał oczy do góry.

- Co pana do nas sprowadza? - zapytał równie uprzejmie co portier i wskazał Wiktorowi fotel.

Wik bez słowa podał mu wymiętoszony list. Haas przyglądał się przez chwilę kartce papieru, mamrotał coś pod nosem, aż w końcu skinął głową.

- Trzystopniowa klątwa, niezbyt skomplikowana, dobra, solidna robota w uczciwej cenie.

Kulki w jego dłoni ponownie zadzwoniły.

- Czyli dobrze trafiłem? To nie jest żart? - Wik wpatrywał się w niego uważnie. - Państwa firma naprawdę zajmuje się rzucaniem klątw na ludzi?

Haas rozparł się na krześle.

- To nie żart drogi panie - potwierdził. - Jesteśmy firmą z ogromnymi tradycjami, najdłużej na rynku w tej branży. Dysponujemy największą liczbą placówek. Na Bliskim Wschodzie mamy ich więcej niż *Wal-Mart* w USA - uśmiechnął się. - Muszę także dodać, że doradzamy, jak rzucać klątwy nie tylko na ludzi, ale również na zwierzęta...

- Nigdy o was nie słyszałem.

- No cóż. Nie musimy ogłaszać się w *Timesie*, aby zdobyć klientów. Żyjemy dzięki wielkim inwestorom, wie pan... Duże rzeczy. Dopiero ostatnio zaczęliśmy otwierać się także na klientów indywidualnych, ot ludzi z ulicy - takich jak pan... W czym mogę pomóc, panie Little?

Wiktor zastanawiał się nad tą kwestią, starając się opanować nerwy. Przyjechał tu kierowany impulsem. Miał nadzieję, że cała sprawa okaże się nieporozumieniem lub żartem.

- Ta klątwa oznacza, że mam wroga - powiedział po chwili namysłu. - Chciałem się dowiedzieć, kto ją na mnie rzucił?

- W tej sprawie niestety nie mogę panu pomóc - odparł poważnie Haas. - Nie możemy ujawniać danych naszych klientów. Ze zrozumiałych względów są one utajnione i znają je jedynie pracownicy firmy. Mogę przyjąć od pana zażalenie, doradzić w sprawie klątwy, którą na pana rzucono, wysłuchać skargi, ale niestety nic więcej - rozłożył ręce, a stalowe kule o dziwo nie wypadły mu na podłogę.

Przerwał im dźwięk otwieranych drzwi. Do pokoju weszła niewysoka kobieta o wyjątkowej urodzie. Miała ognistorude włosy i jasną cerę twarzy.

- Znajomi pani Lili znowu przypalili dywan w gabinecie! - powiedziała wysokim głosem. - Zachowują się wobec mnie wyjątkowo nieprzyzwoicie! - mówiąc to, wskazała na rozdartą spódnicę i dziurawą pończochę. - Pójdę z tym na skargę wyżej, jeśli trzeba!

- Moja droga! - Haas poderwał się z fotela. - Doprawdy, nie ma takiej potrzeby. Sam się wszystkim zajmę. Dokończę tylko rozmowę z panem Little... Tymczasem idź się przebrać, a na drzwiach pokoju Lili powieś tabliczkę z napisem „Nie przeszkadzać”. Wiesz którą... Tę z pieczątką, dobrze?

Kobieta nie odpowiedziała. Odwróciła się i wyszła, trzaskając drzwiami. Haas z przepraszającym uśmiechem ponownie usadowił się w fotelu.

- Na czym stanęliśmy? - zapytał.

- Na tym, że nie wyjawiacie danych swoich klientów - odparł Little, przywołując w myślach obraz łydek damy o płomiennych włosach. - Wobec tego chciałbym wysłuchać porady w sprawie mojej klątwy - kontynuował.

Kulki Haasa cicho zadzwoniły.

- W tej wyjątkowej sytuacji... - powiedział Haas. - Doradzę panu gratis.

Ponownie wziął do ręki list Wiktora.

- Problemy zaczną się jutro około jedenastej - westchnął. - Proszę uważać na sprawy żołądkowe, środki komunikacji, psy oraz swoją pracę. Komplikacje dobierane są losowo. To tańsza klątwa, więc nie ma możliwości dokładnego określenia przypadłości, które pana spotkają. Pojutrze około godziny trzynastej powinno być już po wszystkim. A z tym wrogiem, to bym nie przesadzał. Takie klątwy są zwykle wynikiem przejściowej złośliwości, a nie otwartej wrogości - dodał z miną znawcy i wstał zza stołu.

Little słuchał tego wszystkiego lekko skonsternowany. Nadal nie wierzył w żadne klątwy. Cała ta sytuacja wydawała mu się coraz bardziej niedorzeczna. Z zamyślenia wyrwał go zapach spalenizny, który napływał od strony drzwi.

- Jeśli nie ma pan więcej pytań... - zaczął przepraszająco Haas i podał mu wizytówkę. - Proszę zadzwonić, jak już będzie po wszystkim. Polubiłem pana. A teraz... Wzywają mnie obowiązki...

Zapach spalonego materiału wyraźnie przybrał na sile.

Następny dzień zaczął się przyzwoicie. Przez noc Little zdołał niemal całkowicie zapomnieć o całej aferze z klątwą. Rankiem ukoił nerwy kubkiem ciepłego mleka z masłem i miodem. W dzieciństwie, kiedy nie chciał iść do szkoły, napojem tym poila go mamka z Polski. Niestety

żona Wika nie znosiła mleka, a na miód pszczeli była mocno uczulona. Od jednej kropelki puchła jej cała twarz.

Little opróżnił kubek i skończył oglądać poranny serwis informacyjny. W chwilę później zaczęła mu się marzyć jajecznica. Przywdział szlafrok, po czym recytując z pamięci kolejne wersety *Wichrowych wzgórz*, zabrał się za przygotowywanie boczku i jajek. Jednym okiem nadal oglądał telewizję. Około godziny dziesiątej na kanale dwudziestym emitowano program o malowaniu obrazów. Tym razem prowadzący go Steve Blurr zaprosił jako gościa Sylvestra Stallone'a. Panowie wspólnie namalowali martwą naturę, która w ciągu godziny miała być zlicytowana na rzecz pomocy domom dziecka.

Żując skórkę od boczku, Wiktor doszedł do wniosku, że świat nie jest taki zły, jak mu się wydawało...

Około godziny jedenastej, kiedy czyścił sobie zęby dentystyczną nicią, zadzwonił jego służbowy telefon. Niechętnie sprawdził na wyświetlaczu, kto chciał się z nim skontaktować. Dzwonił rektor.

- Wik? Jesteś t-tam?

Wiktor już dawno odkrył, że stary Moley jąka się tylko wtedy, gdy ma do załatwienia wyjątkowo ważną sprawę.

- Jestem, Charles - odparł niechętnie. - Przy okazji przypominam ci, że mam urlop! - zaznaczył szybko. - Te artykuły o XVII-wiecznym kulcie dziewictwa oddam za tydzień. Wspominałem o tym w sekretariacie.

- Do d-diabła z artykułami - zaczął rektor. - Mam t-tu mały problem. Przyjechał do nas niejaki Timpelton. Ma przeprowadzić wizytację naszej k-katedry...

- Nie bardzo rozumiem, co to ma wspólnego ze mną? - odparował Wiktor. - Ja mam u-urlop - powiedział i zaraz ugryzł się w język.

Po drugiej stronie słuchawki na chwilę zapadła cisza.

- Wik... - zaczął rektor bardziej piskliwie, niż poprzednio. - N-nie zasłaniaj się urlopem. Dobrze wiesz, że mogę go cofnąć w związku z tą w-wizytacją.

Głos Moleya zabrzmiał złowrogo.

- OK, Charles... Poddaję się, powiedz, o co właściwie chodzi?

- Timpelton będzie gościem na oficjalnej kolacji, którą wydaję dziś wieczorem. Pojawia się na niej wszyscy szefowie katedr naszego wydziału. Dlatego nawet pomimo u-urlopu chciałbym, abyś d-do nas dołączył...

Wiktor powstrzymał się od przekleństwa. Nie znosił spędzać kolacji w towarzystwie zawistnych dupków z wydziału anglistyki, którzy chcieli kiedyś zostać pisarzami, ale im nie

wyszło. Szczerze ich nie cierpiał. Sam zaliczał się do wąskiej grupy pracowników, którzy napisali kiedyś powieść, uznaną przez krytykę, dostali pracę na wydziale i od lat nie byli w stanie napisać kolejnej, równie dobrej...

Z niechęcią zgodził się przyjąć zaproszenie profesora.

- Wik... Jeszcze j-jedno - dodał na koniec Charles. - Moja żona... Moja żona prosi, żebyś pamiętał o jakichś ciastkach. Podobno zawsze przynosisz je ze sobą. Barbara twierdzi, że pasują do ulubionego wina Timpeltona... Mam nadzieję, że to nie jest kłopot, Wik?

- Skądże znowu - bąknął Wiktor, po czym obaj panowie szybko się pożegnali.

Wspomniane ciastka były wyjątkowe nie tylko jeśli chodzi o walory smakowe. Książka napisana przez Wiktora kilkanaście lat temu dała mu możliwość pracy na wydziale literaturoznawstwa, ale to ciastka przesądziły o tym, że etat przypadł właśnie jemu. Te same ciastka sprawiły, że Wiktor sukcesywnie wspinał się na kolejne szczeble kariery i nie przepracowywał się przy tym ponad potrzebę. To właśnie przez kruche, waniliowe smakołyki Wik miał od ponad pięciu lat romans z żoną rektora.

Ktoregoś wieczoru przyjechał do rektora, aby oddać mu artykuł napisany dla jakiegoś mało istotnego wydawnictwa akademickiego. Wik był wtedy na etapie ciągłego podlizywania się Moleyowi. Charles wracał wtedy z konferencji. Jego lot mocno się opóźnił i rektor dotarł do domu dopiero następnego dnia. Tymczasem Wiktor dokonał prezentacji swojej osoby przed żoną Charlesa i w konsekwencji został zaproszony przez Barbarę na lampkę wina. Żona Moleya była wyraźnie znudzona kolejnym samotnym wieczorem. Barbarę zaintrygowało to, co Wiktor miał w wiszącym na ręce wiklinowym koszyku. Naturalnie spoczywały w nim jeszcze ciepłe, kupione w ostatniej chwili ciastka z wisienkami.

Rozmowa z panią Moley mocno się nie kleiła, więc Wiktor skłamał, że sam zajmuje się wypiekiem ciasteczek. Usiedli do kuchennego stołu. Kolejne anegdoty dotyczące profesorów z poprzedniej pracy Wika kilkakrotnie rozbawiły Barbarę, która zjadała się przysmakami. Nagle, sięgając po filiżankę herbaty, Wiktor niechcący dotknął jej dłoni. Spojrzał na panią Moley, która coraz wolniej żuła jedno z ciastek i patrzyła mu prosto w oczy. Przez kolejne dwie minuty żadne z nich nie wypowiedziało ani słowa. W końcu Barbara przestała bawić się pestką po wiśni. Zbliżyła twarz do twarzy zaintrygowanego Wika i pocałowali się - mocno i namiętnie. Pestka od wisienki powędrowała z ust do ust, a kolejny pocałunek został wzbogacony o szalone uściski. Następnie, pomagając sobie wzajemnie, zdarli z siebie ubrania i dokonali bardzo spontanicznego aktu miłosnego na kuchennej podłodze. Drugi raz kochali się godzinę później, w bibliotece - na ulubionej kanapie Moleya.

Romans Wiktora i Barbary trwał przez kolejne lata, nie wychodząc poza pewne ustalone ramy i za każdym razem, kiedy spotykali się na radosne *tête-à-tête*, Wik zabierał ze sobą miskę pełną ciastek z wisienkami. Poza szalonymi spotkaniami prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Łączyła ich jedynie pełna pasji, zakazana namiętność, pyszne ciastka i fakt, że Barbara od lat dbała o rozwijającą się z wolna karierę Wika.

Kłopot polegał na tym, że na drugi wieczór urlopu Wiktor nie planował ani kolacji w gronie uczelnianych kolegów, ani spontanicznego seksu z Barbarą. Nie widział się z nią od miesiąca. Na dodatek ostatnimi czasy spotkania z żoną Moleya wydawały mu się coraz bardziej kłopotliwe. Miał już dość ugruntowaną pozycję w swojej katedrze, a ochota na seks malała z każdym rokiem. Dwa tygodnie temu Wik postanowił, że zakończy romans i da sobie spokój z Barbarą. Nadal jednak nie miał pojęcia, jak to zrobić.

Poirytowany, rozmyślał o tym wszystkim, zbliżając się do cukierni specjalizującej się w wyrobie kokosowo-waniliowych ciastek z wisienkami w środku.

Wkrótce okazało się, że tego dnia równie poirytowany był także szef wspomnianej cukierni. Pan Alfonso Buta - kobieciarz i genialny cukiernik w jednej osobie, pierwszy raz w życiu nie popełnił sam cudzołóstwa. Przyłapał na nim własną narzeczoną, śliczną Valerie. Alfonso prawdopodobnie zniósłby jakoś ową zdradę, gdyby nie fakt, że ukochana została nakryta na obściskiwaniu się z inną kobietą... Wybranką jej gorącego serca była czarnowłosa kasjerka imieniem Malice. Dziewczyna zakochała się podobno w smukłych kształtach szyi narzeczonej pana Buty.

Tak oto wchodzący do cukierni Wik minął się z wybiegającym stamtąd panem Alfonsem, który wykrzykiwał włoskie przekleństwa, darł włosy z głowy i pędził przed siebie, nie bacząc na mijające go samochody. Kiedy znikł za rogiem ulicy, lekko oszołomiony Wiktor wszedł do cukierni. Nie miał pojęcia o tym, że wybiegający z lokalu Alfonso chwilę wcześniej przyjął melodramatyczną pozę, zdarł z palca Valerii zaręczynowy pierścionek z białego złota, po czym cisnął nim wymownie za siebie. Świecidełko przeleciało łukiem nad głową jego narzeczonej i wpadło do wielkiej miski w kwiaty - tej samej, w której od lat wyrabiano ciasto do pieczenia specjału cukierni „Pod Wisienką”...

Barbara miała tego wieczoru włosy ufarbowane na blond, a na jej twarzy pojawił się pieczołowicie nałożony makijaż. Napawało to Wiktora niepokojem, który przerodził się w strach, gdy tylko pani Moley poprosiła go, aby zaniósł ciastka do kuchni. Zbliżała się pora podwieczorku, a ona właśnie zabierała się za jego przygotowanie. Zebrani przy stole ludzie nauki nie zwracali na nich uwagi. Żony profesorów i adiunktów omawiały projekty ogródków

warzywnych, a towarzyszący im panowie wyteźali pamięć, przypominając sobie tytuły ich ostatnich publikacji na tak fascynujące tematy, jak: „Literackie błota, czyli rzecz o deszczu zmiękczającym fabułę romansów”, czy też „Antropologiczne aspekty rytualnych mordów w południowoamerykańskiej literaturze nacechowanej politycznie”.

Kiedy Wik opuszczał salon, ściskając pod pachą miskę pełną ciastek, profesor Moley wybiegał właśnie do biblioteki w poszukiwaniu kopii artykułu, który napisał niegdyś do miesięcznika *Mokre pióro*. Gość wieczoru, Timpelton, dopiero co oświadczył, że *Mokre pióro* to prasowy tytuł, zajmujący się twórczością mniejszości seksualnych, które walczyły o swoje prawa w latach siedemdziesiątych.

Wiktor nie zdążył dojść do drzwi kuchennych, gdy nagle czyjeś ręce chwyciły go za klapy wysłużonej marynarki i wciągnęły do ciemnego schowka na wino. Miska z ciastkami niemal wypadła mu z rąk. Drzwi od piwniczki zamknęły się za nim cicho. Szczęknęła zasuwka i Wik poczuł unoszące się w powietrzu aromaty win, pomieszane z zapachem ulubionych perfum Barbary. Zapaliła się wisząca nad jego głową żarówka i zanim zdołał zamrunąć, poczuł, jak ktoś namiętnie liże go po policzku. Barbara zaczęła rozluźniać jego krawat. Jedną nogę postawiła na skrzynce od kalifornijskiego wina. Jej zadarta do góry spódnica ukazywała koronkowe wykończenie ciemnych pończoch oraz fragment podwiązek. Wiktor zacisnął mocniej ręce na misce z ciastkami. Trzymał ją przed sobą, niczym koło ratunkowe. Wtedy lewa dłoń Barbary sięgnęła jego krocza.

- Och! Wik! Nareszcie jestem przy tobie! - powiedziała, nie przerywając pieszczot.

Wiktor skupiony na obserwacji jej uda, nie odpowiedział od razu. W jego głowie pożądanie brało powoli górę nad rozsądkiem.

- Barbaro... - odezwał się w końcu. - Nie możemy tu zostać, zaraz ktoś zwróci uwagę na to, że nas nie ma, i pójdzie do kuchni...

Nie dane mu było powiedzieć nic więcej, bo usta pani Moley skutecznie mu w tym przeszkodziły.

- Nic nam nie grozi kochanie - wyszeptła po chwili. - Ta banda nudziarzy jest zajęta tylko i wyłącznie dyskusjami na temat własnych osiągnięć. Strasznie mi cię brakowało... Och! Wik! Tak się cieszę, że cię poznałam, że masz do tego wszystkiego dystans... Wik, zajmij się mną, kochaj mnie, tu i teraz... Gdybym tylko mogła zostać z tobą na zawsze...

Po tym dość melodramatycznym wyznaniu Barbara rozpięła mu spodnie. Wiktor starał się dla uspokojenia nerwów wyobrazić sobie, że jest Titanikiem i że widzi przed sobą wielką, zimną górę lodu... Pomogło.

- Barbaro, musimy porozmawiać - zaczął, stawiając ją na nogi. - Chciałem powiedzieć ci dzisiaj coś ważnego.

Pani Moley ścisnęła go pieśczośliwie za pośladki i pchnęła w stronę drzwi piwniczki.

- Zaraz spotka cię coś, co jeszcze nigdy wcześniej cię nie spotkało, żołnierzu... - zamruczała przeciągle i sięgnęła do miski z ciastkami. Odstawiła ją na bok i Wik poczuł się nagle bardzo bezbronny. Barbara wzięła jedno ciastko i oblizała je wolno, dotykając czubkiem języka wisienki, a następnie nadgryzła delikatnie kokosową panierkę. Wiktor wiedział, że musi zacząć działać.

- Chciałem powiedzieć ci coś ważnego Barb... - bąknął, czując, jak klamka od drzwi wbija się w jego krzyż.

Dokładnie w tym momencie Barbara natrafiła językiem na zaręczynowy pierścionek Valerii, który niespodziewanie znalazł się pomiędzy kawałkami ciastka i wiśni. Pani Moley zgrabnie wydobyla go z ust, a jej oczy urosły do rozmiarów pomarańczy. Popatrzyła na Wiktora, a następnie znowu na pierścionek. Wik nie mógł wykrztusić z siebie słowa.

- Wiedziałam, że mnie uratujesz... - powiedziała Barbara i rzuciła się na niego. - Kocham cię, Wik, kocham cię od dawna! - mówiła uniesionym głosem.

Wiktor stracił równowagę. Przytrzymując gramolącą się na niego Barbarę, trącił łokciem zasuwkę od drzwi. Już wcześniej napierał całym ciałem na klamkę, która w końcu posłusznie opadła w dół i oboje z Barbarą wypadli na korytarz.

W chwilę później otumaniony Little runął na podłogę, a Barbara usiadła na nim okrakiem, zadzierając ku górze spódnice. W palcach ścisnęła pierścionek. Spodnie Wiktora były wymownie rozpięte, ukazując fragment jego bielizny. W tej właśnie pozycji zastał ich profesor Moley. Wychodził akurat z biblioteki i kłął pod nosem, bo faktycznie udało mu się odszukać zapomniany egzemplarz *Mokrego Pióra*. Temat przewodni numeru brzmiał jednoznacznie: „Oscar Wilde i jego kochankowie”...

Charles popatrzył na Wika i na Barbarę niewidzącym wzrokiem. Następnie to, co zobaczył, zostało bardzo powoli zinterpretowane przez jego mózg i Moley wykrztusił z siebie niemrawe:

- B-b-b-b-b-arb-b-b-aro...

Jego żona zareagowała niezwykle żywiołowo. Pocałowała wstrząśniętego Wiktora i wykrzyknęła, że rzuca Charlesa w jasną cholere.

- Kochaj się ze swoimi książkami, durny impotencie! - ryknęła do niego, odrywając się od ust przerażonego Wika.

Następnego ranka po katastrofie, którą zakończyła się kolacja u Moleyów, Wiktor lizał rany, zabarykadowany w swoim mieszkaniu. Przezornie odłączył telefon i rozładował komórkę. Na nic zdały się próby wytłumaczenia Charlesowi, że zaszła pomyłka, że to wszystko jest jakimś obłędem (za słowo „pomyłka” Wiktor dostał od Barbary pięścią w nos).

Stary Moley pierwszy raz w życiu wpadł w niekontrolowany szał. Biegał po domu i krzyczał, że Barbara nie dostanie ani rozwodu, ani połowy jego majątku. Twierdził, że prędzej zabije siebie, swoją żonę i Wiktora, niż odda pieniądze, które miała zarobić jego najnowsza książka. Oskarżył Barbarę o podstępne szperanie w jego papierach, z których miała podobno wyczytać, na ile opiewała nowa umowa, zawarta między Moleym a wydawnictwem. Barbara, dowiedziawszy się w końcu o jakiej sumie mowa, wyraźnie złagodniała. Kiedy Wiktorowi udało się wreszcie zatamować krwotok z nosa, oskarżyła go o dosypywanie do ciastek afrodyzjaku, który zamieszała jej w głowie! Wykręciła Wikowi rękę i wcisnęła na jego mały palec niechcianą obrączkę.

Wracając od Moleyów, Wiktor otrzymał od Barbary długiego SMS-a. Pisała w nim, że Charles okazał się wyrozumiały i pozwolił jej ze sobą zostać. Wspomniała także o tym, że Wik może śmiało zacząć sobie szukać nowej pracy.

Po nieprzespanej nocy Little usadowił się w swym ulubionym fotelu, szczelnie owinął kocem i zaczął dumać nad tym, co powinien teraz zrobić. Stał się pośmiewiskiem na oczach wszystkich pracowników wydziału. Doskonale wiedział, że akademicki światek naukowy był wyjątkowo mały i wieść o jego przygodzie z pewnością szybko rozejdzie się po innych katedrach i instytutach. Wkrótce o wszystkim dowie się także jego żona - Tess.

Wik z marsową miną siedział wpatrzony w parujący kubek herbaty, na którym napisano „Chrzańcie te bzdury - oto moja mantra”. Nagle przypomniał sobie o klątwie i o przestroгах pana Van Denn Haasa... Krew napłynęła mu do twarzy, palce w niemej złości same zacisnęły się na oparciu fotela. I kiedy Wiktor wyobrażał sobie, jak rozrywa na strzępy tego, kto śmiał go przekląć, w mieszkaniu rozległ się dzwonek do drzwi. Dzwoniący natręt nie dawał za wygraną, więc Wiktor w końcu podniósł się z fotela, aby mimo wszystko sprawdzić kto to. Z tego co pamiętał, klątwa przestała działać już kilka godzin temu i teoretycznie nic mu już nie groziło.

Wyrzwał przez boczne okno, z którego roztaczał się widok na podjazd i fragment parkanu, ale nie dostrzegł nic podejrzanego. Po drugiej stronie ulicy uwijał się dostawca mleka i ogromni faceci, wystawiający kanapę z granatowego furgonu. Po chwili wahania Wik otworzył drzwi, gotów do natychmiastowej ucieczki w głąb mieszkania, ale nic strasznego się nie wydarzyło.

Wziął głęboki oddech i wtedy spojrzenie jego przekrwionych oczu zatrzymało się na skrzynce na listy. Wystawał z niej biały kawałek papieru. Dreszcze zatańczyły mu na karku. Po chwili był już pewien, że w skrzynce na listy znalazła się kolejna przeklęta koperta. Czarny tusz i nazwa firmy *Pathos* mogły oznaczać tylko jedno...

Kolejna rzucona na niego klątwa była znacznie bardziej wyrafinowana i jak się niedługo okazało, niezwykle kosztowna. Wiktor nawet nie starał się doczytać listu do końca. Podłączył kabel od telefonu i spoglądając z wściekłością na wizytówkę Van Denn Haasa, wybrał właściwy numer. Wkrótce usłyszał w słuchawce znajomy głęboki głos, któremu towarzyszyło pobrzękiwanie stalowych kul.

- Rozumiem, że dane waszych klientów są utajnione! - ryczał do słuchawki Little. - Ale mam chyba prawo znać odpowiedzi na dwa proste pytania!

- Zamieniam się w słuch - odparł spokojnie Haas.

- Po pierwsze... Chcę wiedzieć, czy klątwy cały czas rzuca na mnie ta sama osoba?! - Wik szczęknął zębami, bo w opisie nowej klątwy dostrzegł słowo „penis”. - Po drugie - dodał. - Chciałbym wiedzieć, czy nie znając danych tej... OSOBY... mogę sam rzucić na nią klątwę za pośrednictwem państwa firmy?!

Po drugiej stronie słuchawki na moment zapadła cisza. Wiktor słyszał, jak Haas stuka w klawisze komputera, a później odpowiada z zadowoleniem:

- Naturalnie, panie Little... Pozwoliłem sobie otworzyć panu konto osobiste. W promocji z tego miesiąca dostaje pan od nas bon na dodatkowy składnik klątwy, którą pan wybierze.

W chwilę później Wik zaczął inwestować.

- Oko za oko, ząb za ząb - powtarzał sobie w myślach, uśmiechając się do siebie. Pierwszego dnia wykupił dwie wyjątkowo zgrabne klątwy po specjalnejniżce dla indywidualnych klientów. Van Denn Haas umówił go z doradcą *Pathos Inc.*, który na specjalną prośbę Wiktora miał wkrótce przyjechać do jego mieszkania.

W ciągu kilku kolejnych dni Wik poznał innych pracowników *Pathos Inc.* Sukcesywnie wzrastała także ilość klątw rzuconych na niego samego...

Po tym, jak przyciął sobie penisa zamkiem od spodni, zakropił podrażnione oko kroplami do nosa i zderzył z drzwiami balkonowymi, Wiktor Little wpadł w prawdziwą panikę. Nie odbierał telefonów, nie myślał o Tess, nie otwierał listów, a pracowników *Pathos Inc.* wpuszczał do domu jedynie po uprzednim wylegitymowaniu się. Nie uchroniło go to jednak przed kolejnymi nieszczęściami. Szóstego dnia urlopu dopadł go półpasiec - okropne

schorzenie podrażniające końcówki nerwów na brzuchu i plecach. Walka z chorobą nie była łatwa. Połykając mnóstwo środków przeciwbólowych, Wik poważnie się zatrul i wieczorami wymiotował w toalecie ciemną mazią. Wykończony, blady, spocony i słaby czołgał się do łóżka, myśląc o tym, że zanim umrze, zdoła rzucić na swego wroga kolejną klątwę.

W ostatni piątek urlopu, po którym nie miał już wracać do pracy, a był to piątek trzynastego, Little otrzymał informację o stanie swojego konta, na którym zostały mu już tylko ostatnie miedziaki. Na szczęście, w związku z tym, że okazał się klientem tygodnia, *Pathos Inc.* miała dla niego specjalną propozycję. Van Denn Haas powiedział, że z chęcią przedstawi mu ją osobiście.

Wkrótce po jego przybyciu Wik zobowiązał się przekazać na rzecz wskazanej w umowie fundacji należącą do niego część domu, samochód i kosztowności babki. Być może nie zgodziłby się na to tak łatwo, ale tuż przed pokazaniem dokumentów Haas dokładnie opisał mu, za jaką klątwę zapłaci w ten sposób. Miał to być wielki finał - coś, co na zawsze pogrzeje w kłopotach jego prześladowcę...

Van Denn Haas długo opowiadał o niekończących się nieszczęściach, które niechybnie spadną na osobę „X”, a robił to tak barwnie i literacko, że Wiktor dał się całkowicie porwać jego wizji. Ślinił się na każdą wzmiankę dotyczącą łamiących się kości, zbyt późno wykrytego raka oraz tysięcy innych okropieństw, które miały spotkać jego wroga.

Podskakując na jednej nodze (druga okropnie go bolała po tym, jak uderzył się o kant stołu) i zacierając ręce, Wiktor podpisał dokumenty i z miną wyrażającą głębokie zadowolenie, usiadł w fotelu, podczas gdy Van Denn Haas udał się do pokoju obok, aby w odosobnieniu skupić się na rzucaniu nowej klątwy - dzieła sztuki utkanego przez ludzką złość, zawiść i wściekłość.

Little po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuł wewnętrzne odprężenie. Pobudzona adrenaliną krew mile pulsowała mu w skroniach. Od czasu do czasu zanosił się śmiechem, przypominając sobie kolejny element opisywanej przez Haasa klątwy. Miał ochotę napić się szampana, ale obawiał się strzelania korkiem. Ze stanu euforii wyrwał go łomot dochodzący od strony zabarykadowanych od środka drzwi wejściowych. Nie chcąc rozpraszać Haasa, Wik pokuśtykał do okna, aby przyjrzeć się intruzowi. Przycisnął nos do zimnej szyby i brwi ze zdziwienia same podjechały mu do góry. Na ganku stała jego żona.

Wyglądała okropnie. Jej niegdyś piękna burza blond włosów została zredukowana do kilku powiewających na wietrze strzępków. Little miał wrażenie, że część głowy Tess jest wygolona, jak po interwencji lekarza. Miała na sobie ubłocone ubranie i buty nie do pary. Pod oczami widać było fioletowe zakola. Krzyczała coś niewyraźnie, wykrzywiając przy tym usta,

tak jakby każde wymówione słowo sprawiało jej ból. Wiktor, tknięty resztką ludzkich uczuć, ruszył w końcu w stronę wejścia. Rozrzucił na boki prowizoryczną barykadę i odryglował zamki.

Otworzył drzwi i oboje wymienili pierwsze spojrzenia. Z bliska Tess wyglądała jeszcze gorzej, niż przed chwilą. Jej twarz została zeszpecona okropną wysypką. Przekrwione oczy mrugały ospale.

- Gdzie jest ten skurwiel? - wycodziła słabym głosem. - Przyjechał tu dokończyć sprawę, prawda? Gdzie on jest?! - powiedziała głośniejszym głosem, a po jej spuchniętych policzkach potoczyły się perliste łzy.

Minęła Wiktora, który widząc ogrom cierpienia malujący się na jej twarzy, chciał ją odruchowo objąć. Wyrwała się jednak z jego niezdarnego uścisku i weszła do salonu, gubiąc przy tym jeden but.

- Oszukał nas! Oszukiwał nas od samego początku! To wszystko jedna wielka farsa! - mówiła do siebie, nerwowo rozglądając się na boki.

Wik wędrował za nią, utykając. Czuł, że ma w głowie kompletny mętlik.

- Co ty mówisz, Tess? Co ty wygadujesz? - paplał. - Czy my... Czy ty... - zaczynał, ale nie miał siły skończyć. - Te klątwy... Tess! - złapał ją za ramię. - To ty rzucałaś na mnie te klątwy! To ty jesteś moim przeciwnikiem! Ty jesteś „X” - wybełkotał tknięty niezrozumiałym przecuciem, a ona nie śmiała temu zaprzeczyć.

Jej usta drżały, a klatka piersiowa niemrawo falowała, gdy kobieta pochłaniała kolejne hausty powietrza.

- Niech cię szlag! - powiedziała w końcu słabo. - Niech cię diabli, Wik! Uderzyła go w piersi. - Nienawidzę cię! Nienawidzę! Niech cię szlag, za to, że pieprzyłeś tę dziwkę przez tyle lat, wierząc, że się o niczym nie dowiem... - jej głos przeszedł w szloch, a on złapał ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie, jakby nie mogąc się zdecydować, czy chce ją uderzyć, czy przytulić.

Tess ponownie się wyrwała i chwyciła za klamkę drzwi do sypialni. Głośno pociągając nosem, weszła do środka. Ponad jej ramieniem Wik zobaczył siedzącego w fotelu Haasa. Stalowe kule jak zawsze wirowały w jego dłoni. Mężczyzna uśmiechał się do nich szeroko. W popielniczce postawionej na toalecie dopalała się resztką cygara.

- Niech się pan wstrzyma z rzucaniem klątwy! - rzucił prędko Wik, jakby nagle odzyskując resztki rozumu.

- On niczego nie robi, bez obaw - powiedziała twardo Tess.

- Jak to? - Wik stanął obok niej, uginając nogę, bo w jego kolanie ponownie odezwał się rwący ból.

- To wszystko bujda! Oni niczego nie robią! - Tess oparła się o ścianę.

- Pewnie, bo i po cóż mielibyśmy cokolwiek zrobić? - Haas podniósł się z fotela i strzepał z garnituru niewidzialny pyłek. - Sami wszystko doskonale robicie za nas. Wiara czyni cuda! A że ludzie są ostatnio skłonni mocniej wierzyć w to, co złe... - podrzucił jedną z kul w powietrze, a następnie złapał ją bezszelestnie, niczym zawodowy żongler.

Little gapił się na niego, nic nie rozumiejąc.

- Ale przecież wam zapłaciłem! - powiedział powoli. - Odsprzedałem wam część domu, przepisałem kolię mojej babki na rzecz tej waszej parszywej fundacji! - zirytował się.

Tess odwróciła się do niego z krzykiem na ustach.

- Złożyli ci specjalną ofertę, czy tak? Taką samą, jak mnie! Kazali podpisać jakieś papiery! Oni chcą nas ze wszystkiego ograbić Wik, czy czytałeś te dokumenty?! Powiedz, że ich nie podpisałeś! Wik, błagam cię...

Jej spojrzenie sprawiło, że Wiktora przeszły zimne dreszcze. Miał właśnie odpowiedzieć, kiedy Haas ostrożnie precyzyjnie się obok nich i jak gdyby nigdy nic, ruszył w stronę stojącego w holu wieszaka, z którego zdjął płaszcz i kapelusz.

- Moja robota została wykonana - powiedział, nie przestając się uśmiechać. - Mimo że jesteście oboje moimi ulubionymi klientami, wypadałoby się chyba wreszcie pożegnać... Ach... - zamyślił się. - Ta cała pasja, ta złość, zawiść, zazdrość, które wami powodowały. Doprawdy wspaniałe! Normalnie w tej sytuacji powiedziałbym chyba do widzenia, ale teraz nie pozostaje mi nic innego, jak rzec: do zobaczenia w piekle, kochani... Aby stracić duszę, nie trzeba podpisywać cyrografu, a w tym świecie bardziej przyda nam się wasz dom i pieniądze. Mój szef zawsze wiedział w co inwestować... - Mrugnął porozumiewawczo, okręcił się na pięcie i ruszył do drzwi wyjściowych, mijając walające się w korytarzu rupiecie.

- Stój! - wrzasnęła za nim Tess. - Wik, zatrzymaj go, na miłość boską! Niech odda te umowy!

Wiktor przyzwyczajony do wykonywania poleceń żony, automatycznie pokuśtykał w stronę holu. Stojący na progu Haas jeszcze raz obejrzał się w ich stronę.

- Byłbym zapomniał - powiedział. - W piątki trzynastego szefostwo osobiście rozlicza się z umów zawartych z klientami indywidualnymi. To tradycja od czasów rzezi na Templariuszach. Oni także potrafili świetnie inwestować... - zarechotał i wyszedł.

Little poganiany okrzykami żony oraz ściskającym mu gardło strachem, wybiegł za Haasem z domu. Doradca szybkim krokiem minął bramkę od ogrodu i właśnie przechodził przez ulicę. Jedną ręką przytrzymał kapelusz, tak aby silny wiatr nie zwał mu go z głowy.

- Panie Haas! - wrzasnął Wiktor. - Proszę nie odchodzić! Musi mi pan wytłumaczyć kilka rzeczy! - ryknął w złości, widząc, że jest ignorowany.

Wypadł na jezdnię, nie zwracając już uwagi na ból w kolanie. Haas zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Kilka sekund później, podczas kolejnego podmuchu wiatru, jednemu z robotników reperujących dach na sąsiednim domu wypadła z ręki dachówka. Lekkim zygzakiem poleciała w dół, uderzając w szklarnię należącą do sąsiada państwa Little. Dźwięk tłuczonego szkła sprawił, że Wik skulił się odruchowo i odwrócił w stronę hałasu. Dokładnie w tej chwili uderzył go wjeżdżający na skrzyżowanie samochód. Siedzący za kierownicą młody człowiek pochylał się właśnie nad radiem, aby podgłośnić piosenkę, której refren idealnie komponował się z jego nastrojem. Wiktor został dosłownie zmieciony z ziemi. Maską samochodu zgruchotała mu kości miednicy, wyrzucając go w górę. Przeleciał po przedniej szybie i spadł na ulicę, rozbijając sobie głowę o krawężnik. Z jego małego palca spadła zaręczynowa obrączka narzeczonej cukiernika. Świecełko, podskakując, doturlało się nad pobliską kratkę ściekową i znikło w ciemności.

Wypadek obserwowała Tess Little. Stała na progu domu, nie mogąc się poruszyć. Haas pomachał jej kapeluszem. Krzyczał, że oboje z Wiktorem wybrali doprawdy znakomite klątwy na finał całej historii. Zapewniał, że nie ma się o co martwić, bo Tess wkrótce na pewno dołączy do męża.

Pani Little zdawała się tego nie słyszeć. Myślała o tym, jak wygląda piekło.

Luty-marzec 2008

*„To co dla mnie jest cudem,
dla ciebie jest magią i na odwrót”
RM. Grant*

WESOLYCH DRZEW

Jingle bells, jingle bells
Jingle all the day
I just can't wait till Christmas time
When I can grope you in the hay
(When I can roll you in the hay)
(...)
I want a mistress for Christmas
I want a mistress for Christmas

AC/DC

Ciasto uderzyło o blat i w powietrze wzbijała się chmura mąki. Rozradowana Gwen zaczęła głośno kichać. Jej długie palce wbiły się w lepłą masę. Niedawno poznana przyjaciółka, Annie, pomogła jej wcześniej przygotować wszystkie składniki niezbędne do produkcji gwiazdkowych przysmaków i kilka godzin temu pojechała do siebie. Wigilię mieli spędzić tylko we dwoje - ona i David. Tymczasem jego wciąż nie było. Gwen wprawdzie przyzwyczała się już do nowego otoczenia i zostając sama na farmie, potrafiła sobie całkiem nieźle radzić, ale akurat tego wieczoru dopadło ją wyjątkowo nieprzyjemne uczucie niepokoju.

Chcąc chociaż na chwilę odsunąć od siebie złe myśli, poczęstowała się migdałami i cmokając z zadowolenia, oblizwała palce. Z salonu dochodziły dźwięki jej ulubionych świątecznych piosenek. David nagrał dla niej kilka wyjątkowych składanek. Pamiętała, że kiedy jeszcze pracował w radiu w L.A., tuż przed Bożym Narodzeniem zawsze starał się puszczać w swoich nocnych audycjach jak najwięcej z nich, wiedząc, że gdzieś tam, po drugiej stronie siedzi ona, słucha i czeka na jego powrót. Na powrót magicznego głosu. Czy mogło być inaczej? Czy ślepa dziewczyna mogła zakochać się w czymś innym, niż głos? Gwen sięgnęła po rodzynki, delikatnie je rozgryzając. Głos Davida był ważny, to jasne, ale chodziło także o to, co ten głos do niej mówił.

Kuchnię wypełniły dźwięki „Power Of Love”, w wykonaniu Frankie Goes To Hollywood. Podobno zespół wziął swą nazwę z nagłówka artykułu w jednej z gazet. Pisali w niej o Franku Sinatra, który jechał do miasta gwiazd. David opowiadał jej setki takich historyjek. Po co? A czy miało to jakieś znaczenie? Opowiadał je dla niej. Nic więcej się nie liczyło.

Wytarła ręce w fartuch i pewnie wymijając meble, ruszyła do pokoju gościnnego po telefon. Przyjechali do Dream Cone niecałe dwa miesiące temu, a ona zaskakująco szybko nauczyła się radzić sobie w nowym otoczeniu. Lubiała je. Farmę zbudował ojciec Davida. Nie do końca wiedziała, dlaczego się między nimi nie układało. Nigdy też nie poznała Connorsa seniora osobiście. Mimo to „Stary”, jak wyrażał się o nim junior, zapisał mu w spadku cały majątek. Dream Cone było znakomicie utrzymaną, otoczoną świerkowym lasem farmą.

Ojciec Davida w rekordowo krótkim czasie przemienił totalny ugór w doskonale prosperujący interes. Pamiętała, że jego syn zawsze powtarzał, iż najlepsza inwestycja w życiu każdego muzyka to napisanie świątecznej piosenki, na którą przynajmniej raz w roku znajdzie się czas na antenie każdej stacji. Stary Connors kierował się widocznie podobnym przeświadczeniem, bo tuż przed Bożym Narodzeniem stworzone przez niego Dream Cone przeradzało się w choinkowy raj. W celu zakupu tradycyjnych świątecznych drzewek przyjeżdżali do niego mieszkańcy trzech najbliższych miasteczek.

Gwen długo przekonywała Davida, aby po śmierci jego ojca chociaż na chwilę przyjechali na miejsce i sprawdzili, co stary mu zapisał. Dave był świetnym radiowcem, ale szczerze mówiąc, nie powodziło im się najlepiej. W porównaniu z małą kawalerką i długami w L.A., Dream Cone - otoczone z każdej strony naturą i kanadyjskim powietrzem, położone z dala od zgiełku wielkiego miasta, było istnym rajem. Miała nadzieję, że uda się jej przekonać Dave'a, aby zostali tu na dłużej. Za spory sukces uznała już samo to, że David zgodził się zająć w tym sezonie interesem ojca. Naprawdę nie chciała opuszczać tego miejsca. Była przekonana, że mają tu wszystko, czego im potrzeba.

Chwyciła za telefon i wcisnęła trójkątny przycisk, pod którym ukrywał się jego numer. Aparat zabzyczał i dał się słyszeć sygnał połączenia. Sądziła, że powinien już wracać z miasteczka. Pojechał z psem do weterynarza. Titus zawsze pełnił rolę jej opiekuna pod nieobecność Davida. Rodzice kupili psa przewodnika, gdy tylko pozbierała się po utracie wzroku i twardo oznajmiła, że chce mieszkać sama. Titi był z nią prawie przez piętnaście lat. Wczorajszego wieczoru, szwendając się po farmie, wyczuł coś w lesie i popędził na oślep, prawie ją przy tym przewracając. Podjęła szybką decyzję i puściła smycz. Nie chciała pokaleczyć się o gałęzie w szalonym biegu, a poza tym zdawała sobie sprawę z tego, że w tak gęstym lesie jak ten, mogą się łatwo zgubić nawet zdrowi ludzie o sokolim wzroku.

Znaleźli Titusa kilka godzin później, ze złamaną łapą. Dave strasznie się wściekał o to, że Titi uciekł do lasu. Zagroził, że następnym razem powiesi go na łańcuchu, co oczywiście było niedorzecznością. Ostatecznie zgodził się pojechać z nim do weterynarza. Nie wracał już od kilku dobrych godzin.

Kręcenie kierownicą i szarpanie biegów nie przyniosło rezultatów. Zakopane w śniegu koła buksowały, ale nie ruszyły się z miejsca ani o centymetr. Phil Baxton ze złością uderzył pięścią w tapicerkę. Ból w nadgarstku szybko ostudził wściekłość. Nadgarstek pękł mu, kiedy w wieku piętnastu lat spadł ze swojego czerwonego BMX-a. Teraz, z każdym rokiem dokuczał coraz bardziej. Czy to możliwe, że zaczynał się starzeć? Pociągnął z dezaprobatą

nosem. Sprawy nie miały się najlepiej. Do Wigilii pozostały jakieś trzy godziny, a on utknął zakopany na amen w śnieżnej zaspie. Jeśli nie przywiezie na czas choinki, Emma go rozszarpie. Jego syn zbecześci pozostawione przez matkę truchło ojca, a teściowie będą się temu linczowi spokojnie przyglądać, pieszczotliwie zachęcając córkę i wnuczka do jeszcze większego okrucieństwa.

Zaklął i chwycił za podręczną latarkę na baterie. Na zewnątrz było już zupełnie ciemno. Wsiadł z wozu, oceniając sytuację i napał na auto. Białe volvo w białej zaspie śniegu! Miał ochotę się roześmiać. Gdyby zgasił światła, nie zauważyłby go żaden z przejeżdżających samochodów. Chwilowo nie miało to jednak specjalnego znaczenia, ponieważ od czterdziestu minut na drodze nie było widać żywego ducha. O tej godzinie wszystkie normalne rodziny krzątały się już po ciepłych domach, nucąc pod nosem kolędy i szykując przysmaki na wspólną wieczerzę. Ze złością kopnął w najbliższe koło wozu.

- I na co komu te całe święta?! - wrzasnął.

Otoczające go białe pagórki nie odpowiedziały. Nie odezwała się też majacząca za nimi czarna ściana lasu. Stawiając niepewne kroki na oblodzonej nawierzchni, Phil ruszył powoli w stronę wijącej się ciemną serpentyną jezdni. Oczywiście kwestię choinki mógł załatwić o wiele wcześniej. Emma niewątpliwie zwróci mu na to uwagę, kiedy jutrzejszego ranka odwiedzi go w szpitalu, gdzie trafi z powodu odmrożeń. Rozpaczliwie potrząsnął latarką, widząc, że jej nikłe światelko zupełnie zanika.

- Nawet nie jestem wierzący! - wrzasnął znowu.

Żarówka zgasła.

- Niech to szlag! Nie dość, że haruję do nocy, to jeszcze w związku z tym, że jacyś idioci, diabli wiedzą, ile lat temu, umówili się, że 24 grudnia będzie się jadło indyka, składało wymyślone na poczekaniu życzenia i wieszało plastikowe duperele na drzewku z lasu, moje dziesięcioletnie małżeństwo skończy się rozwodem!

Wykrzykując ostatnie słowa, poczuł, że zimny wiatr robi swoje i dopada go chrypka. Latarka poleciała w stronę kołyszących się w pobliżu drzew. Wtedy też kolejny raz zerwał się wichur i Phil, naciągając na głowę wełnianą czapę, nagle znieruchomiał. Z wysiłkiem zmrużył łzawiące oczy. Gdzieś po lewej stronie drogi pokazały się światła. Wciąż trochę niedowierzając, Baxton przyspieszył kroku. Bez wątpienia zbliżał się samochód

O dziwo, pokonując pędem ostatnich kilka metrów, które dzieliły go od jezdni, Baxton ani razu nawet się nie zachwiał. Mimo nikczemnego wzrostu, w college'u był całkiem niezły w bieganiu na krótkie dystanse. Kierujący wozem musiał chyba dostrzec jego szalony sprint i starając się jednocześnie nie wpaść w poślizg, zaczął wyraźnie zwalniać. Prowadził stary

model Pickupa. Ku swojemu zdziwieniu, na drzwiach od strony pasażera Phil dostrzegł biały napis i znajome logo. Pojazd bez wątplenia należał do któregoś z pracowników choinkowej farmy Dream Cone. Żwawo obszedł wóz, wypatrując twarzy kierowcy. Za opuszczającą się boczną szybą dostrzegł dość młodo wyglądającego mężczyznę. Facet miał na nosie okulary w grubej oprawie z jednym pękniętym szkłem i rudawy zarost, który okrywał wydatne szczęki. Armia gęstych włosów na głowie była w wyraźnym odwrocie, przesuwał się na tył czaszki.

Phil widział go już kilka razy w miasteczku. To musiał być młody Connors. Słyszał, że stary właściciel Dream Cone zapisał tuż przed śmiercią cały majątek synowi i ten, o dziwo, nie tylko przyjechał do Kanady, ale i z racji zbliżającego się sezonu świątecznego obiecał zająć się choinkowym biznesem. Bomount było małym miasteczkiem. Przez pierwszy miesiąc po przyjeździe młodej pary aż wrzało od plotek. Przyszła pani Connors była podobno ślepa.

Baxton skorzystał z uśmiechu numer dwadzieścia dwa i uniósł rękę na powitanie. Być może istniała jeszcze szansa na uratowanie małżeństwa.

- Dobry wieczór! - zaczął, nie rezygnując z uśmiechu. - Jakie to szczęście, że akurat pan tędy przejeżdża! Na imię mi Phil, znamy się z miasteczka!

Boczna szyba przestała się opuszczać. Kierowca taksował go uważnym spojrzeniem. Jedną ręką wyłączał właśnie pikającą komórkę.

- Witam - odparł głębokim, przyjemnym głosem. - Jestem David Connors. Chyba rzeczywiście mijaliśmy się kilka razy na zakupach w centrum. Zamierza pan spędzić Wigilię w lesie, panie Baxton?

Kilka minut później Phil siedział już wygodnie na miejscu pasażera, w Pickupie młodego Connorsa. Volvo mógł ściągnąć do miasta dopiero jutrzejszego ranka, więc chwilowo skupił się na choince i powrocie do domu. Gdyby dojechali do farmy w ciągu pół godziny i kupiłby pierwsze lepsze drzewko, a później tyle samo czasu poświęcił na powrót pożyczonym od Connorsa wozem...

Z rozmyślań wyrwał go rytmiczny hałas dochodzący z tyłu samochodu. Za każdym razem, kiedy auto podskakiwało na śnieżnej muldzie, z tyłu na przyczepie coś uderzało o samochodową blachę. Tylko ten odgłos przerywał dość niezręczną ciszę. Connors najwyraźniej także zwrócił na nią uwagę, bo po chwili włączył radio. Z głośników poleciał śpiewany na dwa głosy „Little Drummer Boy”.

- Sądziłem, że radiowcy nie słuchają zbyt często radia - chrząknął Phil. - Że macie go dość w pracy.

David uśmiechnął się szeroko. Z kołnierzyka koszuli odpadło trochę zaschniętego błota.

- Przeciwnie - odparł. - W studio nie ma za bardzo czasu na rozkoszowanie się muzyką. Cały czas myśli się i pracuje nad następnym wejściem. Nie sądziłem, że wieści tak szybko się rozchodzą. Pewnie już całe miasteczko wie, czym się zajmowałem - roześmiał się.

Phil nerwowo rzucił okiem na zegarek. Nagle doszedł do wniosku, że oddałby wszystko za papierosa.

- Pali pan? - zapytał. - Chciałem uspokoić nerwy.

Connors przecząco pokręcił głową.

- Miałem kiedyś w studio gościa, jakiegoś historyka, który opowiedział mi między innymi o tym, że w wielu krajach w czasie wojny maszyny do produkcji papierosów przestawia się na produkcję pocisków do kałasznikowa. Ponoć mają taką samą średnicę. Po tej opowiastce zacząłem zupełnie inaczej traktować hasło „palenie zabija” - parsknął. - Na szczęście nie palę, ale mam coś na ukojenie pańskich nerwów.

To mówiąc, sięgnął do kieszeni kurtki. Wyjął z niej małą torebkę wypełnioną czymś, co na pierwszy rzut oka przypominało Philowi nasiona.

- To orzeszki piniowe - powiedział David i potrząsnął zachęcająco torebką. - Proszę się częstować. Zaufany dostawca... Mówił mi, że świetnie wpływają na potencję - wyszczerzył się, przez co jego twarz przybrała groteskowy wyraz.

Baxton z ociąganiem skorzystał z propozycji. Rozgryzł pierwszą skorupkę i usta wypełnił mu cierpki, migdałowy smak. Chwilę później przyłapał się na tym, że nie tylko przyjemnie rozmawia mu się z Connorem, ale że nawet z niejakim zaciekawieniem wsłuchuje się w jego opowieść o Bobie Geldofie i pewnej dziewczynce z Etiopii.

Muzyka w pokoju gościnnym ucichła i cały dom wypełnił się nieznośną ciszą. Gwen odstawiała szklankę z rodzynekami, sprawdzając, czy stoi na równi z innymi. Chciała znowu skupić się na pracy w kuchni, ale wiążące się z tym uczucie radości znikło bez śladu. David nie odebrał telefonu. Być może komórka się rozładowała. Jednak od czasu, kiedy mieszkali w L.A i Gwen nie radziła sobie ze swoją ślepotą jeszcze tak dobrze, jak teraz - Dave przyjął zasadę, że może zapomnieć o wszystkim, tylko nie o tym, aby ich telefony były sprawne i naładowane.

Wyminęła stół, chcąc ponownie włączyć muzykę. Jeszcze nigdy nie została w domu całkiem sama. Bez psa, bez Davida. Rzeczywiście, w czasie kilku ostatnich dni sprzedaży drzewek bywało tak, że Titi wychodził na chwilę pobiegać po farmie, a David akurat

obsługiwał jakiegoś klienta, ale wtedy ich nieobecność wcale nie przeszkadzała. Na zewnątrz brzmiał wówczas nieustanny gwar rozmów, śmiech dzieciaków. Co chwilę ktoś przebiegał pod oknem. Słyszała, jak śnieg wpadał im za kołnierze kurtek, jak o ortalion ubrań pracowników farmy uderzały świerkowe gałązki. Teraz za oknami brzmiał jedynie nieustanny szum drzew i odgłosy wiatru. Na szczęście odrobinę tłumiły je rolety. Ojciec Davida zamontował je specjalnie po to, aby chodzący dookoła domu klienci nie zaglądali mu w okna.

Weszła do salonu i pewnym krokiem zbliżyła się do regału, na którym stała Davidowa wieża. Od kiedy straciła wzrok, wszystkie regały, stoły i inne rzeczy zawsze ukazywały się jej w myślach pod postacią tych, które pamiętała najlepiej - mebli z jej rodzinnego domu.

Zmieniła płytę, po czym wcisnęła trzeci przycisk od lewej, w drugim rzędzie. Kompakt zaszumiał i wtedy od strony tarasu usłyszała dziwny dźwięk. Znieruchomiała, nadstawiając uszu. Coś zastukało. Tak bardzo skoncentrowała się na tym niespodziewanym dźwięku, że kiedy w głośnikach pojawił się głos Barry'ego White'a, prawie podskoczyła. Natychmiast przyciszyła muzykę i czekała z napięciem. Stukanie dochodziło zza tarasowych drzwi. Zupełnie tak, jakby po schodkach znajdujących się tuż za nimi przechadzał się podkuty kuc. Zaintrygowana, zaczęła się do nich powoli zbliżać. Krok za krokiem. Żart Davida? Nie, na pewno nie. Wobec tego co? Plastikowa butelka, którą przywiał wiatr? Zabłąkana gałązka?

Starła się iść najciszej, jak tylko się dało. W końcu poczuła wyraźny chłód. Wielkie, dwuskrzydłowe drzwi musiały być tuż przed nią. Mimo podwójnej szyby i opuszczonych na zewnątrz rolet i tak przepuszczały odrobinę zimna. David raz nawet wspomniał, że są odrobinę nieszczelne i powinno się je kiedyś wymienić. Naturalnie, gdyby tylko planowali tu zostać...

Wyciągnęła przed siebie dłoń i dotknęła szkła. W tej samej chwili stukot ustał. Gwen ostrożnie przystawiła do szyby ucho. Przeszył ją dreszcz. Włoski na karku stanęły dęba. Wyobraźnia płatała jej figle. Na ułamek sekundy w głowie pojawiła się wizja czegoś, co, wyczuwając ją, znieruchomiało po drugiej stronie drzwi i stało teraz dokładnie naprzeciwko niej. Panika ścisnęła ją za gardło, a wiedziała doskonale, że nie ma nic gorszego, niż ślepy człowiek wpadający w panikę. Przecież nie miała żadnych podstaw do tego, aby tak reagować! Jeszcze przez moment czujnie nasłuchiwała, ale dźwięk się nie powtórzył. W końcu nabrała tchu i spróbowała się rozluźnić. Oddech za oddechem czuła się coraz pewniej. Serce trochę się uspokoiło. Zrobiła dwa niepewne kroki w stronę regału. I jeszcze dwa, aż w końcu odwróciła się do drzwi plecami. Z pewnością zaraz wróci Dave i przywiezie Titusa, a za trzy godziny nie będzie pamiętała, że ta cała nedorzeczna sytuacja w ogóle miała miejsce.

Wyciągnęła przed siebie rękę i palce dotknęły półki z płytami. Raz, dwa, trzy, cztery... szósty od lewej - George Michael. „Boski Jerzy”, przy którym pierwszy raz całowała się z Davidem. Jakimś cudem w połowie pocałunku poleciało wtedy „Kissing A Fool” i nie mogli powstrzymać się od śmiechu.

Wyjęła płytę z pudełka i już miała odłożyć je na miejsce, kiedy na piętrze rozległ się trzask i głucho uderzenie. Znała ten dźwięk, pojawiał się zawsze, gdy silny podmuch wiatru uderzał framugą okna w sypialni o wyłożoną boazerią ścianę. Dwie godziny temu specjalnie poszła na górę, aby upewnić się, czy okno jest zamknięte i czy nie będzie niepotrzebnego przeciągu. Dotyk palców na haczyku od okiennej ramy. Pamiętała go bardzo wyraźnie. Przez kilka sekund stała jak sparaliżowana w zupełnym bezruchu, koncentrując uwagę jedynie na odgłosach pustego domu. Trwałaby w tej pozycji pewnie znacznie dłużej, gdyby nagle od strony kuchni nie rozległ się dźwięk dzwonka. Rytmiczne, elektroniczne ćwierkanie. To piekarnik dawał znać o tym, że świąteczna pieczeń z indyka jest gotowa. Po piątym sygnale zapadła cisza.

Davidzie, dlaczego jeszcze cię tu nie ma, myślała gorączkowo, dlaczego nie odebrałeś telefonu?

Czuła, jak dłonie coraz bardziej się jej poca. Nastrój zbliżającej się uroczystej kolacji znikł bezpowrotnie. Bardzo powoli wyciągnęła przed siebie ręce i wtedy jej serce zamarło z przerażenia. Powietrze w pokoju się poruszyło. Zupełnie tak, jakby coś bezszelestnie przemknęło korytarzem. Jakby przeszło po miękkim, grubym dywanie, doskonale tłumiącym kroki.

Gwen zerwała się do biegu. Gdyby tylko zdołała dotrzeć do spiżarni, która miała grube drzwi i duży, łatwy do odszukania po omacku zamek... Było to małe, ciepłe i bezpieczne pomieszczenie. Zamknie się tam i spokojnie poczeka, ochłonie i uspokoi. Mózg pracował jak oszalały, podsuwając jej kolejne obrazy. Fotel w pokoju gościnnym, zawinięty róg dywanu w korytarzu, trochę krzywa framuga drzwi, zakręt i myśl, że po wyminięciu wszystkich przeszkód wpadnie wprost na intruza, który mógł na nią czekać, czając się dosłownie wszędzie. Szalony bieg wydłużał się w nieskończoność - poręcz schodów z grubą gałką i zdradziecki schodek tuż przed drzwiami od spiżarni. Uderzyła w niego z impetem, na moment tracąc równowagę i pozwalając, aby z piersi nareszcie wydobył się jej stłumiony krzyk. Zimna klamka i skrzypnięcie zawiasów, zaraz po tym z impetem naparła na drzwi.

Nareszcie w środku, otoczona zapachem trzymanyh w skrzynkach jabłek, worków z ziemniakami i słoików z konfiturami, które stały tu podobno od czasów śmierci matki Davida. Trzask zamka i ostra krawędź przesuwającego się opornie rygla. Udało się! Chciała

ponownie histerycznie krzyknąć, lecz zamiast tego mogła jedynie łapczywie wciągać powietrze. Na wszelki wypadek zostawiła w drzwiach klucz i cofnęła się. Usiadła na worku z mąką. Automatycznie poprawiła rozrzucone włosy i wtedy na korytarzu prowadzącym do spiżarni rozległ się tupot. Zupełnie jakby ciężko podkute buty ścierały się z drewnem posadzki. Później nastąpiło potężne uderzenie w drzwi. Klucz niczym pocisk wypadł z zamka, raniąc ją w ramię. Coś po drugiej stronie przeciągle parsknęło, wciągając powietrze i jęknęło z dezaprobatą.

Wspólnie szarpali się z ciężką, stalową bramą, która przesuwając się po zardzewiałych szynach, niemiłosiernie piszczała. Phil nienawidził tego rodzaju skrzypienia. Kojarzyło mu się z żoną. Emma pracowała jako nauczycielka i nawet kiedy przychodziło jej pomagać w odrabianiu lekcji ich własnym dzieciom, zawsze korzystała ze szkolnej tablicy, którą Baxton musiał na jej specjalne życzenie zamontować w jednym z pokoi. Cholerna kreda wydawała podobny dźwięk, a on dostawał od tego dreszczy.

Connors otrzepał ręce i Phil, przeżuując powoli kolejnego orzeszka, spojrział na niego z wdzięcznością. Jeśli na świecie rzeczywiście jeszcze istniał gdzieś tak zwany Duch Święty, z pewnością odwiedził właśnie farmę Davida. Connors zgodził się na pożyczenie Baxtonowi wozu i stwierdził, że w związku z końcem sezonu nie chce nawet ani grosza za choinkę!

- Co pan myśli o tych świętach, Baxton? Ktoś czeka na to drzewko u pana w domu?

Phila zemdlilo na samą myśl.

- Owszem - skrzywił się. - Żona, syn, teściowie... Z dzieckiem jest jeszcze najmniejszy kłopot, bo jemu i tak wszystko się spodoba - krzywa choinka, stare plastikowe ozdoby, nie przywiązuje do tego uwagi. Ono jeszcze czuje magię tej nocy. Wystarczy mu atmosfera i czekanie na prezenty.

David roześmiał się głośno i schrupał następnego orzeszka.

- Wiem dokładnie, o czym mówisz, chłopie - popatrzył Philowi w oczy. - Moja narzeczona przynajmniej nie jęczy z powodu rzadkiej choinki, bo i tak jej nie widzi! - parsknął, a Baxton odniósł wrażenie, że Connors zachowuje się, jakby był na rauszu.

Wciąż chichocząc, podał Philowi klucze od pomieszczeń dla pracowników, gdzie znajdowały się narzędzia do wycinki, a sam skierował się w stronę domu.

Baxton szedł szeroką, wybrukowaną dróżką. Przed chwilą znowu rozpadał się śnieg i zaczęło robić się nieprzyjemnie ślisko. Miał nadzieję, że w drodze powrotnej nie będzie miał już żadnych kłopotów z samochodem. Nerwowo rzucił okiem na podświetlany zegarek.

Wyglądało na to, że w zapasie ma jeszcze przynajmniej godzinę, ale i tak trzeba było się spieszyć. Emma już pewnie dostawała szału i miotała się wściekle po całym domu, obgadując go ze swoją wredną matką. Przygryzł wargę. - W Wigilię mamy sobie wybaczać, czyż nie? - pomyślał.

Minął kilka drzewek poustawianych w donicach i zbliżył się do drzwi pierwszego budynku. Pomimo bieli śniegu dokoła panowała ciemność. Na farmie nie paliły się żadne światła. Zastanawiał się, czy Connors nie miał oporów, aby tu zamieszkać. Facet wcześniej pracujący w radiu, na dodatek ze ślepą narzeczoną, w takim miejscu jak to - sami na odludziu, na dodatek otoczeni prawdziwym lasem. Wprawdzie posiadłość otaczał mocny płot, ale mimo wszystko - przecież bywało już tak nie raz, że zimą do miasta zbliżały się wygłodniałe wilki, które natychmiast przeganiało.

W budynku było nawet dość przytulnie. Poszukał ręką włącznika światła i po chwili rozbłysło kilka żarówek. W wielkim, nieco zagraconym pomieszczeniu walały się świerkowe gałązki, kawałki sznurka i siatki do pakowania. W powietrzu unosił się przyjemny zapach żywicy.

Phil po chwili zastanowienia stwierdził, że cały ten bałagan jest mimo wszystko o wiele bardziej świąteczny, niż wystrój w sterylnej czystym, zapchanym dmuchanymi Mikołajami supermarkecie. Rozejrzał się dokoła, ale w oczy rzuciły mu się tylko ustawione pod ścianą spalinowe piły. Jako dziecko był świadkiem nieszczęśliwej próby odpalenia takiej maszyny przez ojca. Od tamtej pory omijał je z daleka. Miał nadzieję, że gdzieś znajdzie się także tradycyjna piła albo chociaż stara, dobra siekiera.

Szarpnął za drzwiczki jednej z szafek i prawie natychmiast w twarz uderzył go obrzydliwy odór. Odruchowo odwrócił głowę w drugą stronę, czując, jak coś zalewa mu kurtkę. Phil odskoczył do tyłu, patrząc oniemiałym wzrokiem na to, co się przed nim znajdowało. Ktoś wsadził do szafki martwego psa. Z wybebeszonego brzucha wyszły wnętrzności. Jedno z jelit przytrzymywane dotąd przez zamknięte drzwiczki, teraz powoli zsuwało się w dół, poza drewnianą krawędź. Baxton starał się powstrzymać narastającą chęć wymiotowania. Ciężko oparł się o pobliską ścianę, na której zamontowano głośnik domofonu i zahaczył o jego słuchawkę. Roztrzęsiony sięgnął ręką, aby odwiesić ją na miejsce i wtedy głośnik zatrzeszczał.

Gwen była absolutnie pewna, że jakiś czas temu usłyszała warkot silnika, a później hałasy od strony bramy wjazdowej. To musiał być David! W pierwszej chwili poczuła ulgę, ale zaraz potem wyobraziła sobie, jak tajemniczy włamywacz zamiast się spłoszyć, zastawia w domu

pułapkę na jej ukochanego. Chwyliła za słuchawkę domofonu, aby usłyszeć, co dzieje się na zewnątrz. Mogłaby przysiąc, że ktoś po drugiej stronie podniósł ją i odwiesił na miejsce! A jeżeli napastników było kilku?! Strach ścisnął ją za gardło. Musiała jakoś ostrzec Davida!

Roztrzęsiona przyłożyła ucho ponownie do drzwi spiżarni. Cisza. Wstrzymała oddech. Nagle gdzieś w domu zgrzytnął zamek. Później zabrzmiały miarowe kroki. Znała je bardzo dobrze. Były zawsze dopasowane do jakiejś melodii. Serce znowu podskoczyło jej do góry.

- Dave! - krzyknęła rozpaczliwie, ale małe pomieszczenie tłumilo jej głos. - Uważaj! Ktoś jest w domu!

- Kochanie?! - odpowiedział, wyraźnie przyspieszając kroku. - Wróciłem. Co się stało?!

Po chwili szarpał już za klamkę po drugiej stronie drzwi. Gwen najszybciej jak tylko mogła wymacała zamek i wypadła na zewnątrz, rzucając mu się na szyję. Najwyraźniej niczego nie rozumiał, bo szepnął jej tylko coś na ucho. Miała w oczach łzy, czuła, że napięcie zaczyna opadać i nagle znieruchomiała. Nie mogła zobaczyć, ale wyczuła to doskonale. Coś właśnie stanęło za Davidem. Coś wielkiego i cuchnącego mokrym, psim futrem.

Pisnęła z przerażenia. W odpowiedzi palce Davida zacisnęły się na jej karku. Mocno, coraz mocniej wbijały się w skórę. Zaczęła krzyczeć, a wtedy on odepchnął ją tak zdecydowanie, że straciła równowagę i uderzyła głową o ścianę. Głos uwiązł jej w gardle. Spróbowała coś z siebie wykrztusić, lecz na jej twarz spadł pierwszy cios.

Baxton wciąż nie mógł wyjść z szoku. Gapił się na szafkę. Kompletnie go замуrowało. Machinalnie wcierał resztki psiej krwi w spodnie. - Co tu się, kurwa, dzieje?! - wymamrotał, starając wziąć się w garść.

Ostrożnie zbliżył się do okna i wyjrzał na zewnątrz. Śnieg padał jeszcze mocniej niż przed chwilą. Płatki falowały to w jedną, to w drugą stronę. W domu Connorsów dostrzegł niemrawe światelko. Prócz tego widział jedynie wszechobecne drzewa, które nieustannie poruszały się na boki. Zupełnie, jakby były widzami siedzącymi w kinie, na filmie z Baxtonem w roli głównej.

- Jasna cholera! - syknął i ruszył w stronę drzwi. - Czy to możliwe, że ktoś napadł na farmę? W końcu Connorsowie musieli mieć z tego interesu niezły utarg, ale do diabła, dlaczego musiało się to stać akurat teraz?

Wyobraził sobie bandytów, którzy pewnie nie mogli uwierzyć w to, że na dwie godziny przed Wigilią na farmę przybył jeszcze jeden klient. - To nie dzieje się naprawdę - szeptał sam do siebie. Nagle przypomniał sobie, że David zostawił w samochodzie telefon

komórkowy. Jeżeli faktycznie znalazł się w tarapatach, mógłby wezwać pomoc albo przynajmniej zadzwonić do Emmy...

Wicher na dworze dał, okropnie zawodząc. W twarz nieustannie uderzały go płatki śniegu, które starał się odganiać rękoma. Musiało to wyglądać dość śmiesznie, bo w jednej dłoni ścisnął kurczowo zabrany z garażu Connorsa młotek. Nieustannie próbował znaleźć logiczne wyjaśnienie zaistniałej sytuacji, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy.

Drzewa nieprzyjemnie szumiały, ale mimo to szedł blisko nich, skryty w cieniu. Pamiętał, jak mniej więcej w tym właśnie miejscu w zeszłym sezonie wycinał z synem wybraną przez Emmę choinkę. Już wtedy denerwował go jej babski upór. Widząc kontury pickupa, odetchnął z ulgą. Obszedł wóz z lewej strony i już miał zajrzeć do środka, gdy nagle coś złapało go za kostkę. W jednej chwili cała krew spłynęła mu do kolan. Wrzasnął dziko, prawie natychmiast odskakując i niemal przewracając w pobliską zaspę. Zasłonił się młotkiem i prędko odwrócił w stronę potencjalnego napastnika.

Pod autem leżała kobieta omotana w brudne szmaty. Twarz miała całą we krwi, a jedną rękę nienaturalnie wykręconą do tyłu i najwyraźniej złamaną. Wytrzeszczała na niego przerażone oczy i poruszała ustami. Nie mógł dosłyszeć ani słowa. Biorąc się w garść, odłożył młotek i na kolanach ruszył w jej stronę. Miał wrażenie, że skądś ją zna. Wyglądała jak jedna ze szwendających się po Bomount bezdomnych. Ostrożnie wyciągnął ją spod wozu. Dopiero teraz zwrócił też uwagę na otwartą klapę bagażnika i zrzuconą plandekę.

- Proszę spokojnie leżeć - mamrotał, ściągając z siebie kurtkę, aby ją okryć. - Niech pani nic nie mówi. Zaraz wezwę pomoc...

Spróbował delikatnie ułożyć jej wykręconą rękę i z oczu kobiety popłynęły łzy. - To jakiś obłąd! - myślał. Jeśli jeszcze przed chwilą miał pewne wątpliwości co do tego, czy na farmie faktycznie dzieje się coś złego, teraz nie było już ku temu żadnych wątpliwości...

Zbliżającą się w ich kierunku postać zobaczył zbyt późno, aby się ukryć. Ktoś szedł od strony zabudowań.

Phil zmrużył oczy, czując, jak na karku stają mu wszystkie włoski. Rozpoznał idącego. Bez wątpienia był to Connors. Sunął powoli, uważnie stawiając kroki. W jednej ręce ścisnął strzelbę. Ciągnął coś za sobą. Baxton przysiągłby, że to ludzkie ciało.

- I jak tam? - wrzasnął głośno David. - Wybrał pan sobie jakieś drzewko?

Silny podmuch wiatru strącił mu z głowy czapkę.

- Rozumiem, że jako ostatni klient w tym roku, liczy pan na jakąś promocję, co? - wrzasnął znowu. - W końcu promocje to ważny element tych świąt! - Będąc już zupełnie

blisko, zatrzymał się i opuścił strzelbę. - Widzę, że znalazł pan zagubionego w wichurze wędrowca, którego chciałem zaprosić na naszą wigilijną kolację! - powiedział, spluwając w śnieg.

Wrażenie elokwentnego i przyjemnego człowieka, jakie jeszcze pół godziny temu zrobił na Baxtonie, znikło bezpowrotnie. Lufa strzelby nieznacznie uniosła się do góry. To przesądziło sprawę. Phil dłużej nie czekał. Strach kazał mu biec. Popędził zakosami w stronę pierwszej linii drzew. Cały czas spodziewał się wystrzału, ale nic takiego nie nastąpiło. Biegł nadal, tracąc powoli oddech i czując, jak mroźne powietrze pali go w płucach. Connors coś za nim krzyczał, ale zagłuszył go wiatr.

Od tej chwili choinki przestały kojarzyć się Baxtonowi z czymkolwiek dobrym. Rosły rzędami, jedna przy drugiej, tworząc prawie niemożliwy do przejścia gąszcz. Przedzierał się przezeń, przyjmując na twarz bolesne smagnięcia oblepionych igłami gałązek. Czy w związku z tym, że uciekł, powinien mieć wyrzuty sumienia? Zadławił się kolejnym haustem mroźnego powietrza.

- Pieprzyć to! - parsknął. Jeżeli musi wybierać pomiędzy tym, czy jutrzejszego ranka Emma złoży mu wizytę w szpitalu, czy w kostnicy, wybór jest oczywisty.

Raz po raz wpadał w zasypaną śniegiem dziurę. Był już cały przemoczony i na dodatek zaczynało mu cieknąć z nosa. Wreszcie zdecydował się na chwilę przystanąć. Łapał świszczący oddech przez zaciśnięte zęby i nasłuchiwał odgłosów pogoni. Włożył ręce do kieszeni, aby trochę je ogrzać. W lewej kieszeni wymacał woreczek - resztką orzeszków Connorsa.

Chrupanie i migdałowy smak pozwoliły mu nieco opanować strach. Jednocześnie zaczęła w nim narastać złość. - Czy to jego wina, że się tutaj znalazł? To wszystko przez Emmę! Przez to, że była taka uparta! Ktoś powinien jej wreszcie pokazać, gdzie jej miejsce! Zupełnie jakby plastikowe drzewko za trzysta dolców i zapach sosny wpięty w kontakt były w czymś gorsze od prawdziwego drzewka! Tradycja! Już on wprowadzi nową tradycję. Niech no tylko wróci do domu i tak zerżnie tę...

Z rozmyślań wyrwał go tętent. Coś pędziło w jego stronę. Słyszał, jak łamią się gałęzie. Przez chwilę usiłował ustalić, z której strony dokładnie dochodzi dźwięk, ale na jakąkolwiek reakcję było już za późno. Niesamowita siła wpadła na niego, uderzając w bark tak mocno, że przeleciał dobre kilka metrów. Zatrzymał go dopiero pień drzewa.

Obudził ją zapach wiosny. Zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Aromat świeżej trawy, zapach kwiatów, wszystko to aż kręciło ją w nosie. Podniosła się powoli.

Ostrożnie badała najbliższe otoczenie. Dookoła niej rzeczywiście rosła trawa. Za plecami wyczuła także potężny pień. Zagłębiał się w ziemię płatanią korzeni, po których delikatnie przesuwała palcami. Drzewo, do którego należał, musiało być ogromne. Nie przypominała sobie, aby David kiedykolwiek mówił jej o czymś takim. Na farmie nie było podobno drzew liściastych, a przysięgłaby, że to właśnie liść przed chwilą musnął jej rozpalony policzek. Czy to możliwe, że ktoś wywiózł ją z Dream Cone? A może świerkowy las krył w sobie jednak coś więcej, niż tylko tonę zeschniętych igieł?

Kora pnia była bardzo poszarpana i wilgotna od mchu. Sięgnęła do jednej z gałęzi, sunąc po niej otwartą dłonią i wtedy natrafiła na pustkę. Automatycznie cofnęła rękę. W drzewie była dziura... Momentalnie powrócił strach. Wracały wspomnienia ostatnich godzin - dom, spiżarnia, David... Uniosła rękę do twarzy i zastygła w bezruchu. Na ustach miała zakrzepłą krew. Bała się cokolwiek powiedzieć, myśli szalały w głowie. Nagle zapach wiosny wydał się jej odrobinę złudny. Jakby kilka metrów dalej nadal panowała zima i wciąż znajdowały się tam ośnieżone świerki. To miejsce nie miało prawa istnieć!

Ciszę przerwał głęboki głos Davida dochodzący z pewnej odległości. Słyszała wyraźnie nucone przez niego słowa piosenki. Śpiewał „White Christmas”. Urwał nagle, zaraz po drugiej zwrotce i Gwen miała wrażenie, że słyszy także kobiece szlochanie.

- No już - ryknął Connors. - Zostawcie ją! - Odpowiedziało mu parsknięcie i coś, co przypominało końskie rżenie. - Jeszcze będzie nam potrzebna do czegoś innego! Wynoście się! Jestem pewien, że dogodziliście jej jak nikt inny wcześniej. Wasz pan jest z was z pewnością zadowolony, idźcie pokłonić się jego gałęziom, to może sam zaszczyci nas swoją obecnością - krzyczał David. - To jak będzie, Baxton? Skoro podczas odwiedzin w lesie nie wybrał pan nic z drzewek iglastych, co pan powie na nową tradycję? Może tak drzewko liściaste, dla odmiany?

- Nie rozumiem - odpowiedział mu inny, słaby głos.

- A cóż tu jest do rozumienia, Baxton? Składam panu ofertę jedyną w swoim rodzaju. Pana niespodziewane pojawienie się postrzegam jako wyraźny znak! Widzi pan... Po przyjeździe tutaj przejrzałem na oczy. Na ziemi, na której pan siedzi, kiedyś nie było niczego - ugór i śmierć. Dopiero mój ojciec dostał szansę zrobienia na powrót z tej pustyni miejsca pełnego życia.

Wywód przerwało mu zwierzęce prychnięcie i Gwen usłyszała, jak coś przedziera się pomiędzy drzewami. Connors kontynuował.

- Czy wierzy pan w Boże Narodzenie, Baxton? Ludzie przyjeżdżają tu po drzewa. Kupują niechciane prezenty, tłoczą się w supermarketach. Cieszą się z durnych błyskotek,

napychają brzuchy i łgają swoim najbliższym prosto w oczy, składając fałszywe życzenia. Oto Duch Świąt! Ale nie zawsze tak było. Przed tym Bogiem, którego wychwalamy dziś, byli inni, a magia i niezwykłość dzisiejszej nocy polegała wówczas na czymś zgoła odmiennym, niż jedzenie cukierków...

Gwen, ostatkiem sił opanowując przerażenie, wymacała leżący obok niej gładki kamień i mocno ścisnęła w rękach. Stawiając chwiejne kroki, ruszyła w stronę głosu Davida.

- Ta noc była kiedyś czasem życia. - Connors był wyraźnie poruszony. - Dawała nam moc i urodzaj. Dawała płodność! A te bydlaki zapomniały o tym. Nagle odsunęli się od tych, od których tak wiele niegdyś dostali. Kiedy brakuje wiary w boga, ten odchodzi w cień! Na szczęście mój ojciec po przyjeździe w to puste miejsce, zagubiony w lesie, zajął w ten cień i uwierzył w niego z całych sił. Tak jest, Baxton! Poświęcił życie swoje i życie żony, kiedy ja byłem gdzieś daleko z głupcami. Przybyłem tu jednak zupełnie niespodziewanie, tak jak ty dzisiejszej nocy. Przybyliśmy na czas, żeby podtrzymać tradycję, bo oto magia wróciła na te tereny i w zamian za odrobinę wiary oddaje nam swoje plony! Poznałeś już leśnych opiekunów naszego dobroczyńcy. Mogłem cię rzucić pod ich faunie kopyta, Baxton, ale czuję, że ty i ja możemy się dogadać - roześmiał się. - Ostatecznie, jaka inna religia na tym świecie pozwala nam być tak blisko boga?! Ucałuj jego pień od razu, bo kiedy wreszcie przybędzie, nie pozostanie ci już ani sekunda na wahanie...

Gwen zamachnęła się kamieniem. Poczowała jednak, jak David łapie go i wyrywa jej z ręki. Uderzył ją w policzek.

- Zaraz nauczę cię posłuchu - syknął przez zęby. - Baxton, czas do namysłu minął, decyduj się: teraz albo nigdy! Pokłoń się naszemu panu, weź nóż i oddaj trochę życia jego drzewom. One już czekają na krew tej bezdomnej dziwki! Mój ojciec złożył największą ofiarę, podarował im krew mojej matki. My nie jesteśmy im winni aż tyle.

Słyszając to, Gwen usiłowała się podnieść, ale Connors przycisnął ją do ziemi nogą. Po chwili chwycił za włosy i zaczął ciągnąć. Próbowwała się wyrywać, krzyczała. Wreszcie pchnął ją na trawę i zaczął zrywać z niej sukienkę. Głos wyraźnie się jej łamał, zabrakło tchu do kolejnego krzyku. Gdy była naga, usiadł na niej okrakiem i zaczął zdejmować spodnie, sapał przy tym ciężko, a wtórowało mu sapanie czegoś, co stało tuż obok jej głowy. W chwilę później Gwen usłyszała urywany kobiecy wrzask. Zakończył go charkotliwy pomruk.

Świątełka na choince zamigotały i Phil miał ochotę się roześmiać. Opuścił wtulającego się w niego Jake'a na ziemię. Małemu oczy błyszczały ze szczęścia. Przebiegł palcami po jego

bujnej czuprynie i kazał wracać do mamy. Oczywiście trochę się spóźnili, ale wszystko było warte tego, by zobaczyć minę Emmy otwierającej im drzwi. Znał to jej pełne wyrzutu spojrzenie. Była gotowa do ataku. Widząc go na wycieraczce już otwierała usta, już chciała krzyknąć, ale zgodnie z przewidywaniami natychmiast je zamknęła. Przywiózł gości na świąteczną wieczerzę. Tego się nie spodziewała. I to jakich gości! Connors wybrał im naprawdę piękne drzewko, a do tego zachowywał się bardzo szarmancko. Nieustannie dziękował za zaproszenie, za wspaniałe jedzenie, bawił anegdotkami i zapewniał, że to, iż nie zdążyli przybrać choinki do pierwszej gwiazdki, nic tak naprawdę nie znaczy. Jego dziewczyna natomiast w ogóle nic nie mówiła i siedziała tylko wpatrzona w swój talerz, pochłaniając mechanicznie wszystko, co tylko podsunęto jej pod mocno upudrowany nos. Lima pod okiem prawie nie było widać.

Rodzice Emmy trzymali pewien dystans. Stary Tibbits zazwyczaj czekał jedynie na moment, kiedy będzie mógł pociągnąć łyk z ukrytej w kieszeni marynarki piersiówki. Tylko Flora, obrzydliwe, grube babsko, nieustannie szeptała coś do Emmy. W końcu, kiedy już wszystkie główne atrakcje wieczoru, łącznie z prezentami, mieli za sobą, Flora poprosiła Phila do kuchni. Jej workowata suknia w kwiaty szeleściła przy najmniejszym ruchu zapakowanego w nią cielska. Baxton słyszał, że ostatnimi czasy coraz bardziej znęca się nad dosyć niedołęznym już Tibbitsem. Gasi mu w toalecie światło, kiedy tylko uzna, że Floyd siedzi tam zbyt długo. Przesła mu zupy, konfiskuje pieniądze... I pomyśleć, że dwadzieścia minut temu z uśmiechem na ustach życzyła mu tylu dobrych rzeczy.

Zmierzyła Phila spojrzeniem wylupiastych oczu.

- Pewnie jesteś z siebie zadowolony, co? - Ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości co do tego, jak nastawiona jest do tej rozmowy. - Kim są ci ludzie? Ten cały Connors to jakiś podejrzany typ, a jego narzeczona?! Dziewczyna wygląda na umysłowo chorą! Na dodatek jest ślepa! Już ja swoje wiem - burczała. - Emily nie ma serca mówić ci przy dziecku, co o tym myśli, ale ja ją wyręcę, mój drogi. Naprawdę nie wiem, co strzeliło do głowy mojej córce, żeby wychodzić za takiego...

Zanim zdążyła dokończyć, Baxton złapał ją za szczękę w sposób, w jaki łapie się psa, aby odebrać mu patyk. Ścisnął i pociągnął w dół.

- Koniec z tymi bzdurami - wycedził jej prosto do ucha. - Przestanieś mnie obrażać i zaczniesz szanować, a jeśli nie, to przysięgam, kurwa, że cię zabiję, a twoją córkę wezmę sobie na twoim grobie, rozumiesz? Zmieniamy zasady... Wprowadzamy nową tradycję, Wesołych Drzew! Niedługo zrozumiesz, kto tak naprawdę jest twoim panem! - To mówiąc,

pocałował ją w czoło i pchnął na ścianę tak mocno, że aż przysiadła. Później odwrócił się na pięcie i wyszedł na balkon.

Mieszkali na uboczu miasteczka, w niedalekim sąsiedztwie rzeki, za którą znajdowała się już tylko leśna głusza. Nawet w zimie przywiewało stamtąd chłodną bryzę, od której Phila przeszedł dreszcz. Na balkonie Connors rozmawiał o czymś z Tibbitsem, który dokręcał swoją piersiówkę.

- Często wałem Floyda moimi orzeszkami - powiedział na przywitanie Connors. - Chcesz kilka, Phil?

- Jasne, dzięki - Baxton nadstawił dłoń.

- Niech pan jednego wyrzuci za balkon na szczęście! - Connors uśmiechnął się do Tibbitsa, który poprosił o dokładkę.

Wkrótce orzeszek poleciał w noc, a wychylający się przez barierkę Phil miał wrażenie, że gdzieś na dole usłyszał mlaśnięcie i odgłos łamanych w biegu gałęzi.

- Wesołych Drzew - wyszeptał.

KONIEC

Wydanie I

Copyright © 2008 by Łukasz Śmigiel
Copyright © by Red Horse sp. z o.o., 2008

Opracowanie graficzne i projekt okładki
Magdalena Zawadzka

Redakcja
Łukasz Orbitowski

Korekta
Magdalena Grela
Małgorzata Zwolińska

Skład
„Grafficon”
Konrad Kućmiński

ISBN 978-83-60504-64-2

Wydawca
Red Horse sp. z o.o.
tel. (81) 524 03 14
www.redhorse.pl
e-mail: biuro@redhorse.pl

Sprzedaż internetowa
merlin.pl

Książka dostępna w salonach Empik
empik pełna kultura oraz empik.com

Zamówienia hurtowe
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel/fax: (22) 721-30-00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesieiu.pl

Druk i oprawa
Drukarnia AKAPIT s.c.
www.akapit.biz
e-mail: biuro@akapit.biz